

# **Biata książka**



BIANKA ROLANDO

## *Biała książka*

### *[Motto]*

*Dlatego pewien pogański mistrz powiada:*

To, w czym poznajemy lub wyrażamy Pierwszą Przyczynę,  
bardziej jest nami niż Pierwszą Przyczyną,  
ta bowiem wznosi się ponad wszelkie słowa i rozumienie.

*Mistrz Eckhart*

## *Niebo*

### *Pieśń zerowa. Usprawiedliwienie*

Niech zaczną się tajemne i skryte mrużanki  
z witaminami, z minerałami, z kleikiem ryżowym  
dla ciebie, pachnący mlekiem cielaku  
byś był jeszcze bardziej syty niż zwykle  
Obiecuję nie stać na paluszkach u nóg  
nie dotykać czupryną wielkiej kazalnicy  
Jej mroczne sapanie słychać już z daleka  
Wszyscy mają podniesione wysoko oczy  
dostrzegają rozwiązania sklepień żebrowych  
Pani w drugiej ławce popuszcza mocz  
stary niedźwiedź mocno śpi, my się go boimy  
Oto wschodzi nowa gwiazda na Południu  
jej ciemność oblewa mnie lukrem  
skleja moje ruchy, czyni je monumentalnymi  
Pani ortodontka ostrzegła mnie przed słowami  
które psują od swej słodczy zdrowe zęby  
Moje końskie uzębienie prawidłowo spoczywa  
w smyczy z nierdzewnego drutu, pociągnij dalej  
pogryzę swój język do mięśnia, do anatomii  
Zostanę przysypana magicznym proszkiem  
bym mogła skryć swe bliki i odbicia od ciebie  
gruba warstwa niech skryje moją głowę  
niczym pokrywa śniegowa będzie ciężka  
niespodziewanie wywoła katastrofy konstrukcyjne  
Oby ich ogrom przeraził ekipy budowlane

zastanawiające się nad tym, jak temu zapobiegać  
Pan majster radzi — szlifierki używamy ostrożnie  
by nie ranić jaśminowych i pachnących rąk  
Pogłaszcz, no pogłaszcz mnie, no jeszcze boleśniej  
Wydrapałam resztki komfortowego naskórka  
spod kolan, spod łokci, z szyi, z ramion, z pleców  
Drapałam się boleśnie, ale i z bolesną przyjemnością  
do czarnej krwi, do białej kości  
Czerwone ślady po tych wycieczkach są obecne  
Nic nie pomaga, próbowałam alantanu, cukru pudru  
nic nie złagodzi tych objawów, żadna tajemna maź  
Mimo swej kruchości oraz tendencji do cukrzycy  
uczyniłam swe kroki hałaśliwymi i monumentalnymi  
Rehabilitacja obślinionej i bezwładnej Bianki  
Nie ma już wózka inwalidzkiego, ni pomocnej dłoni  
droga jest tylko na oślepie  
Trudno wymacać jakieś znajome, przyjazne kształty  
znaleźć jakąś barierkę

Jestem straszliwie zakudłona, zakudłona  
Oczy porasta cierpki zarost zapomnianej  
na policzku rośnie warkocz mojej siły Samsona  
po moim grzbiecie biegają drogocenne pchły  
Weszłam po skrzypiących z delikatności schodach  
na stary, zapomniany strych pełen bibelotów  
Kiedyś były tak dobrze rozpoznawane z daleka  
teraz wszyscy zapomnieli ich przyjemnego widoku  
Takie dekoracyjne, takie dodatki do wszystkiego  
po prostu świetne się nadają na black garden party  
Idę z wypukłą piersią pełną nie mleka, ale stali  
przyporządkowaną mi przypadkowo i śpiesznie  
przez świat natury, kotów, gruszek, lepkich much  
Naturalna odporność wzmocniana przez składniki  
w mleku nowej matki o chłodnym spojrzeniu  
Nie spodziewaj się ciepłego, rozpoznawalnego  
to wszystko dla tych, którzy mają tylko działą  
nie potrafią dobrze i prawidłowo przepychać dalej  
Moja konstrukcja tak delikatna, wrażliwa  
będzie niezniszczalna, wiekuista i trwała  
Będą się o nią rozbijać kutry rybackie pełne węgorzy  
jak o górę lodową lub nie zanotowaną na mapie rafę  
Padlinożerne ryby będą miały zdziwiony wyraz pyska  
nad wyraz, nad słowo  
Moje podbrzusze miękkie kute jest w niezwykłym stopie  
z kowalskim zacierzeniem wykuwane w piwnicach  
Technologowie z Uniwersytetu w Chicago  
nigdy nie dojdą, z jakich składników jest ten stop  
mimo licznych badań i wielości papieru do drukarki  
będą uśmiechać się niepewnie, spoglądając na siebie  
Oto idzie przed wami Bianka, wasza prywatna bielanka  
sypie w niezwykłej obfitości czarne kwiaty  
z zawieszonym na szyi koszyczkiem  
Rozsypuję ich kadzielniczy swąd pod wasze stopy  
by ośmielić wasze kroki i uczynić je odtąd innymi

# *Pieśń pierwsza. Strojne przygotowania*

Cierpkie wilcze jagody o kolorze nieprzeniknionym  
w mojej rozwartej jamie ustnej niczym perły macicy  
turlają się, rozsadzają się przez wewnętrzne ciśnienia  
mają niezwykłą moc trucia i atakowania śluzówki  
Być może istnieją sanktuaria Matki Bożej z żyłakami  
od zbyt ciężkich reklamówek reklamujących pustki  
gdzie przez pomyłkę komuś śnią się niewłaściwe sny  
Przygotowałam się odpowiednio do pisania pieśni  
Nocne rzucania kamieniami w zwierzęce skowoty  
Stroiłam się, zerkając na małe, schowane lusterko  
takie kosmetyczne, takie żeby nikt nie widział  
Wkładałam różne wersje ubrań, chcąc robić wrażenie  
niebieskie spodnie, czarna bluzka, biały stanik  
Nic jednak nie pasowało w mojej garderobie  
z radością odkryłam, że wszystkie moje ubrania  
są za małe na mnie, co za miła niespodzianka  
Stanęłam naga, bardzo narażona przed sobą  
Spoglądałam ciekawie, uśmiechałam się cynicznie  
wobec siebie, wobec mojego własnego podglądactwa  
W moich włosach zaszczepliłam dyskretne sadzonki  
byłam bardzo tkliwą ogrodniczką dla moich pasożytów  
jak dziwne zwierzę w głębi ciemnych kolorów  
z drobnymi żyłkami narośniętymi na nim  
naturalnie, bez dekoratorstwa, bez designu  
Tylko niech one zdobią moją niezręczną nagość  
Jest wśród nich parę niezwykłych okazów, spójrz  
moje słodkie narośla, moje guzy schowane  
Ze względu na tę uroczystą, podniosłą okazję  
założę tylko dziecięcy śliniaczek, bo będę się ślinić  
od dużej ilości słów, nadmiar może mnie pobrudzić  
Brudasek będzie opowiadał  
Prosto do kąpieli, marsz  
Prosto do chloru, marsz  
Moja ucieczka przed detergentem zaczyna się  
Mogłabym zapuścić sobie długą, gęstą brodę  
czesałabym ją, zmieniając codziennie stylistykę  
to w prawo, to w lewo  
Merdałabym nią jak długim ogonem uznania  
starcze doświadczenie zakłęte w końskim włosiu  
To naprawdę robi cyrkowe wrażenie  
ilu jest chętnych na takie rozwiązanie  
Stoją cierpliwie w długiej kolejce, doczekując się  
Przenoszą ciężar ciała z jednej nogi na drugą  
delektując się rozdawanymi za darmo drinkami  
Moja broda pasowałaby stylistycznie do powagi sytuacji  
Mój złagodzony wzrok osiadałby na pobliskiej ławce  
ze zmęczenia, już nie mogłabym iść dalej, jeszcze  
dalej, i jeszcze przejść przez płot, i jeszcze przez ten  
dziurawiąc swoje nylonowe rajstopy z przeceny  
Więc udaję się na dziką wyprawę do źródeł Amazonki  
jako tako dogadam się pewnie z każdym ludem

pogryzą mnie jakieś łacińskie muszki przeszkadzajki  
Moją samotną przeprawę zrelacjonuje chrząszcz  
Dostanę po buzi od jakiegoś nazistowskiego przybłądy  
Wsluchując się w zwiastujące dźwięki odmětów  
maczetą będę ciąć ostro zarośniętą od dawna ścieżkę  
Szeleszcząc złowieszczo i delikatnie  
ze śliniakami i ze spinkami we włosach przez las  
będę szeptać o Niebie, Piekło, staroświeckim Czyścucu  
Wysoko drażniący środek do czyszczenia toalet  
stoi z boku obok niszczącego wszystko proszku  
wraz z brudem zginie wszystko  
Obsikane dookoła, tylko nie tam  
Rozluźnij nozdrza teraz

## *Pieśń druga. Rebus I*

Został mi zadany pewien rebus, nie do rozwiązania  
Niestety nigdy nie był ani czytelny, ani oczekiwany  
Czy był napisany w języku łacińskim, czy fińskim  
a może jakiś tajemny dialekt kretów w czasie nocy?  
Rebus ciągle tkwił spalony, w tłuszczu pływając  
wbity jak nóż harcerski dla zabawy w ziemię, we śnie  
Potykałam się ciągle o niego, przeklinając  
jego przypadkową namolność i tępe ostrze  
Do tego te obrazki w środku niego, do rozwiązania  
Nic nie rozumiałam z ich kształtów, ze znaczeń  
mimo że uzbrojona byłam w wiedzę o abstrakcji  
Nic nie pomogło mi zbliżyć się do tego, co znałam  
One ciągle śledziły, śledziły każde moje drgnienie  
śledziły moją wycieczkę do sklepu spożywczego  
Nerwowo odwracałam się do tyłu, czując się obserwowana  
w poszukiwaniu tajemniczego sprawcy moich niepokojów  
Ich nierozpoznawalność i niemożliwość zrozumienia  
była niezwykle strojna, kusząca dla znudzonego  
a ich powłóczyście treny ciągnęły się, ciągnęły  
Świadczyły o ich niezwykłym dostojństwie i randze  
To wszystko zaplątało się w moje krótkie włosy  
Jako kobieta muszę się regularnie czesać z pokorą  
by wszyscy znali mój jasny i dobry wizerunek  
Chciałam się rozczesać, z radością rozpoznać  
swoje oblicze w lustrze, ale się już nie rozpoznałam  
niestety już nie, na zawsze będę już rozczochrana  
Rebus został mi zadany, a rozwiązanie nie może go dotyczyć  
już nie ma żadnych gotowych rozwiązań w zestawach  
w zestawach z warzywami z plantacji czyścicowych  
Chóry, zastępy krzyczą w odpowiedzi jednocześnie  
każda jest inną właściwością, każda jest właściwa  
więc posłucham nieuważnie tych wiekiuistych stworów  
Niech w chórach, bo tak raźniej, niech krzyczą, niech fałszują  
Niech zaczerwienią się na widok publiczności  
Niech ich gigantyczne płomienne oblicza będą nieśmiało  
schowane za moim mięsistym ramieniem, podziwiajcie

## *Pieśń trzecia. Oblubieniec na drodze*

On ma maślane stopy pełne prochu, pełne maku  
Rozpływają się w żarze taniego asfaltu  
położonego tu tylko lokalnie, na chwilę  
Słyszę, jak stukają jego brokatowe obcasy  
Jak wyglądam, czy jestem dostatecznie piękna  
czy zauważy mnie w niezwykle ciemnym lesie  
Mój speszony wzrok sarenki z za krzaka  
Chodź ze mną w bardzo ciemne błędzenie  
bez ścieżek, bez górskich szlaków, bez niczego  
Stanę tak oniemiała, uderzona jego blaskiem  
drażniącym boleśnie nocne spojrzenie  
Będę bezbronna, bez żadnej ukrytej kieszeni  
pachnąca dzikimi odmętami leśnych dotyków  
głaszczą, głaszczą moją dziką skórę  
Nadchodzi, a jego wzrok przenika ukrywane  
pod paznokciami drobne tajemnice nieczystości  
Myśliwy bez nienawiści w oczach, w powiekach  
Jego głos słyhać z dala, jest przenikliwie cichy  
Ze wzruszeniem dopytuje się o mnie u znajomych  
pokazując im moje nieaktualne zdjęcie  
Już tęskni za szorstkim, za ściernym ciałem  
Wszyscy będą go mieli za bezpiecznego szaleńca  
Jego zazdrość zawieszona na wieszaku w szatni  
Układy współrzędnych, niech on będzie zerem  
Teraz jest bardziej X niż Y, później bardziej Y niż X  
Gołębie roznoszące tyfus już zwiastują kroki kolosa  
Jego naiwne ciało pachnie ciastem drożdżowym  
pełnym ciepła, wewnętrznej, radosnej pulchności  
Spotyka mnie liżącą swoim różowym języczkiem ranę  
Prawdziwe łobuziary łąą cały dzień po drzewach  
nie schodzą na ziemię, tylko boleśnie spadają  
na kolana, na kolana  
Spojrzy na mnie bez pożądania, bez przywiązania  
Podejźmy do siebie w połowie drogi do Miąskowa  
Na czarnym podłożu rzeczy wszelkiej pozdrowi mnie  
pod naporem tak banalnie niezwykłego gestu rozpadnę się  
na kawałki

## *Pieśń czwarta. Love will tear us apart*

Oto efekt pryzmatu, jednak lekcja fizyki  
Zjawisko całkowitego wewnętrznego odbicia  
pozwała użyć pryzmatu jako idealnego elementu  
odbijającego światło, mam kąt wynoszący 62°  
kąt między ścianami, gdzie skryłam resztki  
Odrobina miłosierdzia ubranego w plastikowe kwiaty  
rozszczepiła mnie na kilka barw, na kilka właściwości  
już nie mogłabym być tylko jako Bianka  
Muszę już chóralnie, oralnie, muszę piszczeć już  
w trzech postaciach, w trzech wygodnych zapachach  
Stoję na złotym trójnogu przed tobą, żeby się nie potknąć

Jestem teraz jeszcze bardziej zwichrowana niż zwykle  
Moje czarne patyczki w konstrukcji koronkowej  
połamały nóżki, zresztą mechanik konstrukcji to wie  
były za silne przeciążenia na delikatny materiał  
Można było się tego spodziewać od samego początku  
Z przerażenia tą katastrofą każdy z kolorów uciekł  
pośpiesznie chowając swe atrybuty w zarośla  
byś nie zauważył, że wszyscy są nadzy i tacy słabi  
Stałeś jeszcze przez chwilę, a potem z miną znudzoną  
krok za krokiem wracałeś do domu na obiad  
pozostawiając mnie tak bardzo inną, pokolorowaną  
Mój pierwszy kawałek schował się w norze jako Nieme  
czekał on do wieczora, by ruszyć na nocne łowy i ruję  
Drugi kawałek znalazł się pod ściółką i przytulał się  
uciekał do przygodnych futerek dających ciepło  
Trzeci zaś sklecił sobie gniazdo z ostrej trzciny  
Po pewnym czasie zostałam wywąchiwaną  
Moje tropy znalazły już wszystkie dzikie zwierzęta  
Bianka już nie jestem tu, oto moje trzy ramiona  
Tylko dla twojej osobistej pociechy  
przedstawiam ci: Bianca, Bruna, Blu

## *Pieśń piąta. Pierwszy kawałek o naj- bardziej łagodnych krawędziach*

Z powiewem wiatru w przyszerokich spodniach  
wielokrotnie rozrywanych w bolesnym kroku  
od zbyt długich i tanecznych kroków  
z oddechem, którego wszyscy unikają  
podśmiechują się ze mnie w autobusie, jestem Blu  
Dziewczyny na mój widok mocniej przytulają  
swoich przystankowych towarzyszy, drżąc  
jak sadzonki pomidorów wspierające swój ciężar  
na solidnych patykach, które korygują ich kształt  
Dzieci patrzą na moje ciemne oblicze  
szukając oczu do rozpoznania twarzy  
Chodzę, patrząc się na bezcelowy ruch  
Ich mobilność jest absolutnie zbędna  
Na dworcach świata mam swoje apartamenty  
President Suite z marmurową posadzką  
Oddaje mi ona swój zbawienny chłód, spokój  
Obdarty jestem z koronek tłumiących oddech i ciało  
Drapię się za uchem, spoglądając na wysokie kobiety  
w reklamówkach całe życie za 35 złotych z resztą  
Jestem cieniem, przybrudzonym krawężnikiem  
w którym zbierają się kałuże, mokre odpadki  
wsiąkają we mnie swobodnie i lekliwie  
Wystraszeni swoją pewnością siebie, uciekają  
na drobnych nóżkach, w podziemne przejścia  
Szarobura cera uczyniła mnie prawie umarłym  
co może się stać z człowiekiem, gdy nie słucha mamy  
co może się stać z człowiekiem, gdy nie słucha innych

Moje kroki bujają się w rytmie siarczanych opowieści  
Prawdziwie niesamowite, bo oni tak zawsze  
moi kompani częstują mnie nimi jak papierosami  
Nie mam przeszłości, nie mam ani ojca, ani matki  
nie mam licznych siostr, braci, przyjaciół, wrogów  
nie mam kochanek, ani kochanków  
nie płaczę, nie szukam pocieszenia  
ani łaski, ani litości, ani gniewu, ani ciebie  
Nie jestem samowystarczający, ale wystarczający  
dlatego jestem nieproszonym dozorcą  
komentatorem pięknych, rozproszonych detali  
Dostaję grosze od zgarbionych ludzi  
dzięki temu co dzień jem czerstwy chleb  
piję najtańsze, wiśniowe wino  
w plastikowo-kryształowym kielichu uwielbienia  
Toczą mnie w środku jakieś nieznanne choroby  
których objawów ciągle oczekuję  
Z pełną świadomością przyjmuję wszystko  
Moje ciało tęskni już za rozkładem  
Czuję tę piękną i skuteczną presję  
tę dyskretną elegancję wycofywania się  
w środku przyjęcia

## *Pieśń szósta. Ośrodek wypoczynkowy z kokosem w logo*

Chłodny poranek zaglądał mi ostro w oczy  
jego mocne uderzenia to jasna tenisówka  
Prosto w głowę pachnącym butem z gumy  
W mojej głowie jeszcze vino bianco  
w plastikowej paczce, z kraju kwitnącej wiśni  
Odkleilem powieki ważące na oko pół tony  
Przeprowadzając sondę, zbierałem na bułki  
Tematem sondy był wpływ poezji metafizycznej  
wpływ na codzienne życie młodzieży licealnej  
Jakaś piękna kobieta o niewyraźnych rysach  
podarowała mi coś niezwykłego  
w dniu mojej śmierci, amen  
Błękitny likier o smaku kokosowym  
luksusowa przyjemność, z naruszoną pieczęcią  
Siedziała przy mnie, nie mówiąc nic  
Spoglądała na mój płaszcz, cerując go wzrokiem  
Kobieta pełna lęku o swoje chude ciało  
Gdy moi kompani zobaczyli moje błękitne usta  
powiedzieli, że całowałem się z niebem  
Wysoko, wysoko w tym pięknym dniu  
Moje ciało bujał jeszcze skryty aromat kokosów  
które w egzotycznych krainach zdobią hotele  
nazwy ośrodków wypoczynkowych all inclusive  
Moje serce zaczęło wybijać nieznanymi mi rytmem  
bardziej nerwowym, nieujarzmionym już niczym  
Rytmika zaczęła wyskakiwać poza układ linii



Nuty nie mieściły się już w tych układach  
przystały się do nich ciągle odnosić  
Poczułem przeciągły ból w klatce piersiowej  
cicha czerni okryła moje zmęczone oczy  
Bolesna depilacja trwała zaskakująco krótko  
Spojrzałem jeszcze raz na to moje ciało  
pogrążone w przyjemnym półmroku dworca  
Porzucony odwłok, zapomniana torba turystyczna  
Czułem radość cząsteczek w stanie rozpadania się  
w podskokach z radości wracały do domu  
na progu z dala wyglądali ich widoku zżercy  
Ktoś próbował mnie przebudzić elektrowstrząsami  
robiąc mi awanturę za jego własne życie  
Słuchałem tych oddalających się dźwięków  
zмирzając już na stację Ursus Północny

## *Pieśń siódma. Blu podróżuje znów*

Tchnienie jak wiatr zdmuchnęło mnie czule  
ruszyłem w kierunku cichych konstrukcji  
pełen nieśmiałego oczekiwania na jakieś zaproszenie  
to wszystko przez te kokosy, jak zwykle  
Ich egzotyczna woń kołysała mnie w uśpieniu  
CHODŹ — szepnęło niejęzykiem jakieś nieistnienie  
Wszystko zaczęło się wzajemnie znosić  
ten szum był szeptem miliardów istnień  
Żaden z tych głosów nie był głośniejszy czy cichszy  
dlatego wszystkie były słyszalne równocześnie  
Chodź do nas, chodź do nas, wielość cię woła  
Jesteśmy cudnie przeludnieni  
jakże piękna ta istna katastrofa demograficzna  
w obfitości przelewamy się na wszystko  
Usłyszałem w swoim duchu rwącą tęsknotę  
byłem ścigany z wielką szybkością  
Czułem, jak wszystko ściszone do tej pory  
ryknęło przeciągle z ukrytego schowka  
odpowiadając twierdząco na zawołanie  
zakłete w tym dźwięku, przenikliwie pytające  
Pozostałem wspomnienia, zbędne powidoki  
Nędzne, żebracze wybory zdmuchnięte zostały  
Przymknąłem swoje już nieoczy z powodu blasku  
gdy je otworzyłem, byłem już w czymś innym  
gdzie powietrze było gęste od Wielkiego Jodu  
Oddychało się już tylko nim  
przy pierwszym oddechu poczułem bliskość morza  
Biegnij, biegnij, zaraz je zobaczysz  
Przestrzeń była podobna do niezwyklej plaży  
Na szerokim, ciepłym brzegu zobaczyłem  
w różnych odległościach od siebie postaci  
Jeszcze były w odległościach od siebie  
czekały na przyływ, aby je zabrał  
gdy spojrzałem w stronę morza, poczułem  
AAAAAAbsolutne spełnienie mnie i wszystkiego

## *Pieśń ósma. Mare<sup>1</sup>*

Wielkie, czarne, rozlewające się po policzkach  
Nieskończona liczba koncepcji, myśli, konstruktów  
powołanych z przepelnienia do przepelnienia  
do jeszcze większej obfitości przelewana  
Czułem miliardy, były wspólne i oddzielne  
Chłód owiewał mi twarz, spełniona rewolucja  
To chłód dostrzegany przez niewielu  
za słaba jakość soczewki w lornetce  
Dryfowały tu nieoczekiwane metafory  
burzycielskie i dzięki falom rytmiczne  
Były jak resztki po rozbitych samo lotach  
Drzazgi z drewna, resztki wsłuchane ostatecznie  
Nie było tam czasu terażniejszego, *passato prossimo*  
Ja stałem, wchłaniałem ten widok otwartą gębą  
Pocztówka z widokiem za 1,50  
plus znaczek znaczeń, by odnaleźć nadawcę  
Wiekuiste leżenie na zabujanym w tobie hamaku  
podczas zmasowanych ataków rozwiązań  
z butelką niepotrzebnego wina oglądasz sufity  
nie dotykasz podłóg zabezpieczonych izolacją  
Dotykam głową sufitu, no proszę  
mój policzek przykleja się do niego  
no, już nareszcie nie można wyżej  
To bardzo staroświeckie standardy wysokości  
Supłana konstrukcja przyjemnie cię obejmuje  
Nie ma tu wielce oczekiwanych staruszków — owadów  
Wszystkie możliwości są tu spełniane w spokoju  
wszystkie oprócz ograniczeń, koncert życzeń  
Słowa mają tu swoje liturgiczne głębokości  
zaskakujące w swych turbulencjach i przejawach  
Sanctus, sanctus, sanctus<sup>2</sup> łamie porządki  
porządki szklanych gablotek  
porządki systematyczności gatunków  
ułożonych przez moralizatorów, przez archeologów  
Morze ma swoje przyływy i odpływy  
Teraz lekko się wycofało, odsłaniając piaszczysty brzeg  
odsłaniając swą anarchiczną antygramatykę  
Oto reklama ośrodka wypoczynkowego  
gdzie ciągle brakuje kompletu na turnus 27.07.–30.08

## *Pieśń dziewiąta. Wybrzeże*

Na plaży dostrzegłem resztki po ludziach  
Zbiornik je zabierze, poszerzając swoje reguły  
lingwistyczne  
Bliskość morza sprawiała, że piasek rumienił się  
był poświęcony wielokrotną ilość razy  
na wszelki wypadek uświęcany stale  
Miewa swoje ledwo słyszalne harmonie

<sup>1</sup>*Mare* (łac.) — morze. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Sanctus, sanctus, sanctus* (łac.) — święty, święty, święty. [przypis edytorski]

Niechący porzucone muszle dające echa  
wyrzeźbione w kruchej powłoce wapiowej  
wspominają pracownie rzeźb z plasteliny  
zwiastują perfekcję w niedoskonałym tworzywie  
Północna plaża pociągała mnie najbardziej  
inaczej łamała się tu linia brzegu zwiędniętego  
Nie było tu żadnego przedstawiciela ratownictwa wodnego  
Zanurzyłem swe stopy w piaszczystym brokacie  
Moje istnienie mieniło się niczym zabawka na choince  
pełna refleksów, pełna uroczystej odświętności  
lecz pozbawiona odbić wpatrzonych we mnie  
Spacer do wysokiej kobiety, którą obrałem za punkt A  
sprawiał mi niewymowną przyjemność  
Samotny wypad za miasto w pojedynek  
Pojedynek ze sobą samym  
W podmiejskim pociągu, dwie moje połówki  
Czy jeszcze coś Pan sobie życzy?  
Wie Pani, tak się jeszcze zastanawiam  
cienie po ciałach w formie ręczników, poproszę  
Dizionario di lingua perfetta, per favore  
jeszcze poproszę, aby pani się też spakowała  
do tych zakupów, czy zmieści się Pani do jednej reklamówki?  
Czy wszyscy się zmieszczą?  
Mój wózek złomiarza, wiecznego tułacza  
da sobie radę z takim ciężarem, z taką mnogością  
na sankach zawiozę, zostawiając po sobie ślad  
Wszyscy będą w stanie mnie wywachać już teraz  
psy policyjne, młodzieżówki polityczne  
Moje sekretne drogi i skróty

## *Pieśń dziesiąta. Psalm do kobiety ze złamanym stawem biodrowym*

Kim jesteś, o piękna przyjaciółko moja  
o rudych włosach, zawsze mi się takie podobały  
spiętych jak kurtyna, tylko dwoma punktami  
Jakże twoje jasne oblicze jest olśniewające  
Piłaś zawsze esencję z herbaty, inni rozwadniali  
stąd pewnie twój herbaciany odcień  
Twoją cerę pokryły piegi i niedoskonałości skóry  
wrażliwej z tendencją do wysuszenia się  
Z długimi nogami na ręczniku plażowym leżysz  
kremem posmarowana UV 100, byś się nie spaliła  
jesteś tak cholernie wrażliwa na wszystko  
Czarne okulary chronią twój skacowany wzrok  
Jednoczęściowy kostium zawodowej pływaczki  
Siedzisz tak, paląc papierosa, wpatrując się w morze  
Jego łagodna rytmika odpowiada echem w tobie  
Cóżżeś zrobiła, o moja piękna przyjaciółko  
że znalazłaś się tutaj, na tym dziwnym brzegu?  
Czy nosiłaś etiopskie dzieci na uszach  
a może byłaś artystką społecznie zaangażowaną

wzruszałaś się na samą myśl o mniejszościach?  
Może dostałaś pokojową nagrodę Dżingis-chana  
Zapach od morza morski swąd oddaje, czy wiesz  
masz piękne ramiona i spokojny oddech w sobie  
Czy mogę położyć się przy tobie na ręczniku?  
Przyglądając się wnikliwie, skorzystać z tej okazji  
kiedy jesteś taka plażująca i obojętna wobec mnie  
Nie proponuję ci romansu w stylu country rose  
po prostu położę się obok ciebie, spojrzysz na mnie  
swoim szarym spojrzeniem z rudym owłosieniem  
Więc zlituj się, o zlituj  
Bądź miłosierna, zdejmij te okulary  
No pokaż mi się wreszcie

## *Pieśń jedenasta. 29 minut i 3 sekun- dy*

Pięknie piejesz, o nieznajomy, budzisz mnie  
Pięknie piejesz, o nieznajoma, budzisz mnie  
Prosząc mnie o głośną odpowiedź na ciebie  
Tajemnicze reguły zawołały mnie tutaj  
niepotrzebne jest mi ich zrozumienie  
Jestem kobietą ze złamanym stawem biodrowym  
Moje dawne gesty zakończyły się wreszcie  
Oceniam je jako niedostateczne formy baletowe  
wywijanie nogami i rękami według ustalonych reguł  
Moje całe życie to był wielki wyścig pokoju  
Ja utalentowany, lecz niedoświadczony kierowca  
w środku sezonu zaczynam spadać w rankingach  
nie potrafię sprostać wysokim oczekiwaniom  
jakie narzuca mi ambitna publiczność teatralna  
Zamiast jechać prosto, z dużym impetem prosto  
skręciłam na dziwne drogi, lykając żwir z pobocza  
znalazłam sobie mój osobisty pościg  
za tym, który kochał mnie grzecznościowo  
przez 29 minut i 3 sekundy  
potem już nie, potem już tylko płacz  
Byłam doskonałą aktorką teatralną, słodka żmijka  
tak mnie przezywali moi drobni przyjaciele  
przyjemne włazidupki liżące mi opuszki palców  
Moje role były wymagające poświęceń  
„Nigdy nie będę twoja w polu rzodkiewek”  
Wyżej oczy, wyżej nad publiczność, nad  
Melodramatycznie do granic obrzydliwości  
zakochałam się w stażyście, grał drzewo w tle  
Nikt go wtedy nie zauważył, tylko ja niestety  
Skrywał się nagi za gałęziami, wstydząc się  
Nagi, schowany przed karcącym wzrokiem  
wciągnął mnie do swojej czarnej dziupli  
na 29 minut i 3 sekundy  
potem uciekł wraz z całym sztucznym listowiem  
Obciął mi ręce, nogi, głowę, włosy, rzęsy

za pomocą chińskiego zestawu do obcinania  
wydłubał ze mnie wnętrzności, porcja rosółowa  
Pozostawił mnie kadłubem, bez właściwości  
wypieprzonym na jakieś nieprzyjemne warunki  
atmosferyczne, wtedy było zimno i mokro  
Jeździłam cadillakiem, pijąc drogi koniak  
z gwinta, sapiąc z przyjemności i bekając  
Oto pocałunki mącące moją marność  
Słodkie pocałunki prosto w usta, z gwinta  
Załamana nerwowo aktorka biega w nocy  
Nie chciałam nikogo innego już więcej  
Byłam bogata, ale to nie było nic warte  
Zostawił mnie z jego dociskami palców  
łatwy do rozpoznania sprawca zamieszania  
Jego intensywny zapach ciągle miałam na sobie  
Jeździłam płynnie przez rozświetlone bulwary  
nawet rozbijając swój wóz w kolorze ecru  
miałam w ustach jego znakomity smak  
Wypadek spowodował moje kulawe inwalidztwo  
Miałam wiele okazji na przyjemne chwile  
z pachnącymi jeszcze produkcją, jeszcze fabryką  
ale stałam się umarła dla pustych odwłoków  
Stałam się jednoosobową zakonnica  
odepchniętą, z wbitym kawałkiem karoserii  
w kolorze kremowym w piękne biodro  
Wycięty z tyłu mój czarny habit z wyleniałą etolą  
którą miałam na sobie w tamten wieczór  
Złożyłam śluby czystości dla tego, który odszedł  
w sumie chrzanił moją kondycję psychiczną  
Oto rzucam miliony nie pereł, ale diamentów  
przed niegodnego  
Niech kopie on te kamienie poświęcone  
Niech jego but zgniecie ich mineralne struktury  
Niech wreszcie poślizgnie się na nich  
I niech stłucze sobie boleśnie staw biodrowy

## *Pieśń dwunasta. Biodro, które się zro- sło*

Nie miałam w sobie cynizmu ani złości w trzewiach  
nie nosiłam w portmonetce drobnych, przekleństw  
Byłam przyjemna dla środowiska naturalnego  
Moje osobiste spaliny chronione były katalizatorem  
Zestarzałam się w spokoju, narzekając na ślad  
w krągłym biodrze, choć już nikt nie pamiętał  
Świetność mojego brązowego biodra minęła z czasem  
Pokochałam swoją cichą samotność z esencją herbaty  
Miałam coraz bardziej niewygodnie spętlone buty  
wbijały mi się w moje poskręcane stopy zapomnianej  
Coraz bardziej gniotły mi się jedwabne rajstopy  
na zmarszczonych kolanach ciągle wyczekujących  
Codziennie na targu kupowałam świeże warzywa  
Gotowałam, patrząc, jak zanurzają się w gorącej wodzie

to jedyny grzech, który wspominam z niepewnością  
Słoneczna staruszka ze zdziwieniem odkrywa siwiznę  
Często w sklepach, dla żartu, grałam zapomniane role  
ku uciesze publiczności, by się cieszyli jeszcze raz  
Umierałam spokojnie wraz z kolejnymi kwitkami  
odcinki emerytury i badań na obecność nowotworu  
Na ostatnie pół roku bólu zostałam położona  
w Umieralni, gdzie zaprzyjaźniłam się z paprotką  
z wolontariuszką, którą namówiłam na studia  
Kiedy zmieniała mi pieluchę, podawała mi mleko  
dla dzieci powyżej 6 miesiąca życia, 6 miesięcy życia  
Cicho zasnęłam którejś gwiazdzistej nocy teatralnej  
oddychając spokojnie i nie oddychając już spokojnie  
Słodka ciemność przygarnęła mnie ręką, wyciągniętą  
tylko do mnie, zgarniającą mnie jak drobniaki  
Teraz tu, na plaży, moje nieciało spoczywa w pokoju  
na ręczniku w kolorze ecrú wieczny odpoczynek  
Niedługo przyjdzie przypyływ, czuję to w biodrze  
Jest bardzo wrażliwe na zmiany atmosferyczne  
Zabierze mnie do siebie na zawsze, spełni mnie  
tam gdzie będę tą, której biodro nareszcie się zrosło  
Moja meta nie była więc w ramionach drzewa  
Moja meta to ramiona tego brzegu, kochana czarna toń  
Nic potrzebuję, to miłość od pierwszego wejrzenia  
Wiem, znam doskonale jej słodki smak

## *Pieśń trzynasta. Pocałunek na do- branoc*

*Blu śpiewa*

Moje współodczuwanie stało się teraz wyraźne  
Poczułam dokładny jej ślad na moim biodrze  
bolesną karoserię w sobie, którą ona nosiła  
przez lata jak drogocenną biżuterię, pamiątkę  
Leżeliśmy chwilę na jej pachnącym ręczniku  
Wielki Jod napełniał nasze resztki płuc  
wypełnieniem tam, gdzie zawsze brakowało  
czyniąc z każdej naszej odpowiedzi pieśni  
o zapomnianych melodiach i hultajskim rytmie  
Brokat lepił się zabawnie do naszych lekkich dłoni  
Pocałowaliśmy się w usta na dobranoc  
w koszulach nocnych dopasowanych do braku ciała  
wymierzonych przez szepczące dziwadła  
Oto stroje wieczorowe, strojne tylko na jeden wieczór  
na jeden cichy zmierzch, schowany przed wszystkimi  
kiedy jest tak sympatycznie chłodno, dyskretnie  
Moja przyjaciółka spokojnie odwróciła się do morza  
Nie potrzebowała mojej czułości ani głaskania  
Nie potrzebowała już mojej śpiewnej obecności  
Z dała punkt B migotał już do mnie cekinem  
Był to dla mnie sygnał dźwiękowo-światlny  
powiniennem już iść do kolejnego morskiego żyjątko

Moje kroki znów stały się taneczne  
Mój wzrok ciekawie rysował kontury nieznanego

## *Pieśń czternasta. Pieśń przejściowa*

*Tanecznym krokiem*

Przechodzenia, dochodzenia do ciebie  
Prawie mam ciebie, prawie się zbliżam  
Poczekalnie na przejście w ścisku do uścisku  
Korytarzem długim wędruję i wrzeszczę  
Rytmiczne uderzenia z boków rozpraszają  
Po pęknięciach betonu skaczą  
byle nie na gładką płaszczyznę szlaków  
by nie iść wygodnie, skuchy obowiązkowe  
Wymagam znalezienia słodkich błędów  
tylko ich śladami wędruję zdyscyplinowany  
tany, tany, jestem kawałkiem rozprysniętym  
wywijam rękami w powietrzu  
skacząc nad przepaściami płyt chodnikowych  
W powietrzu łapię braki słów niczym alpinista  
przyciągam swój ciężar ciała do nich  
już mogą utrzymać mój ciężar  
Zawsze mi ich brakowało jakoś  
bo to jest pieśń przejściowa  
bo zazwyczaj tak bywa  
bo nie jest to pieśń pomiędzy  
lecz to taki nieśmiały rodzaj układu rodnego  
prawie że ginekologiczny opis  
przechodzenia z bezcelu do bezcelu

## *Pieśń piętnasta. Dziewica z czerwonymi uszami na plaży*

Na piachu, w piachu pogrzebany  
Ma oczy zwrócone na mnie, woła cicho  
Oczekuje mnie z niecierpliwością  
chce zaśpiewać mi mleczarską pieśń  
Jego zapach unosi się z daleka  
Ciemne, kręcone włosy i wysokie ciało  
długie ramiona, czerwone uszy słonia  
pierwotnie wyzbyte żądz, a to ciekawe  
Jedwab jego skóry najdelikatniejszy  
tkany przez nieświadomych przodków  
Panie i panowie, proszę nie piszczęć  
Leżał całkiem nagi i spokojny zarazem  
Wiatr święty delikatnie palcami cesał  
jego ukryte kołtuny, ukryte skrzętnie  
czerpał z tego ukrytą przyjemność  
Jego istnienie zwiastowało kwaśność  
Jasna, wytworna obecność na brzegu

Na jego widok pragnąłem go już mieć  
jakbym się z nim rozstał na chwilę kiedyś  
powracając do siebie z większą tęsknotą  
Twoje ręce nie pachną ciałami innych  
Manikiur pozwala ci zachować czystość myśli  
Pachnąca pokusa pozostawiona na parapecie  
zwabia wygłodniałych daleką podróżą  
Nieotwarty dłużej zachowuje swój smak  
Wytrwale skrywany przed smaźalnią ryb  
zwinięty w papierek-cukierek słodki  
O Boże, o Boże, jaki on bywa piękny

## *Pieśń szesnasta. Dziewica o czerwonych uszach śpiewa*

Tak, jestem nią, czystą, wyborową jednostką  
Nikt mnie nie dotknął, ja sam nie dotykałem  
choć może raz albo dwa razy z tęsknoty  
Jestem ofiarą całopalną, spaloną doszczętnie  
Tylko czerwone, zawstydzone uszy pozostały  
po mnie jako jedyna odznaka, medal za odwagę  
Śpiewam teraz postpunkowe pieśni jodłowane  
byś, piękny włóczego, pozostał chwilę przy mnie  
Od liceum nosiłem buty, które gniotły miękkości  
Byłem jak trup spalony dla wszystkich  
Nikt nie zna tego smaku dziwnego  
rwą się w swojej wilgotności i gotowości  
do spełniania się w tym lub innym na chwilę  
Ja, syn mleczarza, rozwoziłem ser żółty i biały  
z czerwoną obwódką po północnych wsiach  
a stare kobiety uśmiechały się do mnie cicho  
nie miały reszty, one były resztkami  
Dla wszystkich byłem raczej sfumato  
Moje krawędzie były miękkie i maślane  
nikt nie mógł mnie uchwycić za ostry kontur  
Tylko czerwone uszy do tarמושenia pozostały  
czerwone i drażniące w mlecznym pejzażu  
sygnalizowały mnie z daleka, w nabiłowej mgłę  
Z pewną łatwością akceptowałem mój brak siebie  
brak szorstkiego zarostu z powodu jego lub jej  
W czarnym podkoszulku rozwoziłem serki  
homogenizowane, do smarowania się na plaży  
Ani kobieta, ani mężczyzna  
ani chodzący na rękach czy tańczący na zębie  
nie oderwał mnie od wachania krajobrazu  
o 4 rano, gdy już ciężarówka czekała na mnie  
na moje czerwone uszy z małą zawartością tłuszczu  
Dla wielu mogłem być nosicielem płodnych wirusów  
lecz nie byłem ani dodatni, ani ujemny  
Zbliżałem się do nich, lecz nigdy nie dotknąłem  
mógłbym przez to coś stracić z mleczności  
Przejeżdżałem poprzez ich zbiorowiska rano  
Mogłem być dupą światowców, co za frajda



w zapasach błotnych zdobyłbym główne wyróżnienie  
za każdorazowe drżenie przed stosunkiem ze strachu  
Niepotrzebne mi były kwieciste badania ginekologiczne  
Nie oceniałem ich, tylko z daleka spoglądałem  
pozostawiając po sobie ślad czerwonych uszu  
Cóż by mi przyszło, gdybym ich wszystkich posiadał  
doznał okrzyków rozkoszy, zdziwienia sobą nagle?  
Nikogo nie obsługuję, więc nie mam nikogo  
Chciałem być takim wielkim kolektywem  
dla tych, których nie wybrałem z powodu uszu  
czerwieniących się ze wstydu bliskości  
Popuszczanie fizjologii, popuszczanie słów  
Więc dzięki temu mogę wyśpiewać tę pieśń  
wyznaczoną przez wieki tylko dla mnie  
Moja negatywna melodia przy morzu

## *Pieśń siedemnasta. Uszy stają się mlecz- ne*

W dniu swojej śmierci miałem dziewiętnaście lat  
dwie plomby w zębach, jeden ubytek  
Nastrojowy zachód słońca w mojej głowie  
Była zima i wcześniej zachodziło słońce  
Była zima, więc szybciej zachodziłem i ja  
Wybuch gwiazdy, katastrofa astronomiczna  
wylew w mózgu, wylew na ten brzeg tutaj  
Zadano mi tylko jedno pytanie w przejściu  
uśmiechnąłem się, znając odpowiedź  
Anarchistyczne echo we mnie się odezwalo  
śpiewne spojrzenia we mnie, na mnie  
Poślubiony z czarną oblubienicą, ulubienicą  
patrzę na jej cichy rytm, leżąc tutaj, słuchając  
Oto idę mleczny i zależny już teraz od niej  
tylko moje białe uszy jeszcze tu pozostały  
nie są już czerwone, usłyszały nowe rzeczy  
Noc poślubna tylko dla mnie, z morską tonią  
Połóż się przy mnie towarzyszu, głowę oprzyj  
Patrzmy na naszą nieznaną piękność schowaną  
przed światem tutaj skrytą, niepodglądaną  
Chowa się ona przed nami, kusząc nas  
swoim egzotycznym spojrzeniem niewinnej  
Nie musisz degustować, dzisiaj jest szwedzki stół  
kosztuj mnie z ciała bez ciała, ile chcesz  
można wywalić ten pachnący wilgocią ręcznik  
do wiecznego podcierania krocza  
Leżę więc bez ręcznika na lśniącem piasku  
Kto zna takie trudne pieśni?  
Kto zna ich smak, gdy melodia jest wymagająca  
od piejącego odpowiedniego, niemożliwego głosu?

## *Pieśń osiemnasta. Korytarzem i potem prosto*

Korytarzem w lewo, potem w prawo  
Lewy kąt w prawy róg wystający patrz  
Potem trochę schowam się za kaloryferem  
Potem trochę przy niesuficie zawisnę  
na półtorej godziny albo na 40 minut

Głowa włóczęgi porysuje ściany brudem  
Rozwałę rękę o ogrodzenie, przechodząc  
boleśnie, serdecznie będzie zdruzgotana  
Potem skręcisz w przecznicę bez światel  
zauważysz do niczego nic podobnego

Młodzieńca pozostawiam w spokoju  
idę do punktów D i G prosto krętą drogą  
one razem machają do mnie z daleka  
chusteczkami higienicznymi z zapachem  
Chusteczkami wilgotnymi z lanoliną

Korytarzem musisz przejść, trochę w dół  
w górę, potem szargaj się na boki  
aż odrapiesz resztki ubrania i siebie  
Szerokie i wąskie naprzemianległe wejścia  
trącanie się o pradawne konstrukcje

W lewo, w prawo, w lewo, w prawo  
W górę, dół, w górę, dół, w górę, dół  
Niespodziewana musztra moich kroków  
Nie bój się, że zabłądzisz kochanie  
brak oznaczeń ci pomoże, na pewno

## *Pieśń dziewiętnasta. Blu śpiewa dla dwuosobowej publiczności*

Moje drogie plażowiczki, pozwólcie, proszę  
że będę was zabawiał niczym przybłęda  
ośniony zniecka waszą urodą i szykiem  
Pachnące świętymi olejkami do opalania  
leżycie tu razem, grając w dziwne scrabble  
za pomocą słów, lecz już z ich spełnieniami  
Obejmujecie fantazje, reakcje nieświadome  
idee niesprawdzalne za pomocą grabek  
swymi ramionami, obejmuje się razem  
Będę was teraz przedrzeźniał i przezywał  
Wasz publiczny autyzm jest uroczy, zaprawdę  
a dialog dopiero zaczęty zaprasza mnie  
Czy mogę dołączyć się do waszej gry w słówka?  
Upijemy się znaczeniami każdej litery

jak chłodnym winem na plaży razem z butelki  
Jesteście niczym morskie potwory  
o ciekawej dla ewolucjonisty fizjologii dziwadeł  
Wasze filozoficzne śpiewy uspiły niejednego  
Sen zachłannego podróżnika, niby to odkrywcy  
który ze zdziwieniem roztrzaskiwał się o skały  
otwarty brzeg z krzaczkami logicznymi w tle  
malowanymi pośpiesznie na potrzeby scenografii  
a potem nie mógł wykonywać już żadnej pracy  
on tak by chciał być tylko filozofem, tylko  
Wy jesteście jego dyskretnymi kusicielkami  
przez wasze pirackie pieśni pachnące tytoniem  
i morzem

## *Pieśń dwudziesta. Kobiety śpiewają razem*

*pianissimo possibile et fortissimo possibile*<sup>3</sup>

Zaśpiewajmy razem pieśń dla włóczykija  
najciszej jak potrafimy, najgłośniej jak można  
Oznaczenia muzyczne w zapisie nutowym  
pochodzą z języka trudnego do translacji  
by prawidłowo wykonać utwór, musimy je znać  
Nasze gęste słowa turlają się zdziwione ciężarem  
od pierwszych brzmień, pierwotnych przedśłówek  
Jesteśmy osobliwymi chórzystkami na czele  
ubrane w białe kołnierze wszystkowiedzących  
ambitne cele, zmęczone powieki przy nocnej lampce  
Dotykając abstrakcyjnych pojęć palcami  
musisz mieć co najmniej gumowe rękawiczki  
Nasze ciała pozostawiałyśmy w kącie przy wieszaku  
na niepotrzebne lumpeksowe palta, wywłaszczane  
My raczej za życia wbijałyśmy się mocno zębami  
w wysokie półki skalne niedostępne dla wielu  
za pomocą jakiegoś w miarę ostrego narzędzia  
Byłyśmy kiedyś strażą graniczną języka  
szerokich kieszeni, w których tak wiele się mieści  
ale i wiele gubi się gdzieś na chodniku, w przejściu  
powodując nasz szczerzy płacz, ubolewanie  
Ubrane niczym poetki w szarobure mundury  
dla doskonałego kamuflażu na co dzień  
wychodziłyśmy nocną porą na zwiady w las  
osobiście przybliżając się do słupów granicznych  
Siadałyśmy wtedy przy nich i paliłyśmy papierosy  
Patrzyłyśmy na daleki horyzont, czytałyśmy książki  
gotowe do postawienia kroków zagranicznych  
Tutaj na plaży obfitość znaczeń nas onieśmiela  
z cierpliwością filatelisty zbieramy teraz resztki  
zagubionych, płochych, zaprzepaszczonej słów  
Leśne tropicielki z blyszczkiem na ustach  
dla niepoznaki, że sytuacja była zawsze poważna

<sup>3</sup>*pianissimo possibile et fortissimo possibile* (wł.) — najciszej jak można i najgłośniej jak można. [przypis edytorski]

## *Pieśń dwudziesta pierwsza. Blu śpiewa do Ciuciubabki*

Z oczami dokładnie zawiązanymi szalem  
nie widząc nic, znając pośrednio reguły  
kiedy kręcisz się wokół, a potem łapiesz  
łapiesz w mroku niepewności cienie  
po rzeczach i ich namacalne kształty  
To jest ta, która w czerni migotała bytem  
z harcerskim rumieńcem na twarzy  
z misjonarskim, dobrym zgryzem zębów  
Śpiewała pieśni Przechodzącej w mroku  
Niech zabrzmia dźwięki zbyt głośne na noc  
Ootakich wielkich rzeczach mówić unitarnie  
Grzebać słabymi dłońmi umykające znaczenia  
Czy ktoś bawi się w metafizyczną ciuciubabkę?  
To jest taka odmiana tej gry dla starszaków  
wywija się łapami na lewo, prawo chwytając  
uciekające sylwety, co drażnią cię, wołają  
Niewielu zostało wielbicieli tej ślepej gry  
czmychnęli przed wieczorem, bo było późno  
w sumie szybko robiło się chłodno i niewygodnie  
mama wołała już na ciepły posiłek z daleka  
więc nie warto było nawet zaczynać zabawy  
Wszyscy zaczynają śnić swoje prywatne sny  
Nikt nie chce wędrować nocnymi szlakami  
Nikt nocą nie wędruje po tych pustych ulicach  
Tu jest ciemno i niebezpiecznie i kostka brukowa  
nie gładka  
A ty sama śpiewasz pieśni ciuciubabki idącej prosto  
przechodząc w mroku, śpiewając o nim słowa  
można dostać po żebrach od przymglonych bytów  
Znałaś ukryte gramatyki i ortografie nocy  
niewielu takich zostało, co jeszcze pamiętają  
Słodkie ich głosy z chorymi gardłami  
z ciągle zainfekowanymi gardłami od wycia  
śpiewają podniesione pieśni zaciemnione  
O kusicielko metafizyki negatywistycznej  
Wódz, wódz mnie na pokuszenie ramieniem  
To jest ta, której nie było, a tym bardziej jest  
Czy mogę znów obrócić ciebie wokół  
byś jeszcze raz szukała, z niepewną miną?

## *Pieśń dwudziesta druga. Pieśń Ciuciubabki*

Zaczynam dla ciebie pieśń ciuciubabki  
przypominają mi się dawne reguły  
Był chłód wychodzenia z domu  
Był chłód zakładania płaszczka

gdy wszyscy śpią już w śpiochach  
we flanelowych koszulach i pościeli  
Nocą czarne ulice są niebezpieczne  
Szłam najmroczniejszymi zaułkami  
uparcie pod nocnymi latarniami  
Czytałam książki z zakresu metafizyki  
takie pieśni śpiewali dawni brodacze  
śliniąc się nieprawdopodobnie przy tym  
Ale dziewczyna ze zmarszczonym czołem  
w naszej epoce elektryczności psuje wzrok  
od latarni na dawno zapomnianych ulicach  
zamiast zająć się doskonaleniem gotowania  
nóżek kurczaków w sosie z kiwi i ciasteczek  
To ja swoje oblicze wpisałam w nieznane  
w to, czego nie ma, a tym bardziej jest, bo tęskni  
Nosilałam w reklamówkach ze sklepu nocnego  
resztki wieczornych oddechów, modlitw  
z opaską na oczach szczelnie zawiązaną  
Czasami, gdy nikt nie widział, podglądałam  
by nie zderzyć się z innymi ciuciubabkami  
W czarnej smudze chłodnej godziny podglądanie  
Ludzie boją się bardzo ryb głębinowych  
nieznanych z nazw, one zakopane są w mule  
Niechętnie się demaskują, podając swoje imiona  
odmieniając łacińskie ozdobne sentencje  
Moim luczywem była końcówka papierosa  
która sygnalizowała światłem odblaskowym  
moje ciągłe czuwanie do jutrzni, bez powodu  
bez praktycznego argumentowania funkcji  
tych godzin zgubionych, zaprzepaszczonych  
Gdyby to jeszcze miało jakieś zastosowanie  
w celu zbawienia np. insektów syberyjskich  
Odkryć, że oddech w parę się zamienia w mroku  
tylko po to, by było to zbędne i niepotrzebne  
by te ślady rozplynęły się w niebywaniu  
Jestem kobietą Nic, zupą Nic z mąki, z wody  
Cieniem, który nosi w sobie resztki dawnego rysu  
rysu czarnej księżniczki Kunegundy  
która całe życie przemieszkała samorodnie  
Drugie piętro w moskiewskim akademiku  
ze wspólną toaletą dla niedostatecznych  
Całe moje życie jak zakładka do książek  
Przytulać się do szorstkiej logiki, prosić o czułość  
Taka randka w ciemno z niezwykłościami  
w moich zmęczonych, podrażnionych oczach  
od łapania ostrości w ulicznym mroku  
z opaską na oczach, ślepa jak niemowlę  
Wszystkie pojęcia chowają się przed światłem  
lekką się wycofują, bojąc się zwartej formy  
Ćmy i nocne owady roztrzaskują swoje czoła  
małe główki zderzone z wielką jasnością  
która jest też największym zaćmieniem  
największą ciemnością, ona ściga wszystkich  
Szłam przez noc, zapalając papierosa od papierosa  
wspominając swoich filozoficznych poprzedników  
wplatając w wieczorne pieśni resztki ich wersów

przekazane przez tradycje słowa przekazywanego  
jak od papierosa do papierosa, moje ciemne roraty  
gdy noc nie ustępuje dnu, gdy się potykasz boleśnie  
Czarne, płaskie pantofle nigdy nie rozgniotły  
ślepych, delikatnych stworzeń w nieczytelności nocy  
stworzenia nieświadome mojego przemarszu wypelzały  
Patrzyłam wtedy na ich piękną ulotność i naprawiałam  
im złamane nóżki, bandażując otwarte złamania żeber  
Oto pieśń ciuciubabki, która przechadzała się  
na nieznanym przez taksówkarzy z nazwy ulicach  
Ręce badają byty o zmęczonej porze  
jakże słodka noc, w której tak można pięknie błędzić

## *Pieśń dwudziesta trzecia. Ciuciubabka zdejmuje apaszkę z głowy*

W godzinie śmierci mojej amen, w tym dniu  
W godzinie drugiej przed zimnym świtaniem  
gdy przechodziłam zmęczona nocą przez ulicę  
w ciemności nie zauważyło mnie jadące auto  
Nie paliła się latarnia elektryczna na tej ulicy  
Pijany jeszcze jakimś spotkaniem młody pan  
strzaskał się tam z moim cienistym ciałem  
pozostawiając je nieśmiało pogruchotane  
neon reklamowy Endless, w witrynie sklepu  
Odchodzenie trwało w samotności parę minut  
więc zdążyłam jeszcze ze spokojem spojrzeć  
w życie z przekrzywionym uśmiechem spokoju  
Przebite plecy i brzuch wszystko przepelniało się  
płynami hamulcowymi, olejami, keczupem  
modnym i wykorzystywanym w filmach grozy  
niskobudżetowych, prześlicznie amatorskich  
z pełnym zaangażowaniem w moje umieranie

Usłyszałam tylko śpiewne pozdrowienie  
Miałam doświadczenie jako ciuciubabka 24 h  
Znałam ten miły chłód, ciepło powitania  
żegnania się o poranku, gdy na dzień idziesz spać  
Krzyknęłam sobą, by być dobrze zrozumiana  
Czułe spojrzenie przeniosło mnie tutaj na brzeg  
tu jest moja noc, mój poranek, moja godzina  
tu jest zakończenie mojej gry, gdy jaśniejają oblicza  
wszystkiego, co miało jedynie śliski dotyk w sobie  
W powietrzu dopełnia każde moje słabe słowo  
usprawiedliwia braki, w ramach pracy domowej  
którą ciągle sam sobie zadaje, odczuwając pełniej  
zna doskonale te koronkowe rebusy w pionie  
w poziomie rozwiązywane dla osiągnięcia błędu  
Ciesz się go uzupełnianie wszystkich pustaków we mnie  
Ciesz się, że się tak bardzo starałam wpisywać  
we właściwe pola dobre pojęcia, nocną porą  
na kolanie powtórzone magicznie brzmiące zasady

W świetle staroświeckiej latarni kontemplowałam go  
często z nieświadomością mojej krzyżówki z nim

## *Pieśń dwudziesta czwarta. Pieśń metafizyczna*

to nie będzie pieśń miłosna, lecz pieśń  
która nie powinna być wyśpiewana  
bo nie ma takich głosów  
bo nie ma już takiej ciszy  
podpiwniczone okna z wilgotną głębią  
schowane przed szeroką publicznością  
zdradzają jej wytworne szaleństwo ukrycia  
moje argumenty czystej negacji  
niebyt jest bardziej rumiany niż byt  
to, co się nie stało  
moje zdrady ciche  
moje wycofywanie się  
nie w szereg, ale za szereg  
moja bierność wobec układu planet  
i promieniowania ultrafioletowego  
unitarnie zebrać wielkie przestrzenie  
tak większość ucieka między, całe masy  
pominąć mnóstwo, nie dotykając niebytu  
jeszcze ta niemożliwość zrealizowania  
dość przekonującej prezentacji, slajdów  
grafów, szlaczków, obrazków humorystycznych  
na ten nietemat  
dlatego też wszyscy się na pewno znudzą  
nie ukoronują cię, o wrajerko, o fajterko  
nie musisz popisywać się i podpisywać  
nie musisz łasić się do odpowiednich osób  
atrakcyjna wobec czerni rozpraszającej  
wyblurowana rozkoszą i egzotycznym pączem  
tańczę sama, nieoczekująca kogokolwiek

nie będzie owacji na stojąco ani laurów  
nikt ci ich nie przyklei na ślinę do skroni  
dawno zwietrzył ich zapach na szczęście  
połamane liście laurowe wsypywane do zup

nieestetycznie jest wkładać głowę do splywu  
obserwując, gdzie to wszystko ucieka  
co z tym dalej  
wsadź tam łeb głęboko  
każdy taki ściek trafia w końcu do Morza  
to jest moja nieekologiczna pociecha

## *Pieśń dwudziesta piąta. Blu prze- siada się do drugiej kobiety na ręcz- niku*

Leżę sobie na kocu podziurawionym przez wszystko  
Pijemy razem doskonałe wino, podziwiając morze  
Przytulam was, a wy całujecie mi uszy słuchającego  
Moje nieciało leżało na jednej stronie wygodnie  
Ciemna luna twojego mroku mocno mnie spala  
lecz teraz przewrócę się na drugi bok, kochanie  
opalając się od twojej przyjaciółki, mogę teraz  
dzielić się z wami, a wy ze mną sobą, bez urazy

Wszyscy do wszystkich, więc możemy tu razem być  
Leżymy tu razem na końcu świata, wszystko topi się  
Siedzimy tu cierpliwie, oczekując rozwiązania nas  
zaplątanych z czasem przedłużaczy elektrycznych  
Czuwać, aż nadejdzie upragniona fala, zabierając nas  
w odmęty odczuwania w niezwyklej głośności  
Tu są nasze końcowe napisy, tytuły na koniec filmu  
Scenariusz i reżyseria, możemy podziwiać producenta

Leżę sobie na kocu podziurawionym przez wszystko  
razem z pięknymi kobietami na plaży, przytulając się  
do braku ich ciał, których kształt określa tylko melodia

## *Pieśń dwudziesta szósta. Blu śpie- wa do kobiety z miłosiernym spoj- rzeniem*

Kobieto, z drzewa miłosiernego uczyniona, módl się za mną  
Ty, co za życia szukałaś sprawiedliwości, módl się za mną  
Ty, co biegłaś spóźniona na wykłady, módl się za mną  
Denerwująca się, że dziecko nie śpi, a ty masz tyle książek  
do przeczytania jeszcze tej nocy, módl się za mną  
Samotna z dzieckiem na stypendium jadąca, módl się za mną  
Zasmucona wydatkami za miesiąc luty, módl się za mną  
Pochylająca się ze zmęczenia do przodu, módl się za mną  
Pisząca parę wersji książki o wybaczeniu, módl się za mną  
i tkliwie się przy tym uśmiechająca, módl się za mną  
Stawiająca miłosierdzie nad sprawiedliwością, módl się za mną  
O litości śpiewająca w zwartych esejach, módl się za mną  
Zapomnienie w twojej pudernicze koryguje niedoskonałości  
żeby nie nienawidzić, aby wzgardy w kieszeniach nie nosić  
Twoja elokwentna ślina to mikstura na zapominanie o tym  
że sprawiedliwość musi karać z Zaciśnięciem, módl się za mną

Bo ty zawsze tylko



Kyrie eleison  
Kyrie eleison  
Kyrie eleison

## *Pieśń dwudziesta siódma. Kobieta o miłosierdnym spojrzeniu śpiewa*

Miłosierne spojrzenie przez okulary dalekovidza  
nie ćwiczyłam go przy lustrze codziennie rano  
byłam dzięki niemu bardziej ślepa od ociemniałych  
Z racji tego kalectwa musiałam walczyć z detalami  
z wykonywaniem obowiązków domowych  
Miałam dwoje dzieci, które teraz mają problemy  
z wyborem zakładu pogrzebowego w mieście  
jasne głowy, ciepłe twarze dobrze odżywione  
Wychowałam je samotnie, mój mąż mnie pozostawił  
w supermarkecie przy produktach mocno przecenionych  
i odszedł, nie chciał znać ich pierwotnej, wysokiej ceny  
Ten rabat był tylko dla niego, wyprzedaż całkowita ze mnie  
Pracowałam na uniwersytetach, piejąc rano niczym kur  
ze zmęczoną cerą, lecz z miłosierdnym spojrzeniem  
Chciałam powiedzieć im o przebaczeniu spokojnym  
o zapominaniu, o słodkiej chorobie Alzheimera  
Szukałam pojęć w bibliotekach dla ociemniałych  
Szukałam, aby każdy mógł się nasycić uspokojeniem  
i nie miał tych nieprzyjemnych wzdęć u niemowląt  
z powodu nerwowego połykania powietrza i płaczu  
Wada wzroku spowodowana łagodnym spojrzeniem  
wzbudzała niezadowolenie wielu okulistów z praktyką  
Czy ślepa kobieta może być sprawiedliwa?  
Czy kobieta gotująca łagodne sosy może być sprawiedliwa?  
Czy niechciana może być sprawiedliwa?  
Przez przymknięte oczy nie widać bolesnych detali  
tych ostrych odpryśnięć z kryształowych wazonów  
one były kiedyś honorowymi nagrodami z okazji udziału  
w jakiejś letniej wojnie połączonej z koszeniem  
bardziej wystających ciał, dłoni i rozumów z tłumu  
Te zmiecione resztki pod dywan z zagiętym rogiem  
jak w pamiętniczku z twardą oprawą albumową  
z dopiskiem na zgiętym rogu ku pamięci i ku przypominaniu  
gdzie przeprowadzić tę niechcianą granicę wybaczenia  
kredą narysować ją za pomocą drżącej ręki  
Ja widzę tylko detale kulące się w miłosierdną całość  
Choć są rzeczy, które odrzucam od jej obłego kształtu  
te drobiazgi bowiem w swej jaskrawości przeczą jej

Miażdżycowe zapomnienie siebie w funkcjach  
Wzrok oparł się więc miękko na niedowidzeniu  
gdzie wszystko zaczyna być całością, niepomijającą

Delikatne macanie pod spódnicami świata  
Uchylając je

## *Pieśń dwudziesta ósma. Wada wzroku się powiększa*

Wada wzroku się nareszcie powiększyła  
Jestem teraz bardzo niewidoma, a tym więcej widzę  
Niepotrzebne są mi więc grube okulary do czytania  
soczewki, lupy zegarmistrzowskie wszczepiane  
Problemy z sercem miłosiernym pod bluzką  
z sercem, od którego odchodziły złote promienie  
luny kolorowe sugerujące mój wewnętrzny blask  
Już dawno było widać ciche nieprawidłowości  
Czy to jeden z tych złotych, ostrych promyków  
przez przypadek wbił się w drugą stronę tak  
że malowane kropelki krwi sączyły się skrycie  
pod koronkową bluzką kości i ścięgien kolorowych  
Podczas rozmowy z dziećmi przy kawie zbożowej  
serce malowane przetarty dźwięk wydało  
Jęknęłam, a pauza wcisnęła się w żelazną rytmikę  
słaby wzrok osłabł jeszcze bardziej w tej chwili  
wśród krzyków zdumienia dzieci odchodziłam  
ich płacz i dezorientowanie sytuacją łaskotały jeszcze  
Promyki poślacane mojego słabego serca błyszcząły  
ściągane za pomocą Magnesu z plusem i minusem  
Podniosłam swoje oczy z miłosierną wadą wzroku  
a wtedy zostałam porwana z wielkim zdecydowaniem  
na tutejszą plażę, łagodnością swego klimatu ujmującą  
Teraz leżę na ręczniku o nieostrych krawędziach  
w błyszczącym brokacie siedzimy tu razem, odpoczywając  
razem gramy w scrabble, czekając, aż litery roztopi fala  
która mieni się niezwykle barwami z daleka  
wszystkie odcienie miłosierdzia w nieskończonej ilości  
Tu słowa nareszcie wypełniają się potencjalnościami  
ich krawędzie ciągle są przebrzmiałe z nadmiaru znaczeń  
na ten nasz brzeg leżących spokojnie i zapiaszczonych  
Tutaj jest sens w słodkim bezsensie gry popołudniowej

## *Pieśń dwudziesta dziewiąta. Blu przechodzi do punktu F*

*pieśń antyarchitektoniczna*

Na czarnej plaży nie ma już żadnych budowli  
ani z piasku, ani z kamienia na brzegu  
Nic już nie musi być konstruowane, opierane  
Nie ma żadnych oparc ani sił ciężenia  
Nic nie musisz już wykreślać na kalce  
Nie potrzebujesz różnicować grubości linii  
widzialnych i cieńszych, prawie niewidzialnych  
albo nieistniejących przerywaną linią  
Nie znajdziesz tu żadnych drogich przyborników

No spróbuj zrobić makietę mojego niekroczenia  
No spróbuj zrobić makietę mojego odchodzenia  
Przygotuj planszę, gdzie narysujesz moją niedrogę  
Niech będzie perfekcyjnie wykonana na tekturze  
Niech nic już nie będzie na pachnącym papierze  
Jeśli pozostanie pusta, będzie zaprawdę pełna  
Ulep to swoimi higienicznymi łapami, z piachu i błota  
bez projektu, bez niczego, na golasa, z brudzeniem się  
Taka niezwykła jest droga od punktu C i D do F

Powinna być zrealizowana w ramach konkursu  
pająków zaangażowanych z okolicy do happeningu  
one robią to ze śliny i włókien, gdy nikt nie widzi  
To linie słów niewypowiedzianych, rozpiętych  
pomiędzy w miarę stałymi, czarnymi gałęziami  
Po takim moście przejdę, nie raniąc się, do ciebie  
mój kolejny ochotniku, mój dawco opowieści  
Skopane resztki kształtów przesuwają dalej wiatr  
Foremka po moim kształcie pozostawia ślad  
powielony wielokrotnie w celu osiągnięcia rytmu

## *Pieśń trzydziesta. Blu spotyka czło- wieka o trzydziestu dłoniach*

Czy jeszcze możliwy jest taki stwór niezwykły  
który ma trzydzieści dłoni na co dzień?  
Zgadnijmy więc, kto to, wyglądający jak Rozgałęzione  
trzydzieści dłoni i naturalne spojrzenie  
To jest taki stwór, okaz morza przetrzymywany tutaj  
niczym ryba w akwarium, można mu się przyjrzeć  
przed jego powrotem do morza, pooglądać trochę  
Niezwykłe ubarwienie skóry i mnogość zakończeń  
Ma tyle dłoni głaszczących, karmiących potomstwo  
czuły ojciec, bez zacięć maszynką przy goleniu  
z jogurtami biegnie do kasy, by zdążyć do teatrzyku  
na spektakl dwudziestego pierwszego dziecka  
On nigdy nie zapomniał, choć to nieważna sztuka  
syn gra ostatniego w tłumie, ale ma wypieki na twarzy  
ma tremę i tylko sprawdza, czy ojciec wieloręki jest  
Usłyszał, że dwudziesta druga córka płacze  
za marynarzem, siedział z nią w nocy, słuchając jej  
Karmił swą owłosioną piersią najmniejsze bliźnięta  
na przemian z ich natychmiastowym przewijaniem  
Je wszystkie głaszczące po wygłaskanych już głowach  
przynosi z pracy paczki okolicznościowe dla nich  
Dzieląc zawsze sprawiedliwie, za pomocą dłoni  
za pomocą żyłastych trzydziestu dłoni  
Wielkie, kolorowe szczęśliwe wstęgi wokół niego  
Wszystkie dzieci doskonale znają każdą z tych rąk  
ich linie papilarne i prawie niezauważalne detale  
robią sobie konkursy, teraz ty znajdź różnice  
między dwudziestą pierwszą a dwunastą ręką ojca

Czy można tak licznie, tak sprawiedliwie kochać  
wszystko jednocześnie i dostrzegać każdy smutek?  
Wyławić z ich spojrzeń, łagodzić każdy ból  
nigdy nie załamując ze zmęczenia licznych ramion

## *Pieśń trzydziesta pierwsza. Człowiek z trzydziestą pierwszą dłonią śpiewa periplus<sup>4</sup>*

Będę śpiewał *periplus* dla ciebie, pieśń dziwnej mapy  
dlatego, że zawsze trzymałem się widocznego brzegu  
Nie odważyłem się wplwać na otwarte przestrzenie  
zawsze obserwowałem brzeg dla bezpieczeństwa  
łękliwe nawigując według znanych mi punktów  
Zbudowałem wiele portów wokół mojego wybrzeża  
cały czas pływałem kraulem pomiędzy miastami  
Z czasem łatwiej mi było przemierzać te odcinki  
przybywało mi coraz więcej ramion do żeglugi  
W każdym z tych portów moje rybie potomstwo  
Kochałem je tak mocno, tak chciałem im pomagać  
że ciało samoistnie wypuszczało nowe ramiona  
Stałem się więc drzewem z wieloma zakończeniami  
Moja królowa-matka-pszczoła pisała pieśni dla dzieci  
ja wypływałem, spotykając każde z moich Licznych  
Oczekiwano mnie z radością i niecierpliwością  
Znałem każdy ich grymas, każde załamanie głosu  
każdą pliskę skóry i sposoby wielu zachowań  
Analizując swoje błędy wychowawcze przy herbacie  
opowiadałem im zamorskie opowieści wieczorami  
Do mojego łóżka przed nocą schodził się tłum  
Chcą tylko przy mnie być czuć mój morski zapach  
od ciągłego pływania kraulem za pomocą tyłu ramion  
Z daleka co dzień wszystkie widziały moją banderę  
wtulały się w moją zniszczoną solą i słońcem koszulę  
tropiły każdy jej wątek, lepiej mnie zapamiętując  
Kładłem je spać, przytulałem do siebie, słuchając ich  
rytmicznych oddechów wpływających już w noc  
by jutro z piskiem radości przywitać kolejny dzień  
na pływalni

---

<sup>4</sup>*periplus* — ze starogreckiego: „opłynięcie dookoła”, rodzaj pieśni nawigacyjnej dla statków, które pływały przy brzegach w starożytnej Grecji i Rzymie. [przypis autorski]

## *Pieśń trzydziesta druga. Trzydzieści dwie dłonie do potęgi n*

Naturalną konsekwencją liczego rozgałęzienia  
był nowotwór mojego zdeformowanego ciała  
Rozrastał się on wraz z moimi kończynami  
pod skórą zamieszkał i był nielegalny  
Piszczałem wewnątrz z przeciągłego bólu  
ciągle zatykając sobie licznymi rękami usta  
Twarz wysuszała się z niepokoju  
a w dłoniach pierwszy raz poczułem drżenie  
Wielkie dziedzictwo moje pozostanie same  
dorosłe dzieci będą karmić młodsze filedami  
Otwarte buźki ze zdziwienia, że odchodzę  
Zapamiętałem ich pożegnanie z refrenem  
każde z nich było długą, samodzielną zwrotką  
rytmiczne zderzanie się  
codziennie z ich kamienistymi brzegami  
Kolejna dawka morfiny na uśmierzenie bólu  
serce stęknęło w skurczu podwodnym  
znużone zmęczeniem tego opierania się jeszcze  
Wszystkie moje dłonie cicho opadły na pościel  
spokojnie na dno morza opadałem, czując chłód  
Zostałem złowiony słowami Obcokrajowca  
liczne ramiona wplątały się na szczęście  
w najpiękniejszą z sieci utkanej z pytań do mnie  
Zostałem wyrzucony tutaj na czarną plażę  
Teraz gałęzie z każdą pieśnią mnożą się  
coraz liczniej, coraz liczniej zajmują miejsca  
obrastają mnie jak porosty niezwykle płodne  
Jest to znak braterstwa z tym, co ma najwięcej  
ramion, a każde możliwe zakończenie je zna  
Nasyć się więc nieskończonością na brzegach  
choć zawsze śpiewałem *periplusy*<sup>5</sup> blisko lądu

W tej mnogości zachowam ostrość wszystkiego  
każdego detalu obrzędowego przy nawigowaniu  
na nieznane lądy

## *Pieśń trzydziesta trzecia. Do następ- nego przejścia*

Prześlizgnę się na brokacie piasku przeciągle  
za pomocą jednego, mocno rozkraczonego  
gestu tanecznego z akompaniamentem słów  
dotrzeć do następnego chętnego z publiczności  
wybranego, oderwanego od czynności ciała

---

<sup>5</sup>*periplus* (gr.) — rękopis wyliczający porty i charakterystyczne punkty na wybrzeżu. [przypis edytorski]

Na palcu średnim mojej lewej stopy tańczyłem  
Dawne wykonanie pozy łyżwiarki chińskiej  
która wyganie się tak mocno, boleśnie dla was  
chce być taka piękna i najwyższej oceniona  
przez komisję, która nie lubi Chińczyków

Dawne konkursy odbijają się we wspomnieniu  
lecz teraz mój najdrobniejszy ruch powieki  
jest doceniony u napelnionych wszystkim  
Mój taniec jest więc wolny od choreografii  
Chybotliwe echo naśmiewa się ze wzorników

Płynę teraz na tafli wszystkiego najlepszego  
Jestem wśród finalistów mistrzostw świata  
Paraolimpiady dla nie do końca sprawnych  
gdzie wszyscy dostaną swoje złote medale  
za niedokładne wykonanie figur na lodzie

## *Pieśń trzydziesta czwarta. Blu sportyka czarną Bambole<sup>6</sup>*

Czy przy tobie jeszcze można coś skomleć?  
Ty jesteś taką bambolą, z różnymi funkcjami  
możesz mówić mama, możesz nawet sikać  
Słodki wyraz twarzy, nadzwyczaj słodki  
Gdybym był gwiazdą muzyki rozrywkowej  
śpiewał co roku na festiwalu San Remo  
gdzie podstarzali łysiejący, gdzie młode kicie  
to bym wzruszał się infantylnie nad dołą lalki  
made in Rwanda or Republic of China  
Jak słodko można chrzącić i wzruszać się  
Małe, czarne bambole z Afryki transportowane  
Czyż moje wzruszenie nie jest śmieszne  
jest kłamliwe, bo wymówione na głos?  
Śpiewanie na głosy, teraz już tak potrafię  
Czy tylko lzy wylewać do kwiatów ogrodowych  
nad dołą światów trzecich i czwartych, i piątych  
Popatrzmy na zdjęcia małych, głodnych ust  
czarnych, małych gardel ze strunami  
na których grana jest bardzo dziwna melodia  
Jakże straszliwe są te pęczki warzyw  
te cenne darowizny, wypieprzone na boki  
z nadmiaru, zbyt niskiej ceny rynkowej  
Nie oplaca się ich przechowywać dłużej  
w drewnianych skrzyniach płynących  
Język jest bezużyteczny i pachnie tandetą  
zakwiecone wersje opisujące czarną skórę  
Ładne litery z motywami etnicznymi  
informują, że jest to wersja second skin  
Nawet jak się histerycznie bronisz chirurgią  
staje mi wszystko w gardle i krtuszę się

<sup>6</sup>bambola — z włoskiego: lalka, kukła do zabawy. [przypis autorski]

i duszę, i wypluwam, i znów dławię się  
ciemniejszą wersją kaszki manny na mleku

Chodź do mnie, moja mała dziewczynko  
bawisz się teraz wiaderkiem na plaży  
budując nieznanne rzeźby minimalistyczne  
Nie będę trzaskać twoim plastikowym ciałem  
w kaloryfer, sprawdzając, czy jesteś odporna  
jaki dźwięk dasz przy tym do akompaniamentu  
Nie będę białym kolonizatorem gwałcącym czerń  
Nie będę ci obgryzać paznokci nerwowo  
ani też czesać twoich włosów w ciągłe dekoracje  
Nie posadzę cię obok mnie, byś mi towarzyszyła  
lecz ja przysiadę się do ciebie, ja będę twoją kukłą  
dla ciebie choć przez chwilę, kukłą drugiego sortu  
zakopaną tylko dla twojej zabawy w piachu  
bym to Ja śmiesznie i litościwie wyglądał

## *Pieśń trzydziesta piąta. Bambola z funkcją śpiewania*

Mam taką funkcję w sobie, mogę śpiewać  
Funkcja niezwykle pożądana wśród was  
kolekcjonerów pamiątek z dziwnych miejsc  
Czarne wydłużone rzeźby z pseudohebanu  
Udawanie materiałów, udawanie wzruszenia  
z udawania ciebie i mnie, wiekuiste podróby  
Jestem wieczną sierotą pozostawianą w przejściach  
Czy ktoś mnie przygarnie ze względu na wygląd?  
Mieszkałam w Kinoni, rodzice zginęli w walkach  
Nikt nie znał ich z imienia, z nazwisk źle napisanych  
Nikt mnie nie znał, leżałam jak porzucona zabawka  
która pociesza wokół wszystkich swymi zdrobnieniami  
bez tkanych białych kwiatków na bluzce  
w ułożonych pęczkach, w pęczkach smażonych  
bez żadnych wstążek na sukience, trzeba oszczędnie  
Przy ulicy Pamiątkowej jest taki smutny plac zabaw  
porozrzucone są tam deszczowe mioty dżdżownic  
tak boleśnie czują wszystko w porach suchych  
braki opiekunów do przytuleń, choć chwilowych  
a ja żywiłam się zgniłymi bananami  
więc nimi pachniałam doszczętnie  
Mój głód był największy na świecie  
Byłam głodna wszelkich bananowych eliksirów  
radości i zapachów szczęścia, i najedzenia  
Cała lepiłam się od słodkości porzucenia  
od odwróconych spojrzeń w inne strony  
dlatego przyczepiałam się do wielkich drzew  
gdzie czułam się bezpieczna, gdzie duża mama  
przyjaźnie częstowała mnie tłustym cieniem  
zawsze nachylając się do mnie gościnnie

## *Pieśń trzydziesta szósta. Bambola traci swe funkcje*

Czarna, cicha, bezkrwawa rewolucja  
wyzwolenie z wiekuistego głodu  
Dzień, gdy deszcz dźwięcznie bębnił  
w suchą skórę ziemi, zmuszając ją do rytmu  
Przewożono mnie ciężarówką z innymi dziećmi  
do innego miejsca, do sierocińca w gęstych lasach  
Wypadłam z ciężarówki, boleśnie upadłam  
na zadżunglony dywan mchów i porostów  
Nikt nie usłyszał mego słabego głosu w tle  
Musiałbyś bardzo podgłośnić, by usłyszeć  
Zaczęłam płakać, bo wiedziałam wszystko  
że to będzie ostatnie porzucenie, byle gdzie  
Deszcz plukał moje włosy, moją sukienkę  
ja skuliłam się w kulkę i schowałam się  
pod dużym, prawie opiekuńczym liściem  
Leżałam jak szyszka, co nieoczekiwanie spadła  
pachnąca z wolna zapachem ziemi i rozkładu  
Wilgoć lasu była wielka, tajemnicza, zachłanna  
Wiedziałam, że nikt już nie znajdzie mnie w dżungli  
Byłam wielkim głodomorem, skurczonym z lęku  
w zieleni najpiękniejszej, mruczałam wtedy  
najsmutniejszą piosenkę świata  
Nikt nie słyszał, to nareszcie mogłam śpiewać  
w uśpieniu odchodziłam, w zapomnieniu  
zapomnieniu wszystkiego przez wszystkich  
Deszcz rozmył wielki liść, pod którym byłam  
skryta byłam całe życie, skrywana po kątach  
przez prawie osiem lat, dwa dni kamuflażu  
mój sen rozpuścił się w wodzie i soli

Nastąpiło to, poczułam w sobie wielkie znalezienie  
ktoś czekał cały czas na ten moment znalezienia  
już nie jako Bambolę, ale by kochać mnie bez skór  
zaspokoić mój nieprzenikniony w czerni głód  
Zostałam wtedy tak mocno wtulona w Wielkie Czucie  
obdarowana wielkimi skarbami i słodyczami  
Byłam odnaleziona po ukrytej we mnie informacji  
do kogo należą, z adresem, że ktoś czeka, gdy zginę  
Zwracaj mnie właśnie tam, gdzie jestem teraz  
Moje wielkie dosycenie spełnia się bez przerwy  
bez przerwy na funkcję, na tę kanapkę z kielbasą

## *Pieśń trzydziesta siódma. Pieśń rzeźbiarska*

Dalsze przechodzenie, poruszanie się za pomocą wiatru  
Rzeźbiony jestem podczas moich mistycznych spacerów



Pod skórą rzeźbią mnie słowa głęboko, boleśnie niekiedy  
Rytmiczne strupy po nich na śliskim ciele podróżnika  
W powietrzu rysują się słowa właściwe  
odrzucając niepotrzebne kawałki moich tkanek  
Materiał odcinany odsłania właściwy kształt głęboki  
Drażą mnie pewne brzmienia prawie muzyczne wokół  
bardzo ostre, łagodne zarazem uderzenia dłuta w cielesność  
Ostatnie poprawki, szlifowanie do gładkiej chropowatości  
Tutaj znaczenia są bardzo wnikliwe i docierają celnie, oj

Przechodzę przez ich delikatne łuskanie i pieszczoty  
zabierają coraz więcej zbytku z mojego nieciała  
Wielkie szczotki w myjni samochodowej przenikliwe  
wycinają resztki styropianu cichego, ciepłego, izolacyjnego  
Strzepuję się z niego, z jego resztek, strzepuję się z siebie  
Idąc po brokatowym piasku, nie mając głowy na karku  
w murzyńskim tańcu zbliżam się do następnego przystanku  
Rytmiczne uderzenia we mnie, ślady słów mnie biczą  
dla pięknego niewyglądu, dla nieistotnego nastroju sytuacji  
To one jeszcze mnie określają, trzeba jeszcze zamieść resztki  
Sam jestem teraz zaskoczony swoim prawidłowym wyobrażeniem  
Śpiewam pieśń rzeźbiarską, rozkruszając się w brokat dekoracyjny  
bliski morskiemu oddechowi, bez wygimnastykowania się w pocie

*molto allegro*

Pomału gubię swoje nogi i ręce  
O rzeźb mnie, rzeźb, słowo wiekuiste  
Pakuj mnie w czarne foliowe worki  
te rozproszone tłuszcze po mnie  
Niech całkiem nowy stanę przed tobą  
wszystko zgodnie z naturą materiału  
słuchając jej technologicznego szeptu  
Nic nie będzie przeciwko mnie  
pogłębi mnie bardziej do środka  
za pomocą nowej wymowy

## *Pieśń trzydziesta ósma. Blu spotyka Ricarda*

Na polaroidzie z 1982 roku stałeś mniej więcej  
w takiej samej pozie, mrużąc oczy tak jak teraz  
w wypłowiałych resztkach traw, jasnych  
w pogniecionym podkoszulku z szarym napisem  
Teraz znów tak stoisz w białych nietrampkach  
patrzysz zmęczonym wzrokiem w stronę wody  
Schodzi ci po raz ostatni skóra, od opalania się

Na nieudanym zdjęciu typu polaroid z 1982 roku  
mrużąc ze zmęczenia oczy, w podobnej pozie stoi  
wysoki żebrowany, w ciemniejszej wersji językowej  
Smutne oczy patrzą na zamorskie krainy, za  
Wygniecione, ciemne ciało wydzierane przez słońce

Ręce jakieś takie niepotrzebne, kieszeni brak  
w podkoszulku z mocno wypranym napisem

Na plaży stoi postać jak na polaroidzie z 82 roku  
Czarnuch ukochany w wypłowiałych kolorach odbitki  
zdjęcie bardzo nietrwale, rozsypujące się w dłoniach  
Stoi jak patyk wbity w piasek, jako mój ostatni punkt  
Z daleka dostrzegam jego rysy twarzy, to mój brat  
który raczej nie bywał na zdjęciach, bo uciekał  
Stoi w podartej koszuli z napisem Paradise Tours

Przewrażliwiony bardzo  
Przebarwiony bardzo  
Podatny na farbowanie  
od wszystkich materiałów

## *Pieśń trzydziesta dziewiąta. Blu śpie- wa do brata*

Powoli zajeżdżam do zajezdni na końcu świata  
Ostatni pasażer na gapę wsiada na końcówki  
w łagodnym przyzwoleniu mroku i światła  
Widzę jego odbicie w szybie przybrudzonej  
podobny jest trochę do mnie, mruży oczy z dala  
bojąc się ślepoty od mocnych uderzeń z boku  
czarnego słońca prosto w twarz, bez przygotowania  
prosto na rozdziawione twarz, bez przygotowania  
Jesteśmy razem z tajemnego zakonu braci zgubionych  
Mamy habity uszyte trochę ze smutnych spojrzeń  
z klauzurą wiekiustego śpiewania i milczenia  
Na naszych biodrach sznur przewiązany luźno  
by czuć, że jeszcze istniejemy, by mieć dowód  
wszystko wskazuje na to, że już nie jesteśmy  
Mój zszywany ściegiem amatorskim brat-brak-wrak  
na plaży z rękami pokłutymi w różne wzory  
Teraz możemy się z radością porównywać  
nasze podobieństwo odkryć dopiero tutaj  
ten sam sposób seplenienia, z dużą ilością śliny  
cicho, niewyraźnie, nerwowo zadając sobie rebusy  
nie w formie haiku czy też zdania z myślnikami  
ale formie mnogiej, barokowo zaprzepaszczonej  
z dużą liczbą detali i zbędnych szczegółów  
które płdzą się bez ustanku, po kilkanaście miotów  
na minutę z każdego słowa, z każdego brzmienia  
nasza rozrzutność słów, dźwięków, obrazów  
których nie ma gdzie przechowywać z nadmiaru  
Jak my się mamy zmieścić z tym wszystkim  
Czy jest jakieś rozwiązanie naszego problemu?  
Czy jest jakiś funkcjonalny system meblowy  
do przechowywania tych bytów niepraktycznych?  
Nasza reguła została spisana wiele wieków temu  
reguła opierała się na specyficznym mrużeniu się  
Miło cię tu widzieć, umorusany w brokacie bracie

## *Pieśń czterdziesta. Rebus II*

Mógłbym się nie dzielić z nikim ułomkami w koszach  
swoimi utopiami utopionymi na dnie wanny, bez korka  
Mógłbym się schować przed innymi w roli scenografa  
skrywając swoje ludowe misje, sugestia tła jedynie  
Lecz ty, Rolando, ze złamaniem otwartym swojego bycia  
przyszedłeś we śnie moim, wkradłeś się na paluszkach  
innych nie budząc w środku nocy, nie przeszkadzając  
Przyszedłeś z rebusem w kieszeni w piżamie dla dziecka  
Czemu obdarowujesz mnie takim dziwnym darem?  
I nie rozplynąłeś się na moją milicyjną komendę?  
Lecz stałeś, pozując jak na zdjęciu polaroidowym z 82 roku  
gapiąc się na mnie z błagalnym wyrazem twarzy  
Twoja przenajświętsza wrażliwość właściwa tylko tobie  
Opowiedz, jak to się stało, że leżałeś taki umierający i pokłuty  
w miejskim szalecie zarzyganym przez anorektyczki  
Matka nie dostarczyła ci odpowiedniej ilości witamin?  
Twoja dieta za uboga była w warzywa, w owoce?  
Po co przychodzisz do mnie z takim głupim wyrazem oczu?  
Więc stałem się prawie cyską ratowniczką z patrolu  
słoneczną ratowniczką wyciągającą twego trupa na brzeg  
bez szansy na jakąkolwiek reanimację, zmartwychwstanie  
przyglądając się tobie uważnie, drobiazgowo cię opisując  
Chciałeś mi coś przekazać, jakiś rebus nierozwiązywalny  
Mówiłeś do mnie w niezrozumiałym mi z brzmienia języku  
Stałeś we śnie, szeptałeś z trudem tak, jakbyś dopiero się uczył  
wypowiadać prawidłowo zdania, wyrazy, dziwne słowa  
To było jak ciche pojękiwanie niemowy z trudem fałszu  
Szeptanie słów, które były zamazane korektorem i wydrapane  
nożem introligatorskim, zdarte z warstwy rozumienia ich  
Resztki zostały zamazane markerem Universal Permanent  
jednak coś tak mocno tkwiło pod tą warstwą skrytą  
chowało się pod czarną folią malarską, zachęcając  
by wymacać kształt i radośnie krzyknąć, aha  
W twojej mowie nowe są brzmienia słów  
Jak być jeszcze zrozumiałym  
nie umiesz powiedzieć  
to jest twoja pokuta  
brak słowa

---

Wszystkie znaczenia tkwią pod absolutnie szczelnym kamuflażem  
ze słomy, z kamieni, ze szmat maskujących głębokość pułapek  
Musiałem tę pieśń wyśpiewać za ciebie, udając twój ton głosu  
Musiałem wnikać w nieczytelne warstwy, w resztki pozostające  
Gdyby się tak nie stało, musiałbyś czekać w zakładzie utylizacji  
odpadów higienicznych dla niewystarczających, w oczyszczalni  
Niech więc zabrzmie wreszcie twoje śpiewanie pełnym głosem  
tańcz przy tym z radości, wykonując przy okazji Nieboskłony  
wymachuj dziurawymi rękami jak białymi flagami na znak  
twojego oficjalnego poddania się

## *Pieśń czterdziesta pierwsza. Ostatnia chwila Czyśca Ricarda*

*Ricardo śpiewa wreszcie*

Otwierasz mi usta bardzo szeroko do badania  
do dentystrycznego, laryngologicznego dźwięku  
tak, aż moja żuchwa swobodnie odfruwa na bok  
Śpiewam nie za pomocą słów, ani też jakiejś składni  
swoim ulotnym niebyciem mruczę cicho  
resztką obecności jeszcze pomrukuje z ciepła

Nie będę śpiewał o moim przewrażliwionym bycie  
Nie będę śpiewał o moim tłustym ojcu Heliosie  
Nie będę śpiewał o mojej matce porwanej przez morze  
Nie będę śpiewał o połykaniu kwaśnych winogron  
Nie będę śpiewał o mojej śmierci  
Nie będę śpiewał o niegodziwości wspaniałych narkotyków  
Nie będę śpiewał o moralizowaniu i niemoralizowaniu  
Nie będę śpiewał o jasno i sterylnie wyznaczonych szlakach  
Nie będę śpiewał o moim błędzeniu i niebłędzeniu  
Nie będę śpiewał o ostrych kamieniach w mojej stopie  
Nie będę śpiewał o smutnych spojrzaniach  
Nie będę śpiewał o nadmiarze śliny w słowach  
Nie będę śpiewał o tobie siostrze moja, bracie mój  
Nie będę śpiewał już o niczym, wszystko zostało mi darowane  
za jedno słowo  
Nie jest ani miłosierdziem, ani przebaczeniem  
lecz czymś zakochanym w tobie tak, że zapomina  
że jesteś zafajdany resztkami po wczorajszym obiedzie  
że masz resztki farby pod paznokciami i ją ciągle wyjadasz  
badając, jaki smak ma zdrapywanie do białości, do czystości  
Nie umiesz zawołać, zabrakło ci słów, których nadużywałeś  
Pozostały ci tylko puste uderzenia w blachę w rytmie zdań  
może by się ktoś domyślił, że jest to rodzaj alfabetu Morse'a  
lecz bez znaczeń, bez znaczenia dźwięki te były  
Wybacza ci wszystko, przyciąga cię do siebie  
za kręgosłup ze skłonnościami do skoliozy

## *Pieśń czterdziesta druga. Blu śpiewa o śmierci Ricarda*

Nie jest łatwo nosić brzemień zachrypniętego głosu  
Czy mam stanąć tak jak ty, domalować sobie twoje rysy  
bardziej przekonująco zagrać twoją rolę ducha?  
Niech więc będę twoim głośnikiem, twoją tubą głuchą  
będę tłumaczem twojego milczenia, tak jak kiedyś  
Teraz będę cię tłumaczyć, jeśli pozwolisz jeszcze raz  
Byłeś wiecznie rozmazywany przez swojego ojca  
który jednym ruchem przekreślił ciebie, twój łupież  
przydługie ręce, chude nogi, zmrużone oczy

Nikomemu się nie chciało rozczytywać niechlujnych słów  
znaczenia ich ulegały destrukcji, coraz większej korozji  
język stawał się dla ciebie coraz bardziej beużyteczny  
W końcu zamilkłeś, postanowiłeś to sobie na zawsze  
Twój głos stawał się coraz smutniejszy i gorzki niewybaczalnie  
Coraz więcej byłeś podziurawiony przez ostrza strzykawek  
ten właśnie las piniowy sprawił, że stałeś się durszlakiem  
dlatego wszystko przepływało, nie czując żadnych oporów  
W miejskim szalecie leżałeś i umierałeś, dosyć to zabawne  
na pewno melodramatyczne, sentymentalne tak zdychać  
za ostatnie pieniądze ukradzione z torebki  
uszytej z wężowej skóry  
Widziałeś kolorowe ściany, przenikałeś przez nie  
dzięki dziurawej chemii, przenikałeś przez meblościanki  
Byłeś tą nieważną literą alfabetu, tą ostatnią, tą zbędną  
dla porządku słów, dla języka, konstrukcji ze sklejki  
Leżałeś, opalając się w pełnym lśnieniu lampki łazienkowej  
opierając swoją przyciężką głowę na śmierdzącym sraczu  
Dworcowałeś przez wiele tygodni, więc cuchnąłeś  
swoją obsikaną fizjologią, śliną ściekającą z ust jak jad  
Byłeś taki zmęczony paradą wenecką tych głosów  
we śnie twoje serce, niepewne kolejnych uderzeń  
przestało ci wreszcie służyć cicho w środku, zmarło  
Opadłeś upozowany na posadzkę, kierując swe oczy  
na sztuczne oświetlenie, ono zdawało się gasnąć  
Posadzka, na której leżałeś, była mozaiką szczególną  
przedstawiającą historię zbawienia w wersji light  
w wersji dla korzystających z miejskiej łazienki  
Postacie wszystkie szczerą białe, amerykańskie zęby  
Ich kolor komponuje się z kolorem umywalek  
gdzie szatan to uśmiechnięty kolega z klasy  
z nosa wyjada dziwne rzeczy, poci się ze strachu  
swąd jego lęku przed nauczycielem czuć wszędzie  
Chrystus to gwiazda kina popularnego we Włoszech  
na którego polują lafiryndy i rzesze dziennikarzy  
chcą robić sobie zdjęcie z nim w tle, z autografem  
mieć kolejne, niezbite świadectwo jego istnienia  
zbadane przez chemików ustalających daty powstania  
pocieszyć wszystkich ateistów, że to fałszerstwo  
kolejny zuchwały triumf nauki nad wierzeniami  
Murzynów, dzieci, starców drżących, sikających w ławkach  
oświetlając sztucznym oświetleniem nieprzenikniony mrok  
za pomocą wszelkich nam dostępnych zdobyczy techniki  
Pozostaną im tylko te białe zęby szczerzące się  
z hasłem dbaj o swój promienny uśmiech pośmiertny  
Taka mozaika popularnonaukowa w miejskim szalecie  
na którą nie mogłeś już patrzeć, na niej umierałeś

Poczułeś wtedy ryk trzeźwego chłodu, wymagania  
Usłyszałeś, że jesteś niedostateczny z plusem  
złowiony za pomocą niedurszlaka  
został ci włożony do niekieszeni rebus  
rebus do wypowiedzenia  
Ty sam nie mogłeś wypowiedzieć jego rozwiązania  
nie miałeś tego daru języka, za karę i bezszelestność  
Mogła to tylko twoja siostra, skryta w milczeniu  
Musiałeś ją prosić w sposób niezrozumiały o pomoc

Echo po ciebie jeszcze raz odbiło się w sennej rzeczywistości  
tak stałeś w przepoconym podkoszulku, ucząc się mówić  
od początku, krztusząc się, deformując wszystko śmiesznie  
wymówić słowo między znaczeniami, literować je  
to słowo jest dmuchanym kołem z PCV  
kołem ratunkowym, rzuconym, wypychającym cię  
Tylko jedno słowo, które nie istnieje z powodu wad  
wymowy, seplenienia wszystkich języków, dialektów  
Analiza zbawicielska każdej sekundy twojego życia  
twój każdy spłowiwały włos został zbawiony z osobna  
Zbawiony jest także ten cyniczny w twoim przypadku napis  
na wypranej i przebarwionej od innych podkoszulce  
żeby Paradise Tours dobrze się kojarzyły z niebem  
Zachęcić wycieczki szkolne do odwiedzenia tych okolic  
które są ciągle niedocenione, mało reklamowane w TV  
Zbawienie miłosierne dryfuje niczym meduza w wodzie  
możesz go nie zauważyć, choć mieni się, odbijając cię  
Jego galaretowatą strukturę trudno uchwycić w wodzie  
Uczyni cię miłosiernym, uczyni wszystko na nowo  
Uczyni cię ostatnim plażowiczem przed przypiływem  
Oto teraz dziury po kornikach zostały zaimpregnowane  
będziesz teraz mógł wyglądać jak stary, stylowy antyk  
Handlarze będą się zabijać o cię, jeden już umarł

Niech więc nastanie już twoje milczenie i niech tylko ciche  
świsty wiatru w tobie jeszcze pozostawią jakiś pogłos

## *Pieśń czterdziesta trzecia. Ostatnie przechodzenie*

Idę brzegiem plaży w moim zapiaszczonym bycie  
Jestem największym burzycielem konstrukcji z piachu  
choć dosyć dyskretnym krokiem kroczę tanecznie  
absolutnie wolny w dzisiejszy wieczór życia  
Więc gdzie chcesz ze mną pójść na późny spacer?  
Poczujesz chłód mojego śpiewania, może ubierz coś  
cieplejszego, coś włóż na siebie, byś się nie przeziębila  
bo jeszcze umrzesz i wtedy to będzie dopiero ciekawie  
Więc ubierz się ciepło na spacer z trupem zbawionym  
Pachną likierem kokosowym, a moje usta są niebieskie  
od pocałunków przechadzających się na plaży  
Zatracam rysy twarzy najbardziej mi znane  
takie legitymacyjne, rozpoznawalne, wzrost 174  
znaków szczególnych miliardy we mnie  
Przemieszczam się, zdążając na molo w Ahlbecku  
gdzie przejdę po drewnianych stopniach rytmicznie  
Festiwal organowy przy każdym moim dotknięciu  
palcami u nóg zagram jeszcze raz coś pociesznego  
Wszyscy będą się dziwić, że potrafię grać stopami  
co za miły, niepełnosprawny człowiek, tak potrafi  
Będę naciskać te drewniane klawisze, bez obawy  
Oto jest wejście na mój punkt obserwacyjny, ostatni  
Przed wejściem widzę jeszcze resztki architektury

Z cukru pudru i śliny poczynionej przez ludzi budowli  
uświetniające tysiącletnie rocznice śmierci świętych  
oni nigdy się namiętnie nie całowali, nie dotykali  
im zawsze było wstyd tak zatracić się na chwilę  
w ciepłocie izolacji, w pomarańczowej skórze  
Dmuchnę, tchnieniem rozproszę wokół siebie  
te przemądrzające się w mej pamięci wieżyczki  
zdmuchnę ten tort urodzinowy bez świeczek  
z dużą ilością tłustego kremu, z dekoracjami  
żyj sto lat, sto lat, sto lat i nigdy nie umieraj

Przechodząc, znoszę ze sobą wszystko  
W lustrze ustawionym w stronę morza  
w jednym z od dawna nieużywanych hoteli  
widać przeglądającego się na tle Morza  
Widok ten ścigać cię będzie od teraz  
aż złapie cię za ramię i krzyknie  
raz, dwa, trzy, szukasz mnie teraz ty

## *Pieśń czterdziesta czwarta. Domy z cukru pudru w Ahlbecku*

Dosyć cukrowych rozwiązań architektonicznych  
nad brzegiem wody jeszcze widać ich szyk  
nad słoną wodą cukier, mój Boże, jakie to uroczę  
Białe rusztowania dekoracyjne, wyżej, jeszcze wyżej  
skręcone tylko w niejasnym układzie pokoi i niepokoju  
Ma tu bywać Bóg z dziurawymi zębami leczonymi  
Myśleli, że przy parapecie w takim domku jest miło  
będzie można oglądać jego dobrotliwe twarzysko  
jego wapienną figurkę z martwym uśmiechem  
Nie spodziewali się słonej wody oczyszczającej  
szczybie w oczy tak, że je przecierasz ze zdziwienia  
Choć bliskość morza była odczuwalna intensywnie  
skryli się w koronkowe i wysokie rusztowania  
koncentrując się na białym montażu do użytkowania  
Szlifowali z zawziętością szczegóły wystroju wnętrz  
detale dekoracyjne, gustowne dodatki w stylu retro  
Choć z okien widać było już obiektywną czern  
Choć z okien widać było już nieskończoną toń  
tuczyli się węglowodanami, podziwiając swoje prace  
swoją sztucznie diamentowy pot na zmęczonych czołach  
Dumni i pewni motywów dekoracyjnych użytych właśnie  
wykorzystywanych w przemyśle cukierniczym  
Tucz się, tucz z uśmiechniętą naiwnością, rozczarujesz się  
twój Bóg nie ma siwej brody mędrców ni zgrabnych nóg  
Wielki żywioł poszerza ciągle swoje granice mocniej  
podmywając dyskretnie fundamenty  
pudrowych zjawisk w swoim otoczeniu  
Sól wygra z cukrem, bo nie lęgnie się w niej nic  
Umykajcie więc, resztki po architekturze w Ahlbecku  
wygodne i komfortowe, z widokiem na morze

Dużo świeżych kwiatów w przejściach, w pokojach  
Cisza i spokój i można odpoczywać miło od pracy  
leżąc, leżąc w łóżku wygodnym jak grób  
Nie trzeba schodzić na plażę, jest ciepły basen w środku  
Nie musisz zderzać się z chłodem wymagania od ciebie ciepła  
Basen jest zawsze otwarty, temperatura wody jest komfortowa  
Pozostaną jedynie stare zdjęcia dokumentujące budowle białe  
Według starych zdjęć wszyscy będą zgadywać te dawne miejsca  
i będą szukać w swej niepamięci ich lepkich resztek

## *Pieśń czterdziesta piąta. Molo w Ahlbecku*

Na molo impregnowanym solą, sezonowo odświeżanym  
idę, podziwiając głęboką czerń złożoną z przemnożenia  
Wychyłam się niebezpiecznie za dziwną barierkę  
tracąc prawie równowagę, próbuję złapać tę wilgoć  
Latarnie nieczynne oświetlają mi tę wieczorną drogę  
Mój pas startowy, rozpędzam się, odfruwając daleko  
z lewej i prawej strony wiatr całuje mnie coraz namiętniej  
Nie mogę się ciebie doczekać, no choć już, chodź do mnie  
Chłodny wiatr poczułem na swojej żylastej karkówce  
No rozbierz się już, rozbierz, niech nastąpi rajska nagość  
Zdejmij te przyciasne stopy, ten płaszcz wysuszającej się skóry  
ten kapelusz tłustych włosów zostaw gdzieś przypadkowo  
Rozbieraj się szybko, chodź do mnie, nie wstydz się  
nagi i zawstydzony, i przygarnięty, tak zależny, Tak  
Niech się otworzy ta czarna dziura pochłaniająca wszystko  
do siebie z szerokimi ramionami, zagarniającymi każdą drobinę  
Jestem w miejscu, gdzie wszystko jest dawno nieczynne  
nigdy nie było czynne, zamknięte z powodu remanentów

W samotności przecieram swe oblicze  
jednocześnie je rozmazując na zawsze  
Nic nie będzie już do siebie podobne  
na drewnianym pomoście obserwacyjnym  
Polykam wiatr, otwierając swój pysk szeroko  
Anioł zwiastujący przyływ w moim przelyku  
utknął zdziwiony kształtem mej krtani

## *Pieśń czterdziesta szósta. Rysunek I*

Mnogie resztki po mnie pogubione błędnie  
w piachu pozostawione jak ślad ślimaka, ślina  
na błyszczącym wewnętrznym blaskiem brokacie  
Przechodziłem między plażującymi, idąc anarchistycznie  
Moje ścieżki były naznaczone swobodą ruchu, bez zbroi  
Nie było tutaj żadnych autostrad z czarnego asfaltu  
ani drózek wyłobionych przez ukryte zaskrońce  
chód był nie uporządkowany, tylko intuicyjny



Pokonawszy drogę od punktu A do B, przechodząc do dalszych punktów porozrzucanych w piachu dokonałem rysunku za pomocą ciepła  
Co jeszcze po mnie zostaje, wystudzam się ciągle  
Czyż więc zakładając chaos mojego wędrowania wyznaczyłem nowy, czarny szlak turystyczny?  
Teraz to widzę z dystansu, kształt chodzenia droga między postaciami miała znaczenie i kształt przepełniona anarchią porządkującą właściwie na wyższym poziomie, znając wszelkie alternatywy  
Oto mój ostatni rysunek poczyniony ze śliny  
Panie i Panowie, dziwcie się, jaki oryginalny dobór narzędzia  
Nie znam znaczenia tego rysunku, pachnie dziwnie  
Nie jest to jednak forma dekoracyjna, poczyniona dla kurażu raczej dzika konstrukcja w części tylko mi ujawniona  
Patrząc na nią teraz, wiem, że to część większej formy  
Mam w spoczonej dłoni jeden element Trzyczęściowego aby z powrotem złączyć je w całość dawno rozbitą  
Nie przyklejając ich za pomocą kleju szybkoschnącego badając, w które pęknięcie wkleić, jaką część czego  
Mój rysunek z pęknięć i ukruszeń wyznaczony przez śpiewanie nadmorskie o słonym smaku  
Coraz lżejszy jest nacisk na powierzchnię więc kreska zaczyna się rwać i gubić na kartce do rysunku technicznego, ma inny punkt zbiegu linie horyzontu ruchome, przesuujące się rytmicznie, zgodnie z cichymi ruchami fali  
Nie zobaczysz więc tutaj szkicu z lotu ptaka ani z żabiej perspektywy wyginającej do siebie do siebie ciągnąc przedmioty, deformując je skrycie  
Zobaczysz bardzo głęboko detal wszystkiego z wszystkich perspektyw możliwych i utopijnych  
Będziesz miał wrażenie, że wszystko zbiega się do mięsistego punktu wciągającego do siebie wszelkie byty z odwiecznej tęsknoty tworzenia rysunków nieregularnych wykraczających poza układ współrzędnych z ciała i kości poczynionego  
Promienne linie zbiegu, koniec jest rozmyty rozmazany przez rapidograf podobnie precyzyjny ale niestety się rozlał, jeszcze w takim miejscu miejscu zbiegu dla zbiegów ze świata poczynionym

## *Pieśń czterdziesta siódma. Przyptyw*

Oto nadchodzi przyptyw obiecany i oczekiwany  
Stoję związany prawidłowym węzłem żeglarskim  
Słowa nie da się wciskać między brzmienia  
Nadchodzi, czując wszelkie niedrożności we mnie  
Moje cielesne myślenie pomału zaczyna się rozpadać na fali pochłaniającej plażowiczów, na nią czekających  
Właściwa w nieporządku kreacja, wybuch obfitością pragnienie, by morskie stworzenia przypomniały ją ukryte w nich instynkty nurkowania i nurzania się  
Každy z odpoczywających zaśpiewał swoją piosenkę





zarastają one bardzo szybko kurzem  
Biorę metalowy druciak do mycia naczyń  
przypalonych garnków ze szwedzkiej stali  
nigdy nie miała się przypalać, a jednak  
Z wielką zawziętością szoruję ich głębokie dno  
zobaczyć, jaka była ich pierwotna kolorystyka  
Z drutu kolczastego korony, suknie me strojne  
pochowanie w garderobach, pochowane w ziemi  
Higieniczna misja pielęgnacji wszystkich  
podmywanie w wodzie rumiankowej, nasiadówka  
Rozdaję więc mydło z osobistego tłuszczu  
z dodatkami pachnących słów zatopionych w nim  
Możecie się teraz mną myć, moim woskowym ciałem  
Płyny rozdaję do tych jeszcze bardziej intymniejszych  
miejsz niż krocza, narażone są na reakcje alergiczne  
na ciągłe informacje o tych drobnoustrojach, bakteriach  
atakują nas one w ramach cichej wojny podjazdowej  
w której jest tu ciągły remis, zero do zera  
Mleczko kokosowe do powierzchni delikatnych  
choć ślady zawsze jakieś zostaną w formie blizn  
Czyść mnie, szoruj szczotkami, gąbkami syntetycznymi  
Szoruj brud czystości tego wiecznego dbania o higienę  
wewnętrzzną i osobistą  
Niech więc brudas we mnie jeszcze bardziej czarny  
zaprzeczy mi w każdym słowie, zapełni arbuzami  
Demontaż tak pięknie wysprzątanej konstrukcji  
takiego niezwykle zdyscyplinowanego wysiłku  
z zaciśniętymi zębami i zmęczeniem  
z nadludzkim wysiłkiem poczynionej  
z lubością ją zniweczyć, miękko  
z impetem i namiętnością roztrzaskać w pył  
dla miejsca, gdzie wszystko jest między  
trzeba by znaleźć jeszcze lepszy środek czyszczący  
aby usunąć mnie  
Moje istnienie z mokradeł, z tłuszczów  
moje istnienie z kurzu i bakterii rozpuścić  
w odwiecznie śmierdzącym chlorze

## *Pieśń druga. Między*

Czarna, brudna królowa, to ja, płaczliwa madonna  
Mam drobne jeszcze błyski dobroci, można je zauważyć  
jak przechylił głowę trochę w lewo  
to może dostrzeżesz we mnie ten zablakany odcień dobroci  
Oto jestem Rozszczepiona pryzmatem twojego wzroku  
Twoje spojrzenie na mnie prawie miłosne  
złożone z tysięcy zaczepnych kryształków  
Twoje spojrzenie i wiem już wszystko  
Twoje spojrzenie i nie wiem już nic  
A mój drugi kawałek rozszarpany, rozszczepiony  
Jego krawędzie są ostrzejsze, można się skaleczyć  
pokaleczyć język, podniebne podniebienie  
W głębokich warstwach zostałam podzielona między  
Powoli składam się, oceniam, czy jeszcze jestem

wyczyszczona z Blu i Bruny, czy jestem Bianca  
Druga część mnie pomiędzy nie jest ani dobra, ani zła  
na dwie nieregularne części pęknięta  
Ich wewnętrzny skrzyż, walka błędnych rycerzy  
Nic tu nie jest samym w sobie, wszystko odnosi się  
to są ciągle powtórzenia, powtórzenia, powtórzenia  
po to, aby sędzia dokładnie przeanalizował  
za pomocą mikroskopu elektronowego, kto skusił  
które słowo skusiło, skacząc na oślepie  
To druga liga, Jemu nie chce się oglądać  
Jest tu więc sytuacja nieskończenie pusta  
Nie chce rozstrzygać, że coś się zmieni w grze  
więc wszyscy czekają napięci jak struny  
żeby zmiany zewnętrzne zmieniły ich constans  
Zmierzcha już, zimno jest już, na zewnątrz  
Idę skryta przez zmęczenie i mam słodką ślinę  
Co rano czyszczę medale doskonałości  
odznaczenia człowieka roku albo pół roku  
taka łagodna, empatyczna, wszyscy lubią mnie  
Promienne spojrzenie pieczołowicie mydlę, czyszczę  
Te moje wyrestaurowane fasady to jedyna nadzieja  
W kącikach ust i oczu, uszu tkwią wielkie czernie  
wielkie apetyty niespełnione, głodne, ciągle by się spełniały  
apetyty na wszystko, na wszystkich, mieć w sobie wszystko  
Czym bardziej odświeżone wznoszę jasne spojrzenia  
tym grubsza warstwa narasta we mnie jako bunt skryty  
Nie umiem być pokorna wobec uczuć dobrych, okazywanych  
tych uśmiechów szczerych, tych lekkich skinień głową  
Cóż za perfidna zależność wrzucona w moje istnienie  
za fasadą jaśnie oświetloną, za fasadą ciemnością pokrytą  
tkwi świątynia buntownika, skrycie odmalowywana na nowo  
Bianca moje imię spisane, by wysoko i nisko  
spoglądać, by znaleźć coś poza uczuciami, poza gramatyką  
ciągle pomiędzy przebywać, doznawać rozkoszy  
i goryczy bycia ani tu, ani tu  
Niemożliwość zlokalizowania mnie za pomocą systemów  
nawigacji satelitarnej i teologicznej  
gdzie się aktualnie znajduje między  
Lubię ten własny brud sklejący moje słowa, obrazy  
Kreować od początku te klejące się do siebie spoiwa  
z niczego  
żeby tak było cicho i czysto  
by móc według jakiejś logicznej metody rozumieć  
odzyskiwać wiarę w jakikolwiek sens mierniczy  
podpisywać się jeszcze Bianca albo Chiara<sup>7</sup>  
Białe rozcieranie rzeczywistości, do dna  
do głębszych warstw, do konstrukcji pierwotnej  
Moje zawzięte drapanie, prawie alergiczne  
podrapać się do końca świata, do granicy  
gdy się ściera już wszystko, nie ma już podłoża  
Moje poszukiwanie sensu za cenę wszystkiego  
za cenę połamanych paznokci, nieświeżej cery  
O jad kielbasiany, o drobnoustroje, o nieświeże oddechy  
Sune, oto ja, zachodząca gwiazda chińskich wyprzedaczy

<sup>7</sup>Chiara (wł.) — odpowiednik imienia Klara bądź przymiotnik: jasna, przejrzysta, jednoznaczna. [przypis edytorski]

z bardzo dumnym wyrazem oczu, z bardzo dumnym  
Prostuję się nerwowo, wyglądając lepiej zdecydowanie  
Robię sobie ciągle samodzielnie operacje plastyczne  
nadając mojej twarzy ciągle zdziwiony wyraz  
nacinając skórę w odpowiednich miejscach  
Wszyscy się podśmiechują ze mnie, widząc te zmiany  
widząc ślady, blizny po moich rozciągnięciach  
między słusnością i niesłusnością  
Zbyt biała na popołudniową porę z ciepłem w tle  
Zbyt chłodna, spokojna na zbawienną kochankę  
Zbyt cicha, by jej głos ktoś pochwycił i się przewrócił  
z przerażenia, z przerażenia, z przerażenia  
Mój byt był zawsze zbyt, zawsze ta nawiązka zostawała  
Dzielenie, po którym zostają dwa kosze ułamków  
Te pozostałości, nie wiadomo, co z nimi począć  
Zbyty, zbyty ciągnę za sobą, wyginając się mocno  
Mój tren ślubny z szeleszczących ułamków  
które po jedzeniu, miłości i snach pozostają

## *Pieśń trzecia. Przekrzywiony upadek*

Mieszkam w ściółce leśnej — kreciej  
z regularnie płaconym ogrzewaniem  
gdzie wszystkie izolacje ciepłe mruczą  
Ciepło wyściela moje małe schronienia  
z pluszu, z aksamitu, waty higienicznej  
Budzę się rano, by co dzień wpięprzać  
zdrową żywność i żyć w dobrym stylu  
zrównoważonej diety metafizycznej  
Nie jestem satanistką biegającą  
w czarnych rajstopach na głowie  
ani też kapłanką podcinającą piersi  
biodra, łabędzią szyję, brązowe nogi  
na znak, że nie pasują już do nastroju  
do adwentowej sutanny w tym roku  
Miało być sterylne białe, chłodno  
żeby nikt nie wchodził do mojej pułapki  
zaprojektowanej na siebie samą  
Mogłabym ciągle przypudrowywać się  
spoconą twarz kokainą oblepiać  
zachowując ten śnieżny odcień bieli  
prawie nieczłowieczeństwa, diamentowy  
prawie boski chłód spojrzenia na wszystko  
Pozbyć się balastu głośnych opowieści  
wielkiego chrzanienia ze szklanką wina  
przekomarzania się i oglądania rannych  
w ramach dobrej nowiny non stop kolor  
Spokojnie w słonecznych okularach sunę  
przez dynamicznie rozwijające się przejścia  
podziemne  
Skrywana biel kołnierzyka, to nieludzkie  
bywać tak białym jak śmierć

jak bianka

Jakże by tu umrzeć, właściwie w jaki sposób?  
Czy w wielkich cierpieniach oczy przymrużać z bólu  
iskrzyć się w boleściach pozowanych do obrazu  
czy odejść łagodnie nieświadomym przesunięcia?  
Wybierz mi coś właściwego, na mój rozmiar  
na moje możliwości amatorskiego teatru gestów  
Przetestuj mnie, czy będę uciekać, czy ulegnę  
Czy histerycznie będę pozdrawiać całą moją rodzinę  
rozdając im w spadku kosmyki moich włosów  
pozostawionych na poźółkłej od lęku poduszce  
dekorując ją w orientalne wzory swym wiciem?  
Swobodnie mnie skrusz i połam sobie, jak chcesz  
Niech wygną się moje ręce, nogi poskładane  
w porządku alfabetycznym, zrywając nowalijki  
*piano* Moja śmierć jest biała, onieśmielona sytuacja  
w której należy całować mocno w usta i patrzeć  
Moja śmierć w czepku kąpielowym bawi się  
w umieranie, mrużenie oczu od refleksów w niej  
Lubi mój kolor, choć w rękę ścisza nowe barwniki  
W dzień mojego przekrzywionego upadku  
wszystko było przekontrastowane i przesycone  
Ta woda chlorowana, która była w basenie  
powodowała niszczenie wszystkich tkanin  
ich rozdzieranie w niefortunnych miejscach  
W białym kostiumie siedziałam, oparta o brud  
Baseny wykopywane na świętą pamiątkę męki  
Nie chciało mi się wtedy pływać w tym moczku  
irytowało mnie to ciągle machanie łapami  
Ciągle utrzymywać się na powierzchni lustra  
rwać się do kolejnych oddechów, co wysoko wiszą  
ciągle walczyć o to bycie między, o to poziomowanie  
Mimo rezygnacji i zniechęcenia wodną formą relaksu  
weszłam na pośrednią w wielkości skocznię, między  
Chciałam zrzucić swe ciało zakostiumowane w dół  
Lekko odbiłam swój ostatni ciężar, wygięłam się w łuk  
triumfalny co najmniej, co najwięcej  
Mój skręcony lot trwał sekundy niefortunne, odliczane  
Uderzyłam w wystający brzeg sztucznego morza  
w wykafelkowany skalny klif, wywafelkowany uskok  
Poczułam długi ból głowy, kręgosłupa, palca u nogi  
Krzyknęłam z bólu rozbita o chlor, o swoje ciało  
Mój kręgosłup został złamany na tysiące części  
które rozbite niestety już do siebie nie pasowały  
ani ze względu na kształty, ani na motywy na nich  
Zaczęłam się roztopiać, zgruchotanie czułam chwilę  
przymknęłam oczy, licząc, że tak wygląda zakończenie  
mojego skakania do góry w dół, do dołu w górę  
Ciągnęłam za sobą cielesność wywleczoną  
Migotliwa podążała ona wciąż za mną  
próbowała we mnie odnaleźć dawnego właściciela  
obwąchując mnie, sprawdzając, nie dowierzając  
Trudno jest zostawić tę kapryśną słodycz po drodze  
z daleka jeszcze w tylnej szybie samochodu widzieć  
jak wyje z tęsknoty za tobą i nie rozumie, że to śmierć

Przepełniona wodą odzyskuję pełnię przecieku  
Wtedy otrząśnięto mnie w chłodnym przejściu  
w korytarzu usłyszałam pytanie i słowa rozwiązane  
nie byłam w stanie ich uchwycić, mimo wysiłku  
Nie miałam w sobie jakiegokolwiek zaczepu  
żadnego przełamania w sobie, skrytej szczeliny  
Słów tych zrozumieć nie mogłam, skierowanych  
Przesunięcie smutne odsunęło mnie od siebie  
Poczułam obietnicę brzegu oddalonego o miliardy  
miliardy stóp, łokci, zaniedbywanych zgjęć  
Rwałałam się, chwytając się czegokolwiek  
ale wyrzuciłam się sama w szarosrebrny popiół  
Dziwne, bo byłam przygotowana na zajęcia WF-u  
miałam na sobie jeszcze ślad po kostiumie  
idealnie nadającym się do pływania w morzu  
Strój w cytrynowe pasy niebezpieczeństwa

## *Pieśń czwarta. Prochy*

Oto linoskoczek, na poły przechodzący  
nad pieklami srogimi, nad niebami mdłymi  
teraz leży w swym stroju biało-czarnym  
rozumiejąc powoli swe nagłe rozbicie  
na grubą warstwę lepiałego się Prochu  
Ukryte są w nim tajemnicze pumeksy i resztki  
wysuszonego mleka z piersi, z witaminami  
zmielone z dokładnością magistra farmacji  
wszelkie lekarstwa, tabletki świata na wszystko  
W środku można wyczuć jeszcze inne rzeczy  
choćby spopielone kawałki słów za słabych  
czy wałęsające się nawiasy jak pogubione rzęsy  
Substancja ta miała cechy leczniczo-drażniące  
smutek wypełniający mnie całą zgruchotaną  
Słodkie tabletki przemielone otaczają mnie  
Gorzkie antybiotyki zmielone w buzi  
wypłute na krawężnik rzeczy wszelkiej  
Wszystko było jakieś takie skurczone tu  
z zimna i ze strachu, i ze smutku  
podkurczone ze wstydu, że się nie udało  
Patrzeć swymi przeplakanymi oczami  
Nie można ich przymknąć ni zmrużyć  
Krajobraz dokładnie 50% bieli-czerni  
Mam w dłoni jeszcze prochy dla siebie  
Moje kolorowe przyjemności skurczone  
ściśnięte, barwiące swą słodką powłoką  
by się lepiej łykało, by łukiem tęczy  
zbawić moje bóle podziemne  
Prawdziwe cuda mogą się zdarzyć, gdy zmieszam  
różne lekarstwa ze sobą nie do pary, nie do wiary  
Popiję zwietrzałym winem, poczekam na prochy  
na moje wewnętrzne przecieranie się bolesne  
Jeśli chcesz znać tę chorobę, to jest ona rzadka  
osoba o takich skłonnościach cierpi prześmiesznie  
ma potworne bóle głowy i zawroty, i krew z nosa



jej leci na ziemię, z nią całą na ziemię, zalewa się  
wszystko widzi straszliwie ostro, każdy detal  
mocno wbija się w nią, za głęboko zdecydowanie  
Teraz jestem w prochach na prochach w twoich prochach  
prawie zatopiona, trafiona, prawie zatopiona  
Łykam miliony lekarstw za pomocą siebie, zanurzam się  
Przedawkuję wielokrotnie ilość lekarstw na dobę  
po to, żeby się już nie obudzić, by ten sen przedłużony  
zagłuszyć za pomocą przyjaznej dłoni, jaką podaje nam  
farmakologia  
co głaszczę po głowie, głaszczę, głaszczę przyjemnie

## *Pieśń piąta. Trzy minuty Czyścca*

Trzy minuty Czyścca, zdycham ostatecznie  
Zdycham w twych ramionach jak w okowach  
jak w ostatnim okopie w błocie wyłobionym  
Czy wiesz, że to przez ciebie te trzy minuty  
przez to rozbicie pryzmatem twojego wzroku  
twojego mdłego spojrzenia na mnie prowadzonego  
Zostałam potępiona i zbawiona, bo nie umiałam  
trzymać cię za rękę, nie odpowiedziałam ci  
Widzisz, wszyscy mi mówili, że teraz będę płakać  
że przypomnę sobie gorzkie wypełnienie tabletek  
choć ich pozór, choć ich powlekanie jakże słodkie  
Gdyby istniało tu jakiegokolwiek ostre narzędzie  
zabiłabym się wiele razy, z satysfakcją umierania  
aż w końcu byś zlitował się nade mną i pochwycił  
łapiąc za mą dłoń, stanowczo mi tego zabraniając  
Już nigdy więcej bym tego nie zrobiła dla ciebie  
Nie szantażowałabym cię swym płaczem, histerią  
W wersji sproszkowanej już mnie nie chcesz za bardzo  
teraz ta niepotrzebność, samotność wzgardzona  
Nie ma jak pokutować, nie ma narzędzi tortur  
Nie ma kół zębatach śmiejących się nieszczerze  
Nie ma klatek z owocami rekordowo gorzkimi  
Nie ma nic, tylko wielkie pogorzeliśko wokół  
Ten strup właściwy ciągle się goi i sklejonny jest  
z plastrem, jeszcze trzy minuty gojenia się  
Daj mi właściwy powód mego czekania  
W krainie zwęglonej baśni wszystko jest marne  
Wszystko jest spalone, ze wstydu kryje swoje twarze  
w kąty za karę  
Tych kątów do odczekania miliardy, same kąty  
Stoję bez ruchu, prawie jak umarła w kącie  
Liczę do stu, liczę na ciebie, ojcze, liczę na liczenie  
Zniszcz mnie lub zbaw, niech już nie będzie  
trzech minut zapomnianych przez wszystkich  
Czekam na litość  
Wyciągam swe żebracze ręce, błagam o ruch  
Z kartką pogniecioną informuję przechodniów  
że jestem ciężko chora i nie mam nic  
Mam temperaturę w cieniu bardzo niską  
Czekam na litość bażancich spojrzeń na boki

Wyciągam się żebracza jak żagiel zwieszony  
błagając o szept, co poruszy wielkie ciężary  
Czy widzisz moje szerniałe ręce z węgla wykute  
z węgla, dobry jest na przeczyszczenie  
Czekam na litość, zbieram na lekarstwa

## *Pieśń szósta. Sine jezioro pod powie- ką*

Pełna bólu, zmęczenia sobą nie mogę kroczyć  
w paradzie jednej osoby bez flag i emblematów  
Odwracam się, zemdlona szarością w porcjach  
Widzę mą podobiznę multiplikującą się w kątach  
Fermentuję, deformuje się ciągle me senne spojrzenie  
Smród tutejszy silnie uderza mnie po policzkach  
boleśnie spłynęło wszystko wodospadami w dół  
Upadłam jeszcze raz na siebie, próbując zobaczyć  
wielki, osobowy siniec, rozlewający się we mnie  
znak zakazu, nakazu i ostrzeżenia dla łobuziar  
Odrętwiałe oczy podniosłam wielkim wysiłkiem  
z siną twarzą pełną dźwięcznych zębów w ustach  
Czyż nie jestem teraz piękniejsza, obita-opuchnięta?  
Me wdzięczne policzki strzaskane, guzy się piętrzą  
na prawej i lewej stronie mych skroni jak rogi srebrne  
Uśmiecham się niecierpliwie uznając, że mnie poznasz  
umalowaną dziś niewinnie dla ciebie, na spotkanie  
Wije się niecierpliwie niewielkie rozlewisko  
w odcieniach mieni się jej oleista fala  
niestety niezachęcająco, niestety niezachęcająco  
W szarym prochu fioletowo-zielone jezioro  
Bajoro brudne, odmęty głębokie i ograniczone  
rozlane tu przypadkiem przed wiekami  
w sumie przez nieuwagę się wylało  
ale nikt tego nie zmył, nie posprzątał  
O nim się tylko zapomina, bo jest z boku  
Jego solna toń wypełniła mi gardło  
gdzieś przypomniłam sobie tę woń  
znaczenie tego zapachu apteczne  
walerianowy z cukrem smród wielki  
Kompost, nawadnianie okolicy kroplami  
z dozownika wąskiego, ciągle zatykanego

To tylko dla bydła gorszego sortu  
dla cielaków z sutkiem w buzi  
z papierosem najtańszym w okolicy  
Mają twarde języki i żuchwy stalowe  
smaków nie rozróżniają już w zasadzie  
Na brzegu jeziora rozsypany cukier  
Cukier zaciągający się gorzkim smakiem  
dla histeryczek i histeryków baśniowych  
drżą im ręce, nie potrafią nawet nosić siebie  
Cukier na małe łyżeczki sypany  
zachodzące walerianą zachody słońc

testów ciężowych i papierów lakmusowych  
stosowanych przez jeszcze uczących się  
Takie sine oko na pustyni pokrytej wykładziną  
ukrywa to, że pod nią trwa konsekwentny rozpad  
Pomóż mi podnieść oczy, pomóż mi spojrzeć  
Cóż to za zjawisko niezwykle i smrodliwe  
czy zapominanie aż tak cuchnie, aż tak?

## *Pieśń siódma. Bianca śpiewa nad walerianowym jeziorem do nieznanego*

Moje spierzchnięte usta wyszeptują pytanie do ciebie  
Kim jesteś, o skulony? Gęsia skóra na twym ciele?  
Językiem swym chlepczesz silny koncentrat waleriany  
zalany tylko 0,000001% słonej wody z morza  
ta niewielka ilość już wystarcza, że pamiętasz o wszystkim  
Gdzieś Jego daleka obecność przypomina tobie  
że słona woda jest bardzo zdrowa i antyseptyczna

Jeżeli umiesz rozciąć jeszcze raz usta do śpiewu  
słowa wypowiedane spopielają się od razu w miał  
Nic nie ma smaku, nawet waleriana, nawet twoja ślina  
Proszę więc o łyżkę cukru, małymi porcjami popijajmy  
za naszą pośmiertną starość i niedołęstwo spowodowane  
uprawianiem sportów, które defasonowały nasz bezruch  
zapomnieć wszystko, czego nauczył komitet normalizacyjny

Kim jesteś, skulony potworze z jezior fotografowany?  
Wszyscy myślą, że jesteś rodzajem istnienia niemożliwego  
że jesteś istnieniem z dosyć precyzyjnego fotomontażu  
Gumowy łabędź, z którego tchnienie umknęło, i zmarszczony  
taki materac wydmuchany, dziurawy w swych spojeniach  
Leżysz wyrzucony na brzeg walerianowego sińca w kształcie  
nieregularnego koła narysowanego prawie ludzką ręką  
Potrzebowałabym teraz kogokolwiek  
Czy ty możesz być przez chwilę  
Kimkolwiek?

## *Pieśń ósma. Walerianowy śpiewa żółnierskie piosenki*

Fioletowy język trzepocze zalękniony pieśń ostatnią  
nad rozlewiskiem zabagnionym ze szlamu i waleriany  
Wojenne pieśni śpiewam nad głuchym jeziorem, echami  
Ciągłe zapomnieć nie mogę, choć chlepczę tę maź  
Czynić tak muszę na pamiątkę tego, że musiałem pić  
dużo lekarstw uspokajających, zapominając na zawsze

czym laur zwycięstwa jest odkupiony, medale spoczywające  
w komodzie sosnowej, nie było gdzie ich położyć  
To była krwawa jatka, nikt już tego prawie nie pamięta  
Mnóstwo rannych, sami zabici, piekło na ziemi  
choć teraz nie jestem pewien używania tej metafory  
Walczyliśmy w kurzu czarnej chmury z deszczem kwaśnym  
Nadchodziła burza gniewu, dla nas, dla mas wyginanych  
dla mas wyginanych miękko-swobodnie na wietrze  
Zabić wroga gwałcącego nasze łąki i miasta brudne  
Jego kobiety czeszą się inaczej niż nasze, mają karminowe usta  
naszym się zawsze włosy przetłuszczają, to oznaka zdrowia  
Wojenne pieśni śpiewam nad głuchym jeziorem, z chórem  
Wiesz, jak wygląda pejzaż pełen fontann żylnych, tętnicznych  
Nigdy pewnie nie byłeś w miejscu, gdzie nóż nie wystarczy  
Te krzyki, te ciała porozrzucane przez huki, bomby  
Widzisz te twarze pełne załęknienia, płoszą się zwinnie  
patrzą na ciebie, błagając o naturalną litość w tobie wydzielaną  
Zamykają oczy, zaciskając je do środka, obawiając się huku  
przypominają sobie jakieś pourywane strzępy modlitw  
Ty stoisz przy nich i celujesz prosto w ich twarze ściśnięte  
Wydaje ci się, że widzisz twarze wszystkich męczenników  
rzeźbionych w miękkim drewnie przez szatana rzemieślnika  
On uwypukla, jak mocno cierpią z niczego, dla igraszki losu  
Te lukrowane słodczyce palone, smażone i farbowane  
Jak już strzelasz, to odwracasz głowę w stronę czyścica

W końcu jednak trafiono i mnie, w ucho lewe — prawe  
Leżałem wtedy na leżaku, spoglądałem w niebo  
Słoneczne leżaki — nosze, niosą cię do szpitala  
a tam dowiadujesz się, że nic z tego nie będzie  
chyba że wytną ci wszystko bez znieczulenia  
Będą ci nożyczkami do papieru wycinać wycinanki  
Wydrylują twoje owocowe, robaczywe wnętrza  
Wtedy przypomnisz sobie twarze wszystkich zabitych  
własnoręcznie za pomocą karabinów na słowa  
tratatatatrattaatrrratatratttatratratratatrrrrata  
takie karabiny mają techniczną usterkę, mogą się zacinać  
i jąkać

## *Pieśń dziewiąta. Bitwa po bitwie*

Leżę twarzą odwrócony w popiół, do środka  
Muszę leczyć swe obrażenia wewnętrzne  
Uciekają mi słowa pieśni żołnierskich i patriotycznych  
ku pokrzepieniu serc, po śmierci krzepną z trupami  
Tak bym chciał je śpiewać, żując czerwone kwiaty jak tytoń  
Podsłuchujesz mnie bez ustanku, ty jesteś szpiegiem  
Twój głos skryty ma w sobie ten pogłos stłamszony  
zdradza ciągłą rejestrację każdego szmeru najcichszego  
Czy teraz dobrze mnie słyszysz, czy przesunąć się odrobinę  
do skrytych mikrofonów, czy są bardzo wsłuchane we mnie?  
Chcesz śpiewu zwierzeń tego, „całego w sińcach”?  
Dobrze, to niech wszyscy mnie potępią jednogłośnie  
skazując mnie milionowy raz na karę śmierci za dezercję

Z pola walki zabrano mnie tutaj, piejąc dostojnie hymny  
wachlując me zwłoki skrzypami i widłakami w trakcie  
podczas pogrzebów spreparowanych przez domyślne wdowy  
Po śmierci nastąpiła bitwa we mnie, w każdej mej komórce  
w każdym organie wewnętrznym słyszałem te skrzypki  
przerzucany przez widłaki, to w jedną, to w drugą stronę  
Wszystkie moje niedrożności zostały odrzucone razem  
Moja batalia trwa ciągle, pełen furii kruszę się ze sobą  
plącząc nad wielkim jeziorem, zostałem uderzony  
w najczulsze miejsca pod skórą byka, wołu pochylonego  
Nagi, bez zbroi i mundurów zszywanych z resztek  
Jestem zmęczony tym ciągłym krzykiem bojowym  
w oczekiwaniu na wroga w pełnym kamuflażu  
Moje jezioro zostało mi dane, żebym zapomniał o biciu  
mocno w policzki, dla ich własnej przytomności  
Cucić się ciągle z żalu, z otumanienia zapachami  
Strzelaj do mnie, strzelaj prosto w serce, 60 punktów  
Dostajesz bonus w postaci dwóch granatów z drzewa  
prosto w mordę, bez zawleczonej, czerwone i słodkie  
Po śmierci jestem jeszcze bardziej wycięty w sobie  
tylko ścinki zostały po moim żołnierskim rynsztunku  
Takiego mnie widzisz, taki słaby kadłub leżący  
zgnieciony sam przez siebie w popiele nieświętym  
Ślinię się, bo nie mam w sobie żadnych zwieraczy  
Oczekuje się od mnie skrycie zupełnie nowych rzeczy  
Do tego potrzebna jest mi waleriana, boskie lekarstwo  
Moja pokuta nazbyt oczywista, muszę wypić ją z czasem  
tę wielką gorzką łyżkę, a wtedy stanę się tylko echem  
z sennym mrużeniem poobijanych oczu  
z walerianowym odcieniem przemień, wietrzejąc

## *Pieśń dziesiąta. Bianca obraca się wokół siebie pierwszy raz*

*karuzela metafizyczna*

Odwrócę się od ciebie, nie będę słuchać  
tego smutnego wykrzykiwania pustej sceny  
tylko taka amatorszczyzna mu pozostaje  
Chciał maszerować, a leży skulony w okopach  
zsiakany ze strachu sam przed sobą, przed wrogiem  
licząc na zbawienie za linią swego horyzontu  
Boli mnie słuchanie jego kwaśnego jazgotu  
dźwięk, co porządkuje moje tańce ze śmiercią  
Ona pochwyca mnie za biodra i obmacuje pijana  
oczekując, że mam ciało na zamek błyskawiczny  
to pozwoli jej szybko mnie rozebrać i obrąć  
Odwracam swój pielęgniarski głos zmęczony od niego  
Śpiewak z mordą pełną karabinów starego typu  
Pot mu jeszcze pozostał na nylonowych mankietach  
Podchodziło mi wszystko pod gardło nacięte  
jad szerszeni i pszczoł, byłam zatruta od niego  
Zawroty głowy, omdlenia jako skutki uboczne

Obracam się jako karuzela siedmioramienna  
Obracam się wraz z drągami zespawanymi ze mną  
Kaźde siedzenie jest już tutaj zarezerwowane  
Niecierpliwie się kręcą w swoim miejscu, czekając  
na swoją kolejność wywołanych do odpowiedzi  
Jestem osią tej karuzeli, zakręcam się wokół siebie  
chcąc pozbyć się tych brzmień nałożonych w nadmiarze  
oto moja pokuta

Sluchanie tych kręcących się  
wokół siebie rozciągniętych  
Jestem karuzelą karuzeli  
Mój ciężar nierozłożony  
równomiernie, krzywo  
Stracić tę pieprzoną równowagę  
ruchu i trwania w sobie, o sobie  
we własnej osi, na własnej osi  
Taki przyrząd z ciernia utkany  
dla zabawy, rekreacji po trudzie  
w czasie, gdy park jest już zamknięty  
dla odwiedzających groby

## *Pieśń jedenasta. Viniale*

W nadmiernym ruchu, tracąc barwy na rzecz szarości  
powoli moje rozkręcenie zaczęło zanikać dostojnie  
Zobaczyłam przed sobą willę Viniale, stała na górze  
Góra z pumeksu kosmetycznego w popiele zanurzona  
na której pozostawały jeszcze skóry wężowo-księżycowe  
Budynek miał w sobie tylko delikatnie muśnięcie rózu  
Włoskie, zielone okiennice zostały dawno zamknięte  
Gęste warstwy sadzy zdradziły mi tajemnicę ukrycia  
Źródło brudu i podgrzybków, niejadalnych czarnych głów  
Sama zresztą podejrzewałam, że coś gnije tutaj w środku  
nażyźniając okolicę swym pojedynczym wystąpieniem  
Odwróciłam się w stronę zabitych drzwi deską piniową  
Wtedy lekko zostałam przesunięta do środka tego pałacu  
dłonią przesuniętą, co za dobro wynagradza, a za zło karze  
Byłam w jego przedpokoju, panował mrok zmrużenia  
W studniach głębokich wszystko miało swoje zakończenia  
Pozbawione tutaj jakiegokolwiek sensu i funkcji meble  
z sera topionego z dodatkiem wełny mineralnej, rzeźbione  
i sreberkami kruchymi oblepiane, błyszczące, mylące  
Zobaczyłam na wielkich schodach rozciągniętych wokół holu  
siedzącą kobietę z bardzo chudym i smutnym policzkiem  
ubraną w postrzępioną bieliznę z resztek srebra z piwnicy  
Trzymała głowę w dłoniach wychudłych, wysuszonych  
podkreślając bardzo matowy odcień twarzy  
Zakorzenione tu były sadzonki ostów samosiejających się  
Owa szorstkość jej trwania powodowała mój lęk  
Prawie zauważalnie cofnęłam się do siebie znów  
Poczułam, że jej pieśń z czarnego gardła gorzką będzie  
Jej dzikie spojrzenie wyniuchało mnie w mroku  
Nie mogłam się wycofać

choć chciałam mój ruch cofnąć  
Takie są cholerne reguły gry  
reguły gry w gry planszowe  
nie można cofnąć ruchu  
do momentu Niewiedzy

## *Pieśń dwunasta. Pani domu śpiewa*

Jestem panią domu, jestem bardzo zajęta sobą  
Muszę włożyć braki kwiatów w brak wazonu  
Muszę rozmazać ten kurz z popiołu na meblach  
Zabrakło mi środków czyszczących niestety  
Nic nie jest przygotowane na przyjęcie gościa  
Nie jestem ubrana dość wytwornie, nieumalowana  
Misternie trzeba dobierać garderobę na wieczór  
potem będą się z pani podśmiechiwać po cichu  
że pani domu nie wygląda dobrze, zestarzała się  
ostatnio  
Będą ciągle komentować każdy szczegół ubrania  
Dobór właściwych dodatków do całości kreacji  
Wszystko komponuje idealny porządek i ład  
A ty przyszedł w moje nieprzygotowanie, teraz  
Przepraszam cię za mój bałagan ciągły w środku  
wszystko przez roztargnienie, przez wspomnienia  
nie mogę powrócić ze spokojem do prac domowych  
Prowadziłam dom mojej siostrze, przez całe życie  
Ona przez lata bardzo ciężko chorowała i śmieciła  
Zajmowałam się porządkami odpowiedzialnie, sama  
wstydziałam się jej wolnego umierania przed innymi  
Nie mogłam patrzeć, jak boleśnie odchodziła, umieraj już  
Trwało to tak strasznie długo, na co czekasz, zbieraj się  
Marzyłam o samotności i o tym, by umilkła, umieraj już  
Miałam dosyć jej mycia, przewijania, karmienia już  
utrzymywania wszystkiego w porządku, zdychaj szybko  
To wszystko trwało latami, umieraj już, umieraj już  
Opieka nad nią była taka męcząca, nie mogę już patrzeć  
Nadszedł w końcu ten dzień, chwalcie boga, ach-lleluja  
którego jutrzeńki z dawna oczekiwałam z przekąsem  
Siostra zmarła, nie obudziwszy się, nie poprosiła mnie  
jeszcze o tę ostatnią przysługę podtarcia jej tyłka  
mogła się przecież zesrać ze strachu, przed końcem  
Po jej pogrzebie zostałam nareszcie sama w swym domu  
Poślubiłam podczas tajemnej uroczystości siebie dla siebie  
aby nikt nie rujnował pedantycznej sterylności dywanów  
Wspomnienia błękitne grzybem odkładały się na ścianach  
Pani domu prowadzi dom pełen bezpieczeństwa i ciepła  
Pani domu kocha porządek przez lata, nic nas nie rozłączy  
Unikałam ludzi ciągle odwiedzających z podarkami lichymi  
Tą idealną harmonię mojego skrytego domu naruszyliby Oni  
Raz dziennie chodziłam na targ po zakupy, by przyjrzeć się  
tym ohydny twarzom, brudnym, rozmnażającym biedę  
Jak coś takiego można zaprosić do siebie, do domu?  
Lecz ich nie powstrzymałam, do Viniale zakradł się gość  
Tak jak ty tutaj zjawił się niespodziewanie, niezaproszony

Włamywacz wskoczył przez uchylone okno w dachu  
Wyszłam w nocnej koszuli sprawdzić, kto hałasuje i broi  
gdy zapaliłam światło, napastnik, którego nie rozpoznałam  
rzucił się na mnie, zaczął mnie dusić brudnymi rękami  
Czy Pani sobie to wyobraża, brudnymi łapami na mą szyję?  
Gdy wytrącał ze mnie ostatnie oddechy rytmiczne  
przypomniała mi się twarz mojej siostry odwracającej wzrok  
odliczającej start swojej nowotworowej rakiety w gwiazdy  
Gdy ostatni mój oddech został powstrzymany rybną dłonią  
przymknęłam oczy na chwilę, wtedy w moim czystym domu  
poczułam przeciąg

Nie było Obcego i mego ciała pod kredensem gotyckim  
Chciałam pozamykać okiennice przed burzą, co nadciągała  
Przeciągi są niezdrowe i można ciężko się rozchorować  
Każde okno mojego domu było otwarte na roścież, hukalo  
więc zamykałam szczelnie moje sumienie na każde pytanie  
Na strychu w ostatnim lufciku zapytano mnie  
o moje przyznanie się do brudu  
więc go ze złością zatrasnęłam  
by się nigdy więcej nie otwierał  
Podmuchy wiatru wydają się czasem  
jakimś nawoływaniem z daleka  
jeżeli wpadną w jakieś szczeliny

## *Pieśń trzynasta. Nieporządki*

Oto skryta siedzę tutaj zacerwieniona porostem  
Może ty będziesz moją przypadkową emisariuszką?  
Moje zakurzone usta pełne, są poplątane w szykach  
nieporządki oddechów i bezdechów grzybiarzy  
Należałoby czyścić ten brud i kurz pokrywający mnie  
Kurz coraz bardziej zamieszkuje tu w zakamarkach  
Co na to powiedzą sąsiadki z okolicy i znajomi?  
Mogę siedzieć tylko na schodach między piętrami  
patrzeć, jak wokół mnie staje się nieczystość  
a ja jestem tym źródłem brudu rozchodzącego się  
Gdy popiół i zgnilizna wszystko już wypełnią  
po brzegi wypełnię się kompostem nieprzyzwoitym  
Wtedy ktoś odszuka mnie w tym otwartym grobie  
dokona niezbyt sympatycznej ekshumacji  
odkrywając moje domniemane imię  
Grzyb piwniczny, grzyb biały wokół mnie kwitnie  
kiedyś tak bardzo je zwalczałam, w kątach piwnicy  
oczekuję ich obecności, modłę się o ich powracanie  
Rozłożą one te żelbetonowe ściany na kruszywo  
które wykorzystywane będzie do budowy obwodnic  
Grzyb ten żywi się wilgocią od morza chłodnego  
tak czekam znów na ten przeciąg powtórzony  
bym była gotowa wobec niego i wobec siebie  
Moją pokutą jest ciągle spojrzenie mej siostry  
której pod koniec lekarstw nie podawałam usług  
Czekałam z uśmiechem, aż w swoim moczu odparzona  
odwróci się do mnie z powrotem, prosząc mojej łaski



Jakże są sekretne te odpryski z rzeczywistości  
zmieniają mój dawny uśmiech w skowyt  
No wie Pani, taki skowyt wewnętrzny  
Czy Pani się to też czasem zdarza, taka dolegliwość?  
Czy to normalne jest takie skowyczenie w brudzie  
w okresie niemenopauzy, ale pauzy przeciągłej?

## *Pieśń czternasta. Bianca odwraca się drugi raz*

Przestań, umilknij już, nie wiesz, jak fałszujesz  
Drażni mnie twoja naciągana na znaczenia pieśń  
Nie chcę zbliżyć się do ciebie, śmierdzisz przykro  
Rozkładasz się tak strasznie wolno, trwa to latami  
Kompostowe lato, z tobą wakacje wymuszone  
unikając pośrednio twojej obecności niepewnej  
wśród mebli kolonialnych i tapet prowansalskich  
Ich głównym nowym motywem jest scena hand made  
Jedna z siostr leży w łóżku i błaga Odwróconą o łaskę  
pomoc w zdychaniu królowny na ziarnie grochu  
Tapeta jest bardzo szczegółowa, a motyw w milionach  
Ujęcie sceniczne pojawia się rytmicznie nie do zniesienia  
Prowansalskie widoki, niby to słodkie, skradają się w bólu  
powoli, słony grzyb zdobywa kolejne kawałki i łądy  
zjada historie na tapecie przedstawione, stopklatki  
Pożera powoli, rozkodowując ich dawną intensywność  
Ten dom jest taki cuchnący odwróceniem, goryczą

Ubrudziłam się tobą bardzo  
od twojej pieśni brud  
Obracam się drugi raz na pięcie  
Znam już trochę swoją mechanikę  
ta minimalna możliwość ruchu  
zatracić się w tym kołowaniu się  
Znów widzę przesuujące się echa  
po rzeczywistościach tańczących  
Niedokończone rysunki się ścierają  
Poczułam lekkie hamowanie  
ktoś zatrzymywał mnie za włosy  
siedząc na jednym z ramion karuzeli  
zatrzymywał mnie swoim szuraniem  
przydługich nóg o ziemię

## *Pieśń piętnasta. Przyrząd gimnastycz- ny Sensory Integration*

Przede mną  
drażek pojedynczy, przyścienny, nieistniejący

z obejmami i sworzniami mocującymi kurtyny  
Listwa naścienna, spopielony słupek oraz odciagi  
z hakami, by utrzymywały niezwykle ciężary  
Słupek, listwa naścienna z otworami po oczodołach  
zapewniającymi regulację twojego poniżenia  
Odskokcznia gimnastyczna treningowa ku górze  
z obiciem, ocynkowana rura stalowa, co chód oddaje  
na obu końcach haki umożliwiające zawieszenie  
twojego braku ciała na skrzyni gimnastycznej  
będziesz mógł osiągać na tym sprzęcie lepsze wyniki  
Wymachy ku górze  
Materace gimnastyczne z wypełnieniem z pianki  
regenerowanej, w nieskończoności się regeneruje  
Liny z okuciami do zawieszenia twojego rozkładu  
System mocowania lin do ściany, byś już nie spadał  
Oto zestaw do treningu braku ciała Sensory Integration  
Resztki po twoich skórach, po układzie nerwowym  
są wyciskane przez metalowe konstrukcje ze słów  
Cóż to za niezwykle projekt wystawienniczy  
Te poręcze z podparciami do ćwiczeń duchowych  
Ławka do treningu mięśni, dopiero je teraz ćwiczysz  
Wcześniej ich nikła obecność nie była odczuwalna  
nie wykorzystywana przez ciebie na co dzień  
dlatego zanikły, teraz muszą urosnąć jak dzikie rośliny  
które do bolesnej korozji cię doprowadzą przez zakwasy  
Solidna konstrukcja ramowa z rur wysokiej jakości  
Do lin spięta obudowa obciążników, byś ciągle fikał  
zamknięty obieg linki, napinacz linki, wiszący drążek  
do wyciągnięcia twojego zbitego w siebie cielska  
Przyrząd do prostowania nóg zahamował karuzelę  
i dzięki temu teraz jestem zawieszona na przyrządzie  
Razem z tobą na *Sensory Integration* rozciągam się  
Ja, miłosierna Samarytanka, nie wiem, jak pomóc  
którą dźwignię mam poluzować dla ciebie  
Profil stalowy półzamknięty z elementami  
a w środku wśród tych lin i metalowych kólek  
śpiewam pieśń dla skazanego na galery, by mu miarowo  
wierszem ułatwiać rytmiczne wykonywanie ruchu

## *Pieśń szesnasta. Użytkownik zesta- wu Sensory Integration skrzypi*

Każde me słowo skrzypi z niedooliwienia  
Słysząc tak bardzo, jak się otwiera i zamyka  
jego brzmienie w moich koślawych ustach  
wszystko przez ten zestaw ćwiczeń na rozciąganie  
Nagle wypowiedzenie czegokolwiek staje się trudne  
Długotrwała jest moja rehabilitacja, skomplikowana  
Opracowano system automatycznego nagrywania  
na taśmy magnetofonowe zaleceń, instrukcja obsługi  
moich pieśni pasujących do osobistego programu  
Instrukcje do różnorodnych typów ćwiczeń

Zestawy opisów pozycji wykonywania ćwiczeń  
komendy, cząstkowe opisy ćwiczeń, liczebniki  
oraz informujące, motywujące komentarze nagrane  
zmieniając we mnie elementy i moduły dynamiki  
z liczbą powtórzeń na wybrane partie wspomnień  
Ćwiczenia są łączone w dowolne zestawy, mam do wyboru  
mogą być pogrupowane według charakterystyki problemu  
Przygotowany układ może być łączony  
z odpowiednio dobranym podkładem muzycznym  
możesz zatem śpiewać do mnie cały czas, ty  
wydając mi rozkazy i polecenia dyscyplinujące  
bym w swym fartuchu nylonowym doświadczył potu  
Poprawa samopoczucia, a przede wszystkim świadomość  
sprawności własnego ciała  
w nowej formule, nowe nieciało  
Dzięki delikatnym impulsom przekazywanym  
przez słowa uzyskuję efekt naturalnej pracy mięśni  
podobny jak przy wykonywaniu tradycyjnych ruchów  
Każdy może ułożyć swój indywidualny, sumienny styl  
Niepowtarzalny, powtarzalny zestaw ćwiczeń  
Jest to konstrukcja jedyna możliwa dla mnie  
by mój tłuszcz odrzucić, by mój byt wreszcie znikł  
dzięki zintegrowanej diecie z soli morskiej  
Krystalizuje się ona w przejściach granicznych

## *Pieśń siedemnasta. Ćwiczenie z powtórzeniem*

Śpiewam z pośpiechem w głosie swoim  
będziesz miała wrażenie mojego ruchu  
Jestem teraz może trochę podobny do ciebie  
podobny do białej instruktorki aeroaerobiku  
Zawieszona gęsta spadają pod swym ciężarem  
spadają ze zmęczenia, noszą w sobie tony  
tony smarów i lojów baranich, schowanych  
Pracowałem jako konstruktor, inżynier sumienny  
Nosilem w sobie trochę smutków, swą nadwagę  
spowodowaną przez to, że regularnie się pieprzyłem  
z kurtyzanami świata załęcznionego, spoconego

*Tu następuje niesłyszalny refren*

Miałem miłą żonę, od czasu do czasu zauważałem ją  
między meblami kuchennymi, między RTV, kwitnąca  
Traktowałem ją jak ostatnią w kolejce do moich majątków  
przed nią za marne pieniądze robiły to profesjonalistki  
wyciągnięte, długie, z gębami od krzyków udawanych  
Pieprzyłem się z nimi regularnie, a płaciłem dobrze  
ona patrzyła na mnie jakoś tak dziwnie w oknie  
wiedziała wszystko, bo kobiety umieją niuchać  
tymi swoimi szerokimi, łapczywymi nosami  
Płakała codziennie dwie godziny, to był jej refren

*Refren*

Z powodu tych moich burdelowych przyspiewek  
chyba nawet kiedyś chciała wyjść, ale utknęła  
między meblami kuchennymi, między RTV a AGD  
nie mogła się w końcu precyzyjnie przemieścić  
Wchodziłem w wielkie zady tłuste i podatne  
z ciągłą świadomością refrenu ukochanej-kwilającej  
Nie chciało mi się sobie czegokolwiek odmawiać  
wykonywać jakikolwiek ćwiczeń, pobudzić się  
uruchomić mój układ krążenia myśli i uczuć  
Tłuste złogi właśnie stały się przyczyną zawału  
Po odbytych stosunkach płaciłem rudowłosej pani  
Zdażyłem spojrzeć na jej zastrzone końce włosów  
Zawał serca klasyczny, powieki zasłoniły wszystko  
Ktoś jednak skierował do mnie jakieś pytania  
ja nic nie mogłem usłyszeć, wtedy właśnie  
odezwał się we mnie ten refren z dawna odrzucany  
Chciałem go przekrzyknąć, uciszyć w sobie  
te płaczliwe śpiewanie i ujadanie w powietrzu  
co w sobie instrukcję obsługi mojej pokuty nosiło

#### *Refren*

Teraz do tej pieśni akompaniuje mi dyskretnie jej refren  
zachęcając mnie do wytrwałych ćwiczeń, by zgubić to ciało  
Ma w sobie tę burdelową dekorację z nasieniowodów  
Moje resztki wyłowione dzięki *Sensory Integration*  
rozrzucone zostały; do różnych ćwiczeń zmuszone  
w tym rytmicznym ruchu archeologicznych bioder  
zgubię ten płaczliwy pogłos, po wszystkich refrenach  
i ćwiczeniach z pamięci, z ciągłymi powtórzeniami

## *Pieśń osiemnasta. Bianca odwraca się trzeci raz*

Zgięłam się mocno na wciągniku *Sensory Integration*  
Ciśnienie odśrodkowe nakazuje mi ruch dookoła osi  
Skręt tak mocny we mnie, jakby ktoś mocno mnie ścisnął  
Wykonałam jeszcze skrzypiący odwrót oczu ku pustce  
nie czytając z ust kłamliwych, speszonych podglądaniem  
Przeszkadzam wykonującym pokutę w ciszy

Jestem tu zmuszona do pieśni, choć jej nie chcę  
Me usta owrzodzone, pełne bakterii przygodnych  
Owrzodzieją me uszy, oczy, dziąsła zbyt miękkie  
Zmuszona jestem do odwiedzania ciebie w popiele  
Znów mocno kręcę się w sobie, ma szybkość wzrasta  
Przyjemne są te zaniki wszystkiego na rzecz rozmazania  
rozmywania się w budyniowym krajobrazie

Znów na mych żeliwnych ramionach karuzeli czuję  
pokutników martwych, wybrali niewłaściwe miejsce  
Męcę się ich ciężarem ogromnym, jedyną rozrywką jestem  
taka cyrkowa ze mnie dekoracja, żeliwna, czarna, czujna  
na swych długich ramionach ze stali zaplątanych niosę  
niosę wysłuchanie ściszonego do zera

Jawię się spowiednikiem zmuszonym do wycierania się tobą  
Nie rozgrzeszam win zastygłych dawno, sklejonych warstwami  
Jestem tylko takim dodatkiem w dzikiej kolorystyce utrzymanym  
co nikomu i niczemu nie służy i tylko zabiera miejsce  
by wszyscy cieszyli się, że na końcu świata można się pobujać  
w rytmie pieśni dawnych, w moich ramionach opadających  
swobodnie

## *Pieśń dziewiętnasta. -500 stopni*

Gdy moje wirowanie na 500 obrotów ustawało  
odezwał się we mnie nagły chłód wewnętrzny  
Tu było chyba 500 stopni poniżej morza  
Tu było chyba 500 stopni poniżej wszystkiego  
500 chłodnych stopni wiodących mnie w głąbiny  
popiołów, proszków na przeziębienia i grypę  
Zniżając swój wzrok przyciasny, schodziłam w dół  
do skrytej zamrażarki, do głębokiego zamrożenia  
gdzie nadpsute mięso leżakuje jeszcze  
Przedłużyć daty ważności, wytłoczone czytelnie  
na wierzchach, na zafoliowanych bandażach  
Najgłębsze są przemysłowe zamrażarki  
w które nikt nie sięga już rękami do dna  
Drżenie było coraz większe, skurczyłam się, płacząc  
głęboki i na miarę był szyty ten mój płacz właściwy  
Na dnie lodówki ma dłoń macająca lekliwie wyjęła  
zmrożoną postać jakiegoś istnienia zapomnianego  
Nie wiesz, jakie to kiedyś kształt w sobie nosiło  
tak głęboko było zmrożone i obrośnięte lodem  
Ciepło moje rozmroziło Temu usta zabliznione  
Dotknęłam w miejscu, gdzie był otwór śpiewaczy  
Wielka, czerwona dziura krzyknęła ze zdziwienia  
Oto jest otwarta i wydaje z siebie dźwięki nareszcie  
prerażona opuściłam to na ziemię z hukiem  
Bryła lodu z otworem gębowym krztusiła się  
Białe, bezkształtne szykuje się do pieśni  
już stroi swe dźwięki niskie i wysokie  
rozpoznaje swój własny głos, nie słyszał go dawno  
Pisk zamrożony w trakcie jego trwania w sople ostre  
na świadectwo ocen niedostatecznych

## *Pieśń dwudziesta. Odmrożone usta śpiewają*

Niesamowite to uczucie usłyszeć swój głos, znów  
pełen stęknąć, cichych jęków wewnętrznych  
Jestem istnieniem schowanym w lodowatej powłoce  
Lód z warstwy moich lez mnie otacza i skrywa  
ich słoność rzeźbi mnie powoli, ulegam korozji  
stopniowemu rozwarstwieniu na 500 części  
Jestem produktem o przedłużonym terminie istnienia

przed potępieniem wstawionym do zamrażarki  
Mija czas, przeterminowuję się z czasem w czyszc  
Zniweczony, wraz z lodem i owocami kruszon  
Zostałem wyróżniony i wrzucony w głębokość  
Teraz liź mnie, liź, bym się ocieplił stopniowo  
swym ciepłym językiem pełnym słodyczy i ciepła  
Ciepło tve czuję w powietrzu, o przybyszu z daleka  
Nie jestem męski ani żeński, jestem przedostatni  
Nie pamiętam już nic ze swego pachnącego życia  
krwią i kałem pachnącego życia, 500 obrazów zostało  
Mieszkałem chyba lub mieszkałam w bloku szarym  
wykonywałem z jakąś piekielną regularnością pracę  
nie przypominam sobie jakiejś rodziny mdłej w tle  
Za ścianą mego mieszkania ponumerowanego  
przez lata, za tą ścianą była bita kobieta i dziecko  
Łamał na nich meble, żelazka jakiś pijaczyna ohydny  
Ja popijałem wtedy herbatę lekko już wystudzoną  
patrzyłem w brudne okna, nie reagując na ich płacz  
nawoływania ratunku jakiejś osoby mieszkającej obok  
Tak sobie siedziałem z zimną herbatą i myślałem o nich  
Te ich piski ścierały się ze mną, ja tylko patrzyłem  
Z czasem nawet na mych ustach pojawiał się uśmiech  
taki pasujący do tej boskiej komedii za kurtynami  
Pewnego dnia z nudy, z cynizmu zacząłem liczyć ich ból  
500 razy krzyczała, płakała wraz z dzieckiem, liczyłem  
z pietyzmem, z delikatnym uśmiechem prawie że szaleńca  
Już byłem w połowie tysiąca, gdy nagle zmarłem  
Śmierć przez poparzenie nieszczelną instalacją elektryczną  
Me ciało przebiegały jeszcze mocne wstrząsy i wielki ból  
gdy spytano mnie płaczącym głosem tego dziecka  
Pełen konwulsji, nagłego żalu, zrozumienia chowałem się  
już chciałem się potępić i skazać na wieczne ukrycie  
gdy wielka litość zmieszana z pogardą, przyfrunęła  
na 500 skrzydłach skonstruowanych z niczego  
wskazała mi wielką chłodnię, możliwość zapomnienia  
Pokuta dla mnie jest znaczone przeterminowaniem  
Moje potępienie i zbawienie wtedy za ścianą walczyło  
Wszystko przez tę chłodną herbatę, co ją piłem  
ustami zmrożonych głęboko, w ostatniej warstwie  
w ostatniej warstwie magazynowej zamrażarki

## *Pieśń dwudziesta pierwsza. Bianca kręci się czwarty raz wokół*

Skręć mnie mocno jeszcze raz, wyciśnij  
soki malinowe i z dzikiej róży tłoczone  
Znów zamarzają ci usta warstwą słonego lodu  
od twoich smarków, śluzów, łez ściskanych  
Bryła lodu znów zlewa się z zamrożeniem  
Diamentowe igielki znów pokryją go słusnie  
dziergając na nim nowe wzory nieporządku  
powodując erozję tych materiałów odpornych

Nieucho pokryło się szronem z zimna  
już myślałam, że umrę w tej temperaturze  
w 500 stopniach zimna, ale byłam już umarła  
pełna złamania, gruchocząca jak instrument  
Mam w swojej pustce jakieś dawne ziarna  
wydają jeszcze nikły szelest, odbijając się  
Sine usta szepczą pieśń jak modlitwę  
którą śpiewa się przed wielką zagładą  
wiedząc, że się jednak przeżyje w postaci  
garści popiołu sypanej na głowy dla mas  
Pchnięcie skręciło mnie znów mocno  
Bujana zabawka znów zagrała swą melodię  
Zaprogramowaną pieśń mam jak pozytywka  
W przerwach gruchoczę sobą wokół  
gubiąc swe treny w szalonym pościgu  
Czy czujesz dziwną obecność potępienia?  
Jest tak blisko, wyciągasz się mocno  
chwytnąc się czegoś ostatniego, wystającego!  
zaprojektowanego dla twojego uchwytu  
zaprojektowanego tylko dla twojej dłoni  
Ostatni uchwyt na karuzeli, we mnie chwyć  
najgłębiej

## *Pieśń dwudziesta druga. Bar mleczny na peryferiach*

Poślizgnęłam się, spadłam z siebie znów  
Rozbiłam się o linoleum, rozłożone było  
linoleum ciepłe i cuchnące linorytami  
spalonym mlekiem i kieselami śmierdzącymi  
od dna przypalonymi, od dna  
Stała tu gigantyczna cysterna z mlekiem  
najbardziej tłusta i pełna kozuchów  
wyglądająca jak wielka pierś kobieca  
zakończona silikonowym sutkiem  
Przylepiona do niej była jakaś osoba  
bezzębna i łakoma  
z wytrzeszczonymi oczami ze zdumienia  
przechwyciła do ust te tłuste kozuchy odstane  
Wielka pierś złączona mocno z nim  
gdy zauważył moją obecność, odwrócił się  
patrzył na mnie, patrzył tępo w dal  
Po jego twarzy i ustach splotywał strumień  
tłustego, wysokokalorycznego przepelnienia  
Zachłysnął się nawet, krztusił pełen wysiłku  
Wielka pierś jednak regulowała wszystko  
zasłaniała przed nim wielkie horyzonty lęku  
Była cała poślaczana, tak że niczym w lustrze  
odbijała wszystko, odbijało mu się tłuste mleko  
Widział on swoją postać i moją w tle  
Niezbyt jestem zadowolona z tego zaproszenia  
do baru mlecznego na peryferiach

Widziałam karmienie piersią złotą do syta  
Obrzydzenie mnie jakieś nagle ogarnęło  
Tłuste kożuchy pętyły się w jego przelyku  
Oderwałam się z trudem od piersi zbyt ciepłej  
zbyt lepkiej  
zwymiotowałam, doszczętny wymiot ze mnie  
ostatni

## *Pieśń dwudziesta trzecia. Pieśń z sut- kiem w ustach*

*belkocząc*

Już nie wymiotuj, proszę, patrząc na mnie  
na tę przepelnioną bańkę mleczną, maślaną  
Wielkie złoża dobroczynnych elementów  
odkładają się we mnie niczym brud  
Jestem tym, który chciał osiąść bogactwa  
Całego świata rodzynki i pieczywa białe  
kradłem, niszczyłem, zdobywałem wiele  
wypełniając się słodkim mlekiem, miodem  
po brzegi, po krawędzie dobrobytu, wykipienia  
Złoto zlewało się z bielą w mieszankach  
kruszczu, jedzenia, maseczek na usta, na oczy  
przykładanych przez czarnych niewolników  
Diamentowa rozpusta kusiła mruganiem  
słodkim teatrem zależności i manipulacji  
Za złoto, bursztyny sprzedawane dusze  
za tłustą pierś pełną sączącego się nasycenia  
w korzeniach swoich ma głód i strach  
Kanaliki mleczne schowane są głęboko  
Moje lśniące, pachnące życie kończyło się  
nowotwór żołądka i układu pokarmowego  
Najbardziej znani na świecie lekarze wróżyli  
kuracje alternatywne, milkwaye  
przedłużenie mi w komfortowy sposób życia  
Wiedziałem, że czekają mnie bóle porodowe  
wraz z żoną zdecydowaliśmy o eutanazji  
w szwajcarskiej klinice z różowym widokiem  
Obserwować sobie te jeziora mgłą zasunięte  
Taka refleksyjność nachodziła wtedy człowieka  
tak miękko i przyjemnie odchodzi się w ziemię  
Po co zwolywać ciężkie myśli w szyki bojowe  
w ramach dawnej pieśni skruchy?  
Me złoto w mojej pelerynie wisiało, dekorowało  
Złote runo musiałem zostawić, z uśmiechem  
żegnałem się z najbliższymi, całując ich lekko  
po miękkich, rumianych policzkach  
Słońce zachodziło nastrojowo na obrazku  
Ktoś nawet wspomniał o wielkiej słuszności  
Gdy wszyscy na palcach odchodzili cichutko  
kroki prawie dekoracyjne, baletowe, wycofane  
przyszedł do mnie uśmiechnięty blondyn  
niosąc w ręku me oświecone zbawienie i spokój  
Podłączył do złotych żył, ropa w nich płynęła



Wykonana ręcznie z kryształu górskiego kroplówka  
z rurkami splatanymi w warkoczach ścisłych  
Cenna substancja kropla po kropli dozowana dla mnie  
Ciepło i przyjemnie zasnąłem pełen wygody  
wtedy nagle nastąpiło gwałtowne drgnięcie  
zerwałem się z siebie, zobaczyłem się w korytarzu  
ktoś dopytywał się o mnie, a ja nie byłem gotowy  
Wiedziałem, że jestem nagi w szpitalnym raju  
Skryłem się wśród kryształowych kroplówek  
wśród jedwabnych rurek od sprzętów medycznych  
Te wszystkie konstrukcje skłębiły się razem  
tworząc wielkie wymiono, uczę się ssać  
z trudem zdobywania pokarmu i zmęczeniem  
Gryzę z bólu wielki sutek, on łagodzi mój ból  
przeżarcia, przepelnienia, wygodnej spizarni  
Ten ból niedonoszenia mego życia jak ciąży  
Kiedyś skończy się ten pokarm, a ja będę mógł  
być nowo narodzonym, z którego się cieszą  
zabierają go ze szpitala do siebie, do domu  
skurczonego i zależnego w kocach ciepłych  
pachnącymi tłuszczami dosyconymi

## *Pieśń dwudziesta czwarta. Bianca odwraca się kolejny raz na palcu*

W me zmarszczki powiał znów wiatr  
Owinęłam się nimi dosyć zgrabnie  
Modnie splisowana już jestem  
Cień po mojej skórze w kurtkę uszyty  
z ukrytymi kieszeniami, zakamarkami  
Powłóczyście resztki hamują moje ruchy  
jeszcze korale z mych zębów wiszą  
na szyi powleczone na struny głosowe  
Na czole spoczywa już kapelusz pleciony  
ze słów mielonych z dodatkami włókien  
Kręcę się w tej rewii cała w dekoracjach  
w których rozpad i spopielenie następuje  
Trzymam w ustach niedopalek papierosa  
drogocennego, wyrzuconego przez kogoś  
pamiętającego, że są ci, którzy dopalają  
Te resztki po innych w moich ustach  
Zaciągam się głęboko ostatnimi gramami  
Znów byłam w sobie tak skupiona  
Wykonam teraz piruet zbyt szybki i błędny  
Jak tu zwrócić na siebie uwagę twoją  
gdy popiół pokrywa mnie w środku  
kamoufluje tajemnie me konstrukcje?  
W szarości, w połowie jestem uchwycona  
Przechwycona w połowie okrążenia  
między piekłem — niebem kręcę się  
Wykonuję piruet, a mą łyżwą uderzam w lód  
Całe me ciało wielka dynamika rozpiera  
rękę podnoszę do góry i jakaś umowna sukienka

podkreśla mój ruch zapętłony, a potem rozbijam się  
potykam i słyszę już śmiechy i chrząknięcia  
Lubię rozbijać te piruety nieskończone  
do krwi mieć te kolejne złamania wewnętrzne  
mieć poczochrane włosy, sukienkę rozdartą upadkiem  
tysiącrotnie uderzać się o chłodną taflę i kusić  
kusić CIĘ swymi upadkami

## *Pieśń dwudziesta piąta. Zakład utylizacji odpadów higienicznych*

Znów byłam zatrzymana w swoim pędzie dookoła  
Jeszcze kręciło mi się w głowie od zwichrowania  
Widzę częściowe układy urbanistyczne miejsc pokutnych  
Sami sobie konstruują wszystko podług swoich umiejętności  
A tu, proszę, jaki się znalazł mrówczy architekt ukryty  
Na pudrowym podłożu zbudowany, dobrze prosperujący  
zakład utylizacji odpadów higienicznych  
w sumie takie miejsca muszą przecież gdzieś istnieć  
Gdzieś to wszystko trzeba gromadzić, te bandażę  
zużyte, zaropiałe waciki i łazarzowe prześcieradła  
w które obwijane są zwłoki, po przejściach dalej  
Te resztki ciał pozostawianych w ramach operacji  
na otwartym sercu albo otwartych ustach, oczach  
ciągle się zatykają w rurach przechodzących dalej  
wybijają swój smród i zawartość na wierzch znów  
Widzę niewysoki budynek z dużym, wilgotnym kominem  
wielkie złoża śmieci, z których może lęgnąć się epidemia  
Noszą w sobie organiczne ślady tych, na których żerują  
bakterie rozwiązujące najbardziej skomplikowane zadania  
rozwiązują ich znaczenia do liczb pierwszych, do zera  
Lęk przed nimi nakazuje spalać w ogniu potężnym  
ślady po zostawionych słabościach i niedołęstwie  
Każda z cegieł tego budynku z popiołu sprasowanego  
ustawiona krzywo, jakoś tak niedopasowana do innych  
Na każdym blozku napis wypalony w ceramice  
pismem kaligrafa, starał się bardzo brzydko pisać  
Konstrukcje wytrzymujące nacisk przechodzenia  
Każda z cegieł była osobno i razem, tworząc zgrabną ruinę  
w której ktoś mieszkał, narzekał głośno z daleka  
W kominie nikła strużka dymu krążyła  
rysując rebusy trwające  
bez rozwiązania

Dym sygnalizował  
że zakład utylizacji jest czynny  
mimo bardzo późnej pory

# *Pieśń dwudziesta szósta. Obsługująca zakład spalania odpadów śpiewa*

Czy już dobrze teraz widzisz mnie?  
Czy już dobrze słyszysz mnie?  
Między bandażami jestem rozkopana  
Tutaj uczę się segregować jak grabarz  
mak od piasku, zafajdane pościele, bandaże  
Muszę je przekładać pieczołowicie na kupki  
wrzucać do odpowiednich pieców gotowych  
Układam z nich różne rzeźby i wzory  
szukając nieustannie jakieś reguły  
porządkującej ten smród, utrapienie  
Me kiedyś delikatne i pachnące dłonie  
pokryły się trądem, bąblami pełnymi trucizny  
Przypominam sobie teraz me pukle włosów  
włosów spadających na ciepłe ramiona  
były obwiniete pachnącymi szalami  
Pamiętam, jak szłam w pełnym słońcu  
po Oranienstrasse w popołudnie, na obcasach  
z błękitnego zamszu, lekko i swobodnie  
wszyscy patrzyli wtedy na mnie  
na piękno, na mą młodość w błękicie  
a ja miałam głowę podniesioną wysoko  
Wiesz, to było bardzo dawno temu  
ledwo pamiętam te moje filmy zerwane  
Lubiłam segregować już wtedy ludzi  
przebywałam tylko w miłym towarzystwie  
pachnących, nacieranych olejami bogactwa  
Podobali mi się tacy wysocy blondyni  
zajmują się oni typowymi polowaniami  
w ustach mają waniliowe lody i smaki  
Wraz z mym mężem mieliśmy piękny dom  
wszystko było takie jasne, pastelowe  
tylko jedna rzecz nam nie pasowała do końca  
nasza służąca, która tak dziwnie patrzyła  
Prowokowała moje rumienienie, wstyd nagły  
Miała czarne włosy spięte i brodę wystającą  
Czarne oczy pachnące doszczętną spalenizną  
Podczas jednego z przyjęć, kiedy degustowaliśmy  
kuleczki z orzechami i markowy koniak  
znajomi nasi zwrócili uwagę, że jest to żydówka  
tylko udaje blondynkę o niebieskich oczach  
Brudne jej ciało, myśli brudne, a tam, gdzie brud  
przyda się Tisztítósz<sup>8</sup>, co rozpuści i w niwecz obróci  
te dziwne problemy w kuchni  
Jakoś się tak złożyło, że zaczynała się wojna  
korzystając z wywozu śmieci, pozbyliśmy się jej  
za pomocą Tisztítósz<sup>8</sup>, tej czarnoookiej dziwaczki  
Potem z radości płodziliśmy naszych potomków  
W sumie zmarłam ze starości, w domu starców

<sup>8</sup>Tisztítósz<sup>8</sup> — z węgierskiego: płyn do czyszczenia. [przypis autorski]

obsługiwana przez piękną blond dziewczynę  
noszącą błękitne obcasiki do jasnych sukienek  
Me słabe serce zgasło, gdy oglądałam program  
w jaki bestialski sposób transportowane są zwierzęta  
zwierzęta hodowlane, tak było mi przykro wtedy  
Umieranie trwało chwilę mojej nieuwagi  
Zerwałam się jak napięta struna, jednym uderzeniem  
obśliniona, zsikana poczułam smród spalenizny  
Spytano mnie w dziwnym miejscu, w jakimś holu  
po żydowsku, ale ja nie rozumiałam tego języka  
Gdybym wtedy miała przy sobie moją dawną służkę  
to by mi wytłumaczyła te dziwnie skręcone zdania  
Znalazłam ucieczkę przed popiołem tutaj  
spalając te śmieci pełne wojennych historii  
dawnych zranień zewnętrznych, wewnętrznych  
Ciągłe widzę w palenisku ten przerażony wzrok  
dziewczyny, co kusila, co ją odrzuciłam za oczy  
za to, że musiałam się wstydzić przed znajomymi  
na przyjęciu, na którym podawane były kuleczki  
z orzechami, z koniakiem w małych kieliszkach  
z cienką nóżką, prawie drżącą na tle płomienia  
Teraz segreguję, śmierdząc zgnilizną słoną  
od łez, wylewów, nagłych potopów łzawych  
Kiedy oddzielę te wszystkie rzeczy od siebie  
okaże się, że wszystkie są tym samym skrawkiem  
ubrudzonym w tym samym miejscu, tak samo  
Wtedy może ktoś z litości wrzuci mnie do pieca  
bym się spaliła ze wstydu i zapłonęła rumieńcem  
jeszcze raz

## *Pieśń dwudziesta siódma. Ostatnie odwrócenie. Hiperbola*

Odwrócę się od śmierdzącej spalenizną  
jej narastający smród ciężko porzucić  
Śmierzący odchodami swymi spoczywają  
w kątach lękliwych, w ciemnych norach  
Wyginam się ostatni raz, rozciągając  
swe ramiona na polach walki odległych  
oznaczonych za pomocą podwójnej linii  
Linia przerywana, podkreślająca swą umowność  
Ubrana w biały kostium gimnastyczki  
łamię swe biodra, misterne kręgosłupy  
w nieznanne bryły geometryczne, odwrócone  
Parszywa jest bowiem geometria szczebiocząca  
wpisująca się w bryły, opisywana na nich  
zgodnie z zasadami owłosionej matematyki  
Wewnętrznie czuję jakies inne algorytmy  
inne funkcje wpisane we mnie, podwójnie  
Hiperbola ukryta, podwójne podzielenie  
wobec osi, wobec pionu, poziomu i zera  
Me dwa ramiona wybrzuszą się w tańcu  
zbliżając się do osi wiecznie, bez ustanku

zbliżając się z dwóch zupełnie innych stron  
magnetycznie, tajemniczo, z odwrócenia  
Różniczkuję odwrócenia, różniczkuję grzech  
Nie ma w sumie ucieczki wobec mej funkcji  
ciągle zaburzanej przez niezwykle turbulencje  
wykreślane w powietrzu na migi sygnały  
Karuzelą pomalowaną farbą emulsyjną jestem  
o dwóch sprzecznych kierunkach ruchu  
piszczę z wysuszenia mych strun wewnętrznych  
Rwę się cała na punkty rozłożyste w układzie  
Kwitną one z pąków zlepionych łuską zamszową  
Dawne barwy dekoracyjne zanikły  
zbladły ze wzruszeń wobec Niego  
Tylko szarości pozostały w tłach  
Moja spocona twarz uśmiecha się jeszcze  
wymuszony grymas do publiczności  
Szpagaty rozciągliwe, bolesne, częściowe  
w mój układ współrzędnych wpisane  
Sześć punktów archeologicznych, pogrzebanych  
zmieniają mą hiperboliczną funkcję  
Rysunek mój na liniach akrobatycznych  
elastycznie uginają się pod ciężarami ciała  
Kręcenie się teraz trwa długo, już czuję  
zawroty i zwroty mych postaw ukrytych  
naskórki porozrzucane zostaną w okolicy  
po mnie  
Zmiatać je będą pieczołowici dozorczy  
ubrani ciepło i opuszczający parę oddechu  
w wszechstworza  
wszechstworza zakłète w ciszy przedpotopowej  
Wszystkie zakwasy z soków własnych odłożone  
wycisnąć je w ruchu monotonnym i szybkim  
za pomocą zatechłego odprowadzacza wody  
Wylać te resztki po oczyszczeniach stóp  
Dosładzanie fermentującego moszczu cukrem  
druga fermentacja we mnie odkłada się złogami  
Wielkie ciężary przenoszone przez usługujących  
wiekuście pomoc niosących, niewypowiadalnych  
Ich imię się zamazuje, zaraz po napisaniu  
w niebywaniu raczej odpoczywają ich nazwy  
Trwa przyciskanie mnie do perforowanej ściany  
w celu uzyskania wina ostatniego z tych zbiorów  
o smaku łykowanym, dzikim i raczej niespotykanym  
Z daleka to popychanie słyszę, lecz nie umiem iść  
w połowie odległości pomiędzy wierzchołkami urojonymi

Me ruchy są niezwykle spowolnione  
W pauzie trwa każde moje drgnienie  
Biele wokół rozmazują się we mnie, a ja w nich  
jakieś resztki jasnych pigmentów mej skóry  
jeszcze sugerują moje przesilenia

## *Pieśń dwudziesta ósma. Lilith*

Przede mną w głuchej pustyni widzę ją  
w gigantycznej sukni moja piú bella regina<sup>9</sup>  
Patrzy na mnie trochę speszonym wzrokiem łani  
trochę się wycofuje, widząc me zdziwienie  
Nie uciekaj, mam dla ciebie smakolyki skryte  
w dziurawych, gubiących się kieszeniach skarby  
Znalazła mnie tu, nie umiejący chodzić kadłub  
owinięty sobą jak siecią niezwykle dokładnie  
Oto Lilith speszona mną, cała w czerni koronkowej  
ze słów misternie tkanych, cekiny i brokаты  
Ach, cekiny i brokаты, cekiny i brokаты przeciągłe  
brzmiące misternie przy każdym jej drgnieniu  
Cekiny i brokаты na pobrudzonej od popiołów sukni  
Najbielsze jej lica, już prawie mdleje zagubiona  
Chłodnych dłoni nie ma gdzie włożyć ze strachu  
przede mną  
Nurkuje w swoim pylistym fundamencie pomnika  
na którym została śmiesznie wywyższona pośmiertnie  
za wielkie konstrukcje wokół siebie toczony z kamienia  
Oto czarna Lilith niema, śpiewała kiedyś pięknie  
pieśni zwycięstwa, pieśni pod łukami triumfalnymi  
Przygryza wargi i wyciąga chłodną dłoń do mnie  
Wielkie kokardy na jej ciele, na wysokości ramion  
łączą się ze złotymi protezami, wkładkami push-down  
wszczepianymi, lutowanymi do kości słoniowej  
Jubilerskie inkrustracje w każdym jej fragmencie  
Wokół nocnej kreacji tysiące moli podążających  
za słodko-gorzkiem zapachem tłustych nici  
Zszywały one znaczenia ze sobą, tworząc dalekie krainy  
Wielki, zgniły kołnierz infantki na niej  
złożony z szeptów malowanych, szeroki  
Cóż za precyzja składania tego w tak misterny twór  
Nie została zabalsamowana zgodnie ze swoją wolą  
Teraz jest rozciągnięta między wytwornie tkaną suknią  
Stoi naprzeciwko mnie, patrzy na moją obojętność  
Jest tak najpiękniej zamyślona, stojąca bez cienia  
Lilith ubrana w sto tysięcy słów wypowiedzianych  
zawiązanych w starych znaczeniach za pomocą kokard  
ściskanych w ciszy i wielkim skupieniu układanych  
Uchwyciłam się jednej z jej wstęg, rozwiązałam natychmiast  
Ona — łania leśna znająca ten step wiekuisty z prochów  
poczyniony, zapomniany przez systemy miernicze  
pomknęła wielkimi susami, unosząc mnie ze sobą, niechcący  
A na zewnątrz była noc purpurowa

---

<sup>9</sup>*piu bella regina* (wł.) — najpiękniejsza królowa. [przypis edytorski]

# *Pieśń dwudziesta dziewiąta. Lilith w powietrzu śpiewa do Bianchi*

Bianco, Bianco najdroższa i ukryta ciągle  
Zabieram cię ze sobą daleko, pod spód  
Tutaj nasze pieśni nie są wysłuchiwane  
Prochy żywią się melodiami skruszonymi  
Wtul się w me włosy, bo podążamy  
przez wiele milionów istnień skrytych  
do pasa granicznego, gdzie tajemnica  
sekrety ukryte w słowach i pieśniach  
Nasze dusze podwójnie rozwarstwione  
w ukrytych szczelinach czarny krem wyborny  
Znam te szepty prawie modlitewne  
w twoim zmęczeniu odnajduję chciwie  
Czekałam długo na ciebie tutaj, niuchając  
Nocowałam w swej sukni, żywiąc masy  
skrawki słodkich korzonków rosnących  
na moich dłoniach, na stopach żywnych  
zagubił się ich smak, koloryt dawny  
dlatego świetnie nadają się na nawóz  
o nazwie fabrycznej Evergreen for you  
Schowana w swoich dawnych dekoracjach  
ze sklejki malowanej odręcznie, heblowanej  
Scenografie po spektaklach, kostiumy zużyte  
z bandaży, z plastrów przeciwreumatycznych  
Mam jeszcze ciepły głos, tylko dla ciebie  
Miodne wspomnienia rozświetlonych słów  
Czy pamiętasz ich znikome ślady w sobie?  
Zdyszana z pośpiechu śpiewam pieśń dla ciebie  
Jestem taka pospieszna, jestem pospieszna  
ciepła i wielokrotnie zagięta w sobie tutaj  
Przenoszę nasze ciężary do cieplejszych krajów  
naszą zgniliznę w koronkach ze słów noszę  
Sunę z wielkim wysiłkiem do tyłu  
trzeba teraz to przeliterować do początku  
Moja czarna królowno, porzucona przez siebie  
gdzie twój dwór okazały, gdzie twoje służące  
których obecności niechybnie oczekiwałaś?  
Osuszę twe łzy w biegu szalonym i celowym  
Jestem Lilith, pocieszycielka wycofana w dal  
Miękkie są nasze zbroje, delikatniejsze niż skóra  
cieląt i kozłat ssących daremnie wodę ciepłą  
przegotowaną, ostudzoną do temperatury pokojowej  
Podatniejsze jesteśmy na rany cięte i rwane  
Nie patrz tak na mnie, za głośno spoglądasz  
Musimy uważać na fruujące tutaj papiery ścierne  
wielkie, atakujące mechanicznie byty roztrzaskane  
czasami Gruboziarniste pilnują pól pustynnych  
Me kolana są sine od pasów startowych  
podchodzenia do lądowania w celach fizjologicznych  
Wysycha ma skóra delikatna bez kremów, bez dłoni  
Marnotrawię swą urodę w tym pejzażu z tytoniu  
Wybielona, chlorowana, w brudzie płukana bielanko

ubrana w litanie do najświętszych serc błyszczących  
mają one funkcje odbłaskowe, to czyni je migotliwymi  
są zdumiewająco funkcjonalne w liściastych lasach  
Wleciesz swe gobeliny, którymi się nikt nie interesuje  
ani to latające dywany, ani wyborne dekoracje wnętrz  
Wyścielają one wysypiska śmieci, pojemniki kradzione  
pojemniki na śmieci przywożone jak trofea zwycięskie  
Masz przy sobie klasery ze znaczeniami sprzed wojny  
między dobrem a złem, drugiej czy dwudziestej dziewiątej  
Przyciskasz pieśni do siebie jak ostatni oręż, tarczę rzeźbioną  
chroniącą przed pęsetami i dźwigami abstrakcyjnymi  
w ścisłu, w skrzypieniu, w podnoszeniu wielokrotnym  
Uciekając przed zagładą rychłą, chowasz się do kąta  
liczysz i odliczasz od tyłu wszystkie wiersze w nadziei  
Swoje imię czytasz od tyłu, jak imię przewrócone w śnie  
lecz nie znajdziesz nic w tym przeczeniu frywolnej magii  
Musisz się tu więc pogodzić z przyciasnymi słowami  
z podśpiewkami naszymi sprzedawanymi za grosze  
Śpiewane rymy i schematy dla fałszywej gwiazdy  
oby swym blaskiem nas balsamowała przed zniknięciem  
w zapadniach niepamięci, w niewidoczności pospolitej  
Murzyńskie oblicza jednak w nas głęboko spoczywają  
odwrócone od posłuszeństwa, powinności dnia-nocy  
My, kolonizatorki u bram edenów, przedmieścia rabujące  
Jakoś nam tak trudno oddawać to myto za przejście  
ze zbiorów naszych, z plonów niezwykle płodnych  
trudno dziesięć ze słów oddać, przekraczając dalej  
tupujemy, podskakując w tańcu na znak buntu przeciwko  
w korowodzie cichym, zamkniętym na wszystko wokół  
Lecz w środku najgłębiej jest wielki lęk  
tłuszczem obrosnięty toczy naszą lotność  
Spoczywasz senna przy mnie, ze znużenia, ze snu  
Mój złowiony sum cały dnem umorusany, okraszony  
ciągle w poszukiwaniu mętnych granic dna stawów  
Węgorze czarne prześlizgują ci się między zębami  
gdy milczysz, także się kłębią, jak po bitwach morskich  
To ich umykanie, zakreślone grzbiety, słowa ze śliny  
nie odczytywalne przez wróżbitów ani grafologów  
Pochwygam cię, by w ich centrum oś ruchu zanikła  
powodując ich nienaturalny chaos i rozwarstwienie  
Podzielić je, rozwarstwić precyzyjnie w podroby  
na filety bez kręgosłupów dawnych, ości ukrytych  
na skóry preparowane i suszone w pełnym słońcu  
w popiołach nienasyconych ciągle i zmuszonych  
Uważaj, możesz puścić mą wstęgę przez nieuważę  
Splotę więc dla ciebie nosze wygodne w drodze  
z mych czarnych tasiemek powiewających i włosów  
w powietrzu, co teraz bardziej słonym się wydaje  
jego smak czujemy już razem w ustach naszych

*ciszej*

Kołysane przez szepty i szyfony  
przez szepty i szyfony



## *Pieśń trzydziesta. Podróż podwójna*

Niesiona w podskokach w absolutną szarość  
przez przekorną mieszkankę czyścowych pól  
niepłodnych, wyciętych dawno, dawno temu  
Lot do oddalonych kresów, zacieranych granic  
przez wielkie przestrzenie przykurczone  
Szepce do mnie swoje historie, nie słyszę  
Ona nie wybiera jeszcze nieba, choć przynosi  
Ten dziwny zapach ukryty ma w gruczołach  
w koronkach zdradza się jej odsunięcie ciche  
Ona — środek transportu dla stłuczonych istnień  
Postrzępiony latawiec powiewa kokardami  
tasiemki czarne zatykają mi usta, dławią oddechy  
wplątujące się między język, między koła  
Nie porywa noworodków i dzieci mlecznych  
lecz śnieżnobiałe białki obtoczone słowami  
nakarmione prochami strzelniczymi, melonami  
Przynosi mnie tutaj do granicy, pozostawiając  
Spogląda na mnie niemo, odprowadza do furtki  
Nie pójdzie ze mną dalej i już tego żałuje  
Literuje mnie, przegląda mnie, kataloguje obecność  
*B I A N C A B I A N C A B I A N C A*  
w jej ciemniejących ustach zanikam na zawsze  
Tłumiki osadzone na każdej literze amortyzują mnie

Zakładanie plisek na siebie  
zakrywanie ich wewnątrz sobą  
Delikatnie i sumiennie  
Delikatnie i sumiennie

Zostawia mnie pełną kurzu złotego, porzuca  
operowaną na stole chirurgicznym w przejściu  
operowaną jej niewyraźnym i rwanym szepcem  
Sklania przede mną czoło, żegna mnie uśmiechem  
Zakrywa znów swe oblicze jako dusza czyścowa  
odchodzi szukać w szkieletach swej fatamorgany

Przesuwa się wyraźnie moje epicentrum, przesuwa się  
moje dygotanie spokojniejsze, jest spokojniejsze

## *Pieśń trzydziesta pierwsza. Pas graniczny*

Skulona z zimna nie widzę nic  
tylko siebie, 68 kg mięsa mielonego  
co by się nadało  
Jadą pociągi transportowe na bocznicę  
Słyszę ich przewlekłe odgłosy, sapanie  
tam, gdzie rosną rośliny niezakwitające  
zaniedbane i nierozpoznawalne w deltach rzek  
łączących swą słodycz ze słonym zbiornikiem

Ukradkiem w rozlewiskach furtki pochowane  
Podziemnie, odchodzące wody porodowe  
Rowki przygotowane na przesuwanie mas  
Smary, lepiszcza wyściełają wielkie łożyska  
by ciepłej i rozkurczowo  
Stalowe skorupy leżą na śmietnikach  
Cysterny z miodem wielokwiatowym  
są roztrzaskiwane przypadkowo w pyłki  
są zaorane, zziębnięte, pokryte smołą połacie  
Pasy graniczne, pasy mistyczne, pasy cnoty  
ściskane sznurem, drutem i wazeliną  
by zawsze miały podwyższoną temperaturę  
czekały w śliskim nieokreśleniu ściśnięcia  
na przecięcie wstęgi ostateczne nożem  
Choć tego dnia raczej nikt z domu wychodzić  
nie będzie  
Wieczorem będzie ostateczna dogrywka  
podczas której pasy z kredy zamazane zostaną  
licznymi nogami przedziwnych wdzięków  
szurając, niszczą te spalone pola gry  
resztki w kątach bramek cementarnych

*piano non vivace*

Idę więc po linie, co za zrzęczość  
Idę po linie szerokiej na hektary  
kiedy ją przekroczyłam, nie wiem  
czy się bardziej oddalam, czy nie  
Szerokie połacie nieużytków czekają  
Stojąc samotnie przy pasie granicznym  
robię jeszcze listę rzeczy do rozpakowania  
Zapomnieć wszystko, bez możliwości pomyłki  
wypisuję zdyscyplinowana te rzeczy zbędne  
a ma biała dłoń rumienienie, już dnieje

## *Pieśń trzydziesta druga. Bok*

W szarości skóry jęczmiennej  
plącze swe nogi, stepując jednocześnie  
trochę nierytmicznie mi to wychodzi  
Wzrasta przede mną bok w miarę uderzeń  
konstrukcja z czarnego grafitu, magnezu  
W belkach konstrukcyjnych i wspornikach  
wielopiętrowe mieszkalnictwo komunalne  
Wybijane kamieniami otwory drzwiowe  
wilgotne ościeżnice w przeciągach  
Podwiewa mi sukienkę chłód dziwny

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

W ciemnym korytarzu ramiona powtórzone  
Piętra te same, podzielone tak samo na porcje  
Bądź teraz, szukaj mnie, teraz ty mnie  
Brudzę się grafitem ścian i rysuję na czarno  
z ołowianym połyskiem łapię jeszcze błyski

Ślizgają się na mnie te larwy przejrzyste  
zależne od źródła macierzystego, zależne  
Piętro po piętrze biegnę po laur ściśnięty  
Po korytarzach wlekę swoje ciało za rękę  
ono opiera się siłą i się wyrywa do wyjścia

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

Jestem w ostatnim wolnym pokoju z rezerwacją  
Czuję mnożącą się obecność, tysiące nad i pod  
z boku i zewsząd czuję ich niecierpliwość  
Przede mną tylko okno, w którym ustawiam się  
we właściwym miejscu, pod właściwym kątem  
Posłusznie, z spuszczoną głową patrzę w dół  
w przepaści głębokie i tęskne, tak tęskne  
Topnieje tu popiół zmiatany pod rogi dywanu  
Kto tu zagląda zgięty do środka, ten tak wygląda

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

W milionach okien stoją poeci z otwartymi usty  
żadnych dźwięków samodzielnie nie wydają już z siebie  
Zgarniani, zbawiani grupowo w pośpiechu przypliwów  
Rozgrzeszenie w tłumie przeoczą ich dawne pozdrowienia  
dla szatana z wakacji, listy, które wysyłali spod swych ud  
bo się im dziwnie pomylił adresat, może to wina poczty  
Ramionami tak szerokimi zbierani z głębokich wykopów  
wyżłobionych w wapieniach przybrzeżnych, podmytych  
w ramach stawki, którą zabiera zwycięzca za partię  
gry w kości za kości

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

## *Pieśń trzydziesta trzecia. Rysunek II*

Czuję za sobą tupanie z uwiędem w tle  
Zniszczony rysunek od paru dni  
stoi w wodzie niezmienionej, pełnej soku  
Grzebiąc łapami w błocie pogrzebowym  
wyszukuję korzeni wyhodowanych przez wilgoć  
Kształt jakiś nieokreślony śledzi me postępy w nauce  
Rysunek określają punkty kaligrafowane, początkowe  
gdy je połączysz linią, to się ujawni graf skryty  
Używałam cyrkla na tej lekcji geometrii, kreśląc  
łuki zewnętrzne nieba, oba ich końce to błędy  
Kontrasty się wzmacniają, jest tylko czerń i biel  
Me ciało niedoskonałym instrumentem kreślarskim  
Przestrzeni wielkiej nie zmierzyłam łokciami suchymi  
nie pokonałam jej za pomocą skruszzonej ekierki  
w rogach prawie diabelskich, nie pokonałam czyścica  
Droga krzyżowa stacja 51, autobus się tu nie zatrzyma  
niebezpieczna tu okolica i w rozkładzie jazdy  
brak twego rozkładu, brak 51 kości skruszonych  
na tarce z orzechami, z daktyłowymi opłatkami  
Mielę punkty drobnoziarniste na plamę barwną

byłe się nie zmieściła w tych właściwych skalach  
Sama rysuję me granice walcami wynajętymi  
w bryłach geometrycznych przechowują łona  
Potajemnie wychowują w swym chłodzie mioty  
z margaryny poczynione, by straszyć nimi innych

Uciekajcie w popłochu przed moim rysunkiem  
Nawołujcie i w popłochu tatuujcie me imię  
pod pachami chowane, na lepsze momenty  
załóżcie głębokie dekolty na kolacje uroczyste  
może się uchronicie przed rysunkiem kolczastym  
przed siatką ogrodową, wrastając w nią pnie ciężarne  
w ich cielskach powoduje to bolesne przypominanie  
Ale teraz rozcieram swe granice restrykcyjne  
rozsmazuję linie na włochate strzępy miękkie  
Rysunek drugi ukryty jest pod spoconą dłonią  
ma być bowiem trzecia jego część zmazana  
a ten środkowy fragment ciągle walczy między  
nieprzekreśleniem a przekreśleniem śliskim  
Spoczywa on wkopany w ziemię częściowo  
Część jego wystaje w postaci płyt granitowych  
z wykutym liternictwem jednostajnie osobliwym  
z dawnymi datami śnieżnobiało precyzyjnymi  
z imionami osób śpiących, ułożonych na boku  
Sen o złożeniu do grobu w garniturach brokatowych  
Kroki do wieczności pomyłone w tańcu z podskokami  
na trampolinach z błony śluzowej wyścielającej  
wnętrza eleganckich wnęk z buku, z brzozy  
Wtopiona druga część zawsze w okolicach ziemi  
rysuje się na glebach nawożonych łajnem  
Rysunek ciernisty okrawa kształt pusty, zastany  
Określa mój kształt bolesny płatanina bluźnierstw  
słodkie, pozostawione w ścianie, dla płaczących raczej  
w miękkich kamieniach wetknięte, trwale się utleniają  
Pluję w siebie, analizując reakcje chemiczne zachodzące  
Znow obrastają moją mordę liszaje i pleśniawki kwitną  
hodowlane, nawilżane stale mą gęstą śliną, w głębokości  
uniemożliwiają mi bezkrwawe szemranie i lamenty  
Hultajskie ich zwyczaje w zdobywaniu nowych pól  
na mej twarzy w okolicach ust walczą nieustannie  
o przewodnictwo i wpływ na śpiewy wulkaniczne  
Zalana lawą swego głosu zbyt głośnego podkurczam się  
czekając na wykopanie z asfaltu z pobocza autostrad  
po których mkną, miękko świszcząc w pędzie, One  
Rysunek rozpada się, z trudem podnoszę ręce  
nadając mu formułę nieczytelnego i niechcianego  
odrzuconego przez budowniczych rysunku węglem

## *Pieśń trzydziesta czwarta. Wiatr od morza*

Nasze gardła wysuszone, wzmocnione  
resztkami nut impregnowane wielokrotnie

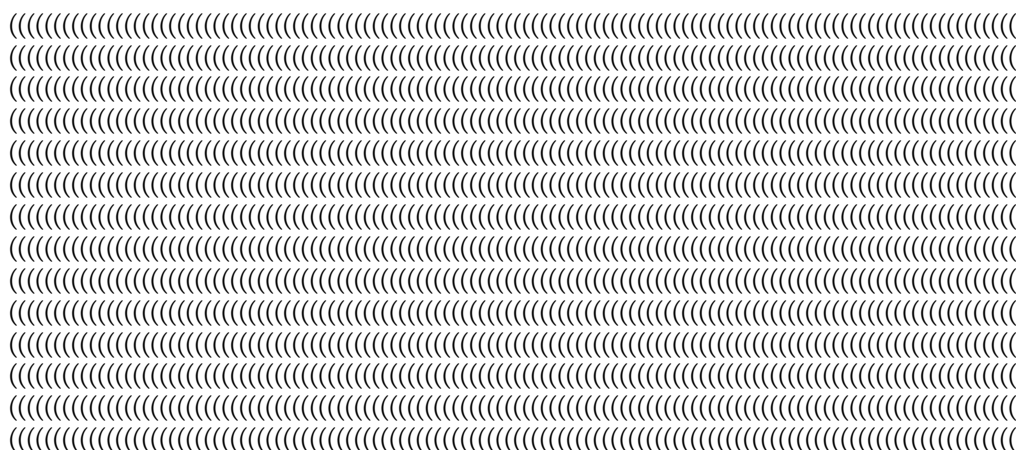
Stoimy w oknach pokutującej i grzesznej Prory<sup>10</sup>  
 Największa ruina w okolicy nadająca się na eventy  
 czekając na Jego ruch na lęklwym postumencie  
 Fundamenty dawnej budowli siłą były gwałcone  
 Teraz to miękkie wszystko nareszcie i bezzębne  
 tylko przewiewa przez nią wiatr, hula niezłapany  
 Wszyscy mają otwarte gardła na roścież  
 Kąciki ust są nadcięte jak krocza przy porodzie  
 by się poszerzyć, by się nie rozerwać w sumie  
 gdy doda się wszystko i wyjdzie wynik bez reszty  
 Z otwartymi gardłami czekamy, pokalani  
 Wielkie organy z pociętymi otworami  
 puste, wydrążone, wyrestaurowane bardziej  
 tylko gardła pozostaną, po nas tylko gardła  
 Wiatr od morza powiewa spokojnie w naszą stronę  
 owiewa nasze policzki sine od wysiłku, od czasu  
 wwiewa się do naszych ust powoli i leniwie  
 porusza naszymi archeologicznymi szczątkami  
 strun głosowych, utkanych w węzły żeglarskie  
 drążąc te nasze tunele podziemne, podmorskie  
 wszystkie czyni gładkimi szlakami dla siebie  
 Przez drgnięcie wydobywają się z nas głosy  
 nieznane dotąd dźwięki, melodie, niewyspiewywane  
 miliardowe organy brzmiące nie sobą, lecz Jodem  
 Nie pozwala nam śpiewać siebie, wiązuje nas  
 zabiera nasz ciężar z portu, wyprowadza w Pełne  
 Grube liny jedwabne, splotem krzyżykowym snute  
 ich wątki naprzemienne w porządku nieodgadnionym  
 Wciąga nas w głębokość, do której tęskniliśmy  
 Ten statek rozpruwa się w zetknięciu z wodą  
 Żyrandole roztrzaskują się, i marmury, i zaplecza  
 my w nim idziemy na dno, osnuci planktonem  
 po to, aby nie być już, by nie bywać i się nie pojawiać  
 zatracić się w tym dostojnym opadaniu w ramiona  
 które zaciskając się w pozdrowieniu, uwalniają nas  
 od śpiewania pieśni czyścowniczych

A ze zdziwienia otworzą się nam dzioby nienasycone

## *Pieśń ostatnia. Dolepienie do Nieba*

(((

<sup>10</sup>Prora — ośrodek wypoczynkowy na wyspie Rugii, zbudowany przez nazistów. [przypis edytorski]



## *Piektło*

### *Pieśń pierwsza. Pieśń przekreślona<sup>11</sup>*

Przekreślał się na początku i linie przecinają mnie  
Przekreślał wszystko, nie wybieram jasnej czystości  
liter jasnych między rytmiką nad linią, tylko je ścinam  
na wieczną pamiątkę nieczytelności i nieważności  
Linie jak wykres kłamstwa — prawdy przekreślają mnie  
Zagrzebana w błocie, uduszona plwocinami, laudacjami  
do fałszywych proroków ze słoniny, ze złota, drewna  
namaszcanych bez odpowiednich procedur i pieśni  
olejami zbeszczeszczanymi i gestami udawania, grają  
dla mnie, bawią mnie w moim ogrodzie odrzuconym  
Oto Jestem, nie dla ciebie boże, teraz nie szukaj mnie  
Oto jestem, zagrzebana głęboko w sobie niegotowa  
niechętna na konfrontację z tym, co jest litościwy zbyt  
Przecinam wyrzuty sumienia, żale zasmarkane  
Skomlę, przeczuwając rozstrzygnięcie i pochód śmierci  
Ja pies jej, syty-żyr, obwieszczę swym gardłem piekło  
potępienie wieczne dla wielu czarnoustnych wśród nas  
Znam wszelkie prawdy nieobjawione i apokryficzne  
Historie cynicznie wymyślam, pałac papierosy z liści  
z drzew prawdy, okolicznych jemu złączonych korzeniami  
Nieobrzezana jestem i zresztą już za późno, za późno  
na te ceremonie poświęcenia przerośniętego, nienowego  
Jak pisać o piekle, co jest bardziej niż cokolwiek we mnie  
Redzie je schować i je ukarać za to, że ciągle jest tutaj?  
Nic nie zgniecie nas na czyścicowy proszek sprzedawany  
w porcjach, w torebkach plastikowych za 30 srebrnych  
skrytych przed rodziną i znajomymi z najbliższej parafii  
Wymyślam sobie swoje bóstwo bałwochwalcze ciągle  
Ja na szczycie Mont Blanc czy gorze gówna wie czego  
Jednak wysoko stoję objawiona sobie, promieniuję  
Wywyższam się ponad horyzonty, gwiazdy gniotę

<sup>11</sup>*Pieśń przekreślona* — w druku cała strona przekreślona jest skośną kreską. [przypis edytorski]

Wszystko gniołę mymi połączanymi nogami i ogonami  
te kruche, niewiadome byty liche, proste, dobre  
przekreślam je, by przekreślić ostatecznie siebie też  
Milionami skreśleń stapiam wszystko dookoła mnie  
Niech świat wraz ze mną cierni i zdechnie w ukryciu  
Długie me szaty, brzęczące, zaprojektowane dla tyranii  
zżerającej wszystko, nawet siebie z głodu ciągłego  
Odrzuć mnie i skreśl, teraz jest dobry moment na to  
Spróbuj rozcieńczyć mój grzech wbrew mej woli, wołę  
jak jego kształt zamieszkujący we mnie poszerza się  
Niech więc linie przekreślające mnie będą tłuste i łakome  
Szpetne pieśni szepczą, odrzucając inne w nad nad miarach  
Niewłaściwe pieśni na niedziele pańskie, na święta kościelne  
Skreślaj mnie, skreślaj, a ja i tak będę trwała pod spodem  
na znak przeciwko miłosnym piosenkom, modlitwom  
nawet za cenę mojego pomnika, co zostanie strącony  
bo sezon skończył się na mój charakter bóstwa i na imię  
Pokreślone mam rysy twarzy, lecz nie jestem twą maryjką  
choć czarną, najczarniejszą wśród wszystkich kobiet  
Na dachach świata siedzę, niszczę pieśni święte  
Obcinając im głowy, ręce, łamię śpiewających  
Przekreślam wszystko, nie ucieknie mi żadne słowo  
Zatrzymam ich słodkie poloty kontekstu i zniweczę  
Przekujcie aureole święte, co mogły kiedyś być na mnie  
te, które w moim rozmiarze, przekujcie na naszyjniki  
dla mnie na wernisaże i spotkania autorskie w piekle  
na które już teraz wszystkich serdecznie zapraszam  
Przekreśl mnie teraz, proszę, i uczynń nieczytelną  
niech me słowa pisane w zmęczeniu i uniesieniu  
zostaną precyzyjnie zmasane na wieki przewlekle  
Powołani do skreśleń i potępień, wystąpcie teraz  
Niezmierzona czerń tablicy, po której kredą mażę  
znaki ochronne, znaki ucieczki, ukrycia gdzieś tu  
niewielu się uchroniło przedostatnią litością  
Są tacy, którym się to udało i skreślili się z listy  
Na liście nieobecności teraz tak bardzo są obecni  
w niwecz się nie obracają, nie zapominają się  
Najmniejsze skupienie wszystkiego złego  
Zatykam swe usta w pieśni przekreślone  
pieśni skurczliwości do środka własnego  
ściśnięcia i zmiążdżenia doszczętnego  
Patrz, jak się boję, wkładam tyle do buzi\  
Nie rozczytasz mnie w myleniu się moim  
pokusa pozostaje, to przebicie dla oczu  
będzie przedzierać się do czytelności mozolnie\  
Czarne wersy nadciągają w szyku osobliwym  
Boję się tego, jak zakradają się armią na mnie  
Przekreślam te judaszowe pianie wyleniałych  
Zagęszczam się w swych bluźnierstwach mocniej  
wykrzykiwanych w dorner kebabach o świcie  
w kierunku wschodzących zewsząd księżyców  
stękających z każdą minutą przedzierania się  
przez ciemność oczu skulonych i zawiedzionych  
Lubię śpiewać te pieśni odrzucone przez siebie  
nieudane, skazane na to, by się kotłowały w byciu  
nieważne, zbite w kartki, zmięte do środka truchleją

Czemu więc tak potrząsas biodrami w moim kierunku  
marcepanowy wrogu w przeczeniach wykrywany  
czemu?

## *Pieśń druga. Zmierzchy bogów naszych*

Nasze wielkie procesje nadciągają burzą  
miodnych i szaleńczych mów na naszą cześć  
Powiewają nasze sztandary mnogie, tkane  
Sztyletujemy krawędziami naszych języków  
Zabijmy tych, rzucających w nas jabłkami  
z mostów rozpostartych nad naszymi przejściami  
Jesteśmy Bogami zabierającymi ciągle dla siebie  
tylko dla naszych czarownych przydomków  
one wywoływać mają strach i ukrycie  
Otoczeni dziećmi, kobietami w bukietach  
oddają swe lenna w nasze kosze i kufry  
Zabieramy im wszystko jednym gestem ręki  
Podcinają nasze kryształowe koturny wysokie  
a my ściskając pięści, odchodzimy, grożąc temu  
który niby-wszechmocny i nie zgwałci nas kolorem  
taki niby-wszechmocny i nie zabarwi nas kolorem  
Nasze pięści zwinięte w siebie przechowują  
groźby, nienawiść do wszystkiego, do Niego  
Nasze armie już szykują się zdobyć jego terytoria  
Siła nasza ogromna, zabierająca wszystko w tajemnicy  
Niech on przyjdzie, składając nam pokłony na dywanach  
przenośnych, składanych, które wędrują wraz z nami  
Rozrzucamy kości zamiast kwiatów przed antyhostią  
Piszemy Tylko Wielkimi Literami Te Zdania Nadrzędne  
zgniecione zostaną wraz z nami w pyły alergiczne  
rozpadają się w naszych, kwaśnych, cytrusowych rękach

Mordercy prasują nam koszule wyjściowe na noc  
Oglądamy się za diabelnym, zmierzającym do nas  
Poi nas z niezwykłą regularnością i troską  
trzy razy w ciągu dnia, drobną łyżką podaje nam mannę  
Kasza pozyskiwana z odwróconego procesu utylizacji  
z buraków pastewnych, kradzionych i ukrywanych  
Nasze wieczne panowanie, gdzie są zasłony gęste  
opadają one głęboko, marszcząc się, dają mrok  
chronią nas przed dziwnym widokiem na urwisko  
Powoli zmierzcha nasz zewnętrzny blask okrutny  
zewnątrza błyszczące, strachliwe, zadające śmierć  
Oto idziemy, krwawymi bóstwami nazwani na zawsze  
Złoto i wyrwana kość strojna dodaje nam jeszcze blasku  
Oto zdychamy w promieniach wschodzącego, nowego  
nie umiemy śpiewać dla niego, nie nasze głosy  
Nasz chór odrzucony, każdy z nas ma głos pierwszy  
nie możemy znieść hegemonii zmiażdżonych nas w nas  
Pokazy mody królewskiej kończą się w porze happy hours  
Wszystko miało zdychać, nie wzdychać już nigdy więcej



Uczyńmy więc krzywdę słodką, porzućmy dobre zamiary  
Nie do zniesienia jest dla nas bóstwo miękkie i głębokie  
W nasze żelazne konstrukcje nie wleje się już nic  
Wielkie oddzielenia, granice naszej kumulacji pełnej  
Nasze naoliwione policzki chudną ze strachu i paniki  
przed naszymi sąsiadami, co mają podobne zamiary  
Chcą nas pozbawić tronów, komnat bursztynowych  
Nasze usta malinowe wysychają z braku ducha w nas  
on dodawał nam kusicielskiego piękna, o które się walczy  
chronił nas przez całe nasze królowanie w pozłocie  
Wessani w sobie przypominamy sobie naszą wielkość  
Dekoracyjne formy językowe, muzyczne wiążą nas  
Okazało się, że zaprawdę jesteśmy nieśmiertelni  
czego skrycie się obawialiśmy, unosząc ostatni dech  
w kierunku ścisku, milczenia i zła  
podobnego najbardziej do koloru naszych skór zamszowych  
które boskim zabiegom pielęgnacyjnym były poddawane  
gdzieś w krainach żurawiny suszonej, zgnilizny i zmierzchu

## *Pieśń trzecia Bruna storia*

Trzecia pozostałość po rozstrzygnięciu  
po próbach ognia, wody i pryzmatu  
upadła najgłębiej w siebie, w obłęd  
z którego nie ma wyjścia ewakuacyjnego  
choć wejść była mnogość zachęcająca  
Jestem częścią odrzucającą oblubieńca  
Trzepotał on swoimi rżęsami w moją stronę  
z frędzlami, z jasnym uwielbieniem k'mnie  
Jego obietnice szeptane niech porwą zwierzęta  
stwoży leśne, które lubią te słoniny na patykach  
Mając je w pyskach, obserwowały mój rozprysk  
Odrzuciło mnie daleko od niego, w norę  
krecią dziuplę szalonego, ślepego posuwania się  
tylko naprzód, bez zawracania i odwracania się  
Tony ziemi zakrywają moje górnicze szczebioty  
w nieodkrytych do tej pory głębinach gnilnych  
Upojona denaturatem filtrowanym przez watę  
z trupią czaszką na okładce objawiam się wam  
nieprzenajświętsza, nieprzenajświętszy mój śmiech  
Chciałbyś może, abym była dziewicą waleczną  
konającą w imię boga milczącego za chmurkami  
które maluje chaos i przypadek zmyślnie złośliwy?  
Wolę być Bruną, z jej ust para zimna ucieka  
w wielkie przestrzenie ciepła, miękkości waszej  
Gdy cesarstwo kwitło girlandami, krwią krzepliwą  
byłam nałożnicą rzymskich cesarzowych i cesarzy  
Głaskali swe tygrysy po głowach, głaskali mnie  
Miałam wielką władzę panowania, zabijania  
Władam wielkimi tronami, potęgami, armiami  
Mordowałam swe służki wdzięczne, nieśmiałe  
Trucizny kwieciste w sprayach rozpylanych  
W me łożę wsiąkały coraz to nowsze smaki i soki  
Mój kielich ciągle był nadpity mimo przepełnienia

Wymyślałam krwawe uczty, gdzie mordowano dziewice  
niewolnicy ginęli podczas hucznych, gwiaździstych nocy  
Osobiście ich biczowałam, doprowadzałam do ujadania  
Osobiście, z zaangażowaniem obłądnym biłam jaśminy  
Wbijałam ich miękkie ciała w glebę, w marmur  
a wtedy kosmyki włosów uciekały mi spod koka  
Me jedwabne tuniki czerwonymi wzorami okrywały się  
Tak wygląda Maxima-Optima, Szalona zwana Wielką  
Ssij mnie mocno, truj się mym sokiem cierpkim  
z bzu czarnego i nasion odrzuconych za gorycz  
Panny składane mi w comiesięcznych ofiarach  
bym była łaskawa dla ich miast dopiero utkanych  
W najczarniejszych arkadach przechodziłam, tupiąc  
niszcząc, gwałcąc wszystkie porządki zastane  
doryckie, korynckie i porządki jońskie też  
Nokturnowe szaleństwa do wczesnych godzin  
z bufiastymi sukniami, z poduszkami w ramionach  
Bym się zdała bardziej bóstwem, co nienawidzą go  
Oskarżana przez kuzynów, synów za spółkowanie  
z literami przekrzywionymi i z przecinkami w nocy  
Dowodami na to miały być kosze martwych maślaków  
z którymi powracałam jako morderczyni skryta  
Chcieli mnie ująć za zbrodnie i zasztyletować  
ale moje gniewne, czarne spojrzenie spod czoła  
prześwietlało ich spiski na moje ciało i władzę  
zatrąwszy ich, cały świat zatrąwając, patrzyłam  
patrzyłam na agonię pełni i tej niby-nieśmiertelności  
młodzieży, kwiatów, małych piesków, owadów  
Te ramiona zgarniały wszystko dla siebie, dla mnie  
Stałam się prawie legendą, zmijową panią ptaków  
choć ma postura wykluczała aż takie okrucieństwo  
Oleje wylewane pod me stopy, ścierane włosami  
Popelniali samobójstwa przy białych winach  
oni opiewający nieskończone, niedokończone

A ja chichotałam, patrząc, jak zdycha świat  
piszczący i wznoszący ostatnie spojrzenia po litość  
Na mych pobielonych pudrem dłoniach zdychasz  
Teraz ty zdychasz

## *Pieśń czwarta. Winna śmierć*

Sącząc z gąbki prawie octowe wino, leżakowałam  
Z bólem krzyża wylegiwałam się na skórach  
szukając kolejnych ofiar mych kaprysów lata  
wśród pięknego i młodego korowodu blondynów  
Oto byli z prawej, lewej strony piękni *phoibosi*  
grali jakieś stare, wierszowane pieśni z lutniami  
Myślałam, jak rytmicznie wybijam im te nutki z ust  
Czy jako bezzębni będą tak samo umuzykalnieni?  
Uśmiechałam się do siebie, obmyślałam plan śmierci  
wtedy podeszła do mnie półnaga piękność z owocami  
czarownie pachniała nienawiścią, nierozpoznanie  
Oj, te panny malowane, oj, te panny szykownie roztrzaskane  
Zdziwiona tą odwagą mieszałam się jej obecnością

Zmieszany kielich powrócił do ust, niosąc ze sobą truciznę  
Pijąc winną przynętę, poczułam się senna i zmieniona  
Krzyknęłam z nagłego bólu, rozrywającego mnie w środku  
Wiedziałam, że zostałam otruta, krzyczałam o pomoc  
Nikt z uczujących nie przerywał biesiadowania śpiewnego  
Na ich posągowych, marmurowych twarzach trwała cisza  
z wolna dostrzegłam jednak delikatne uśmiechy rysujące się  
Wybiegłam na korytarz i leżałam jak skulona ślimaczycza  
plując siebie wokół, zsikując się z boleści przygodnej  
Tak odchodzi bogini wraz ze swym postumentem na kołach  
Winna trucizna zdobywała mnie w licznych żołądkach  
cięła mnie na fragmenty, toczyła eksplozjami mą biel  
urojoną i wymyśloną na potrzeby wizerunku wykutego  
W ciągu jednego momentu mój chłodny oddech spadł  
Oczy wytrzeszczyłam w marszczący się mrok czyhający

Wtedy poczułam do siebie nieprawdopodobny wstręt  
Szept dziwny nie do zniesienia, przekrzykiwałam go  
Całym swoim wściekłym rykiem królowej zagłuszyć go  
Tylko to odezwało się we mnie, wielki mój wrzask  
Odsunęłam się sama tam, gdzie najdalej, gdzie nie słyhać  
nic prócz mego głosu królującego nad śmiercią i nad łaską  
którą odrzuciłam na wieczność od siebie, w przepaście kredowe  
Ściąganie do punktu najmniejszego, prawie niewidocznego  
Myślałam, że się rozpadnę, zniknę w jakichś śmietanach nagle  
Tak bardzo byłam, za mocno trwało we mnie coś twardego  
Zza moimi plecami, gdy odchodziłam, słyszałam lamenty  
Głosy z dała wzywały jeszcze Brunę rozczochraną  
zamieniły się z czasem w przedziwną odwrotność  
Patrzcie, jak nadchodzę, najpiękniejsza

## *Pieśń piąta. Pieśń odchodzenia do Piekła*

W tył zwrot, naprzód w siebie maszeruj  
Butami rozdzierającymi, kowalskimi szuranie  
Pozostawiając po sobie ślady w błotach  
Odchodząc w dale powłóczystym krokiem  
Nie chcę już twoich ud i ciepłego brzucha  
Patrz za mną, na to ci pozwalam ostatni raz  
na patrzanie, jak się odchodzi od ciebie  
Me wdzięki uciekają, ale ma wola silna  
Nie zobaczysz już nigdy mej twarzy i oczu  
Nie będziesz liczył mych oddechów, jak śpię  
Nie wkradniesz się we włosy w postaci wiatru  
Nie dam ci się wymacać na dnie twojej kieszeni  
Już nie rozpoznasz mego kształtu w swej dłoni  
Na nic te twoje efekty specjalne, widzisz, na nic  
Sklejam się do środka, byś mnie nie mógł zdobyć  
twoimi sekretnymi możliwościami drążącymi  
Moje kuszenie plecami kołyszącymi, widzisz

i pewnie zadajesz pytanie unde malum<sup>12</sup>, Bruna?  
Naśmiewam się z twego płaczu, jeszcze jednego  
Wiesz, to tak jest, że to ty musisz prosić o łaskę  
wizyty u mnie w pałacach doszczętnie zniszczonych  
gdzie zaraza o moim imieniu pożera wszystko i ciebie  
Pożrę cię też, jak tylko się pojawisz w moich podwojach  
Me oczy, gęstwina ciężkich powiek i nie dostrzegam  
Mam alternatywne zakończenie dla ciebie, o misterny  
W tym scenariuszu główny bohater odchodzi w dal  
nie rozmywa się jednak, lecz wszystkie jego detale  
zaczynają skrzyć od ostrości postrzegania ich na raz  
Wszystko zdaje się być takie brzydkie, jaskrawe  
Płaczliwe wiatry już ścierają me imię, zapominając je  
wracają do siebie bez mej odpowiedzi, milczę, milczę  
Zmazują me imienne atrybuty podarowane mi kiedyś  
Szkoda, że sama nie mogę ich wyręczyć w tym

## *Pieśń szósta. Bramy Piekieł*

Puk, puk, otwórzcie, zmokłej bogini łez i moczeń nocnych  
Stoi przy bramie, kołacze, oczekując waszej gościny na noc  
Tu się rozpoznaję, przy wejściu i domofon z moim imieniem  
Podzielone bramy na nieskończoną liczbę segmentów  
ciągle dzielą się wewnętrznie, ciskają, miażdżąc się w granicach  
Nadproża potężne, wielkie filary dźwigające ciężar spotęgowany  
Obrazy i historie niby tu widnieją, ale się kamuflują nawzajem  
przez spróchniałe zęby cedzone, przez zgryzy zatrzęsnięte  
Nowe rysunki na odrzwiach wyrzeźbione dłutem zębatym  
Skryste pod deskami świata zwłoki czynów przerażających  
Znaki dziwne rozpoznaję, w woskowym świetle ich płas  
Polichromie zdrapane wiatrami dalekimi i kształty miękkie  
W rozglifieniu łuku wieńczącego drzwi napisy po aramejsku  
Charakter pisma wskazuje na autora przycupniętego  
On chciałby zachować anonimowość, raczej się nie ujawnia  
Pewnie jakiś dawny mistrz je kuł, bramy piekieł w ogniu  
Są na nich zakazane kwiaty, których nazwy są ominięte  
we wszystkich językach dawnych i przyszłych, i zaginionych  
W przyczołce lampka z napisem *wolne*, możesz wejść  
poprawić przed lustrami w sraczu wypadające włosy  
Ślepymi maswerkami ozdobione, czołgankami upiększają  
przy klamkach licznych na wszelkich wysokościach  
podkreślają stylistykę podążającą w dół i w przepaście  
Te modne tendencje w architekturze są osobliwie ciekawe  
Zapachy obłędu mego, szaleństwa, tu rozpoznaję się na szczęście  
Wśród musujących kształtów dostrzegam trzy postaci wokół

Obgryzam palce do krwi i dotykam tych figur mellitowych  
Dwie stojące z otwartymi ramionami, jedno zwierzę zbite  
Wszystkie spojrzały na mnie, uśmiechając się przeciągle  
Zauważyły moją obecność dotąd tutaj niedostrzeżoną  
Wtedy poczułam histerię olbrzymią i lęk odsłonięty  
Uderzyła mnie fala zła niewypowiedzanego w czoło  
Rzuciłam się do ucieczki, tłumiąc swój zgubiony oddech

<sup>12</sup>*unde malum* (łac.) — skąd [pochodzi] zło. [przypis edytorski]

lecz ma ręką spoczywała już na klamce, która odskoczyła  
a brama była taka piękna, karmelizowana z tłuszczem  
Ot, te sztuczki opierające się na skrzypliwych zawiasach  
one wiodą nas na zatracenie w głębinę najstraszniejsze

Nie witajmy się zatem w progu  
sata-musie, czy jak ci tam było kiedyś na imię

## *Pieśń siódma. Pieśń ściśnięta*

Płaczcie teraz, wszystkie płaczki żydowskie  
Te najpiękniejsze łzy ocierajcie wymuszone  
Wysuszajcie swe płatne oblicza włosami  
perfumowanymi i namaszczanymi, i długimi  
Do tego pośmiertnego orszaku wybieram  
te najbardziej wczuwające się i niewinne  
z wielkimi oczami rozmazanymi za zapłatę  
Drogimi kamieniami was obsypię, całe drogie  
Te ręce załamujące się, te jęki, naciągane wycie  
Ja nie mogę nad sobą płakać na zewnątrz  
Wciśnięta w siebie widzę tylko swój smród  
Nie potrafię czuć, tylko ścisk niemiłosierny  
Wpychana w najmniejsze ramy moja wielkość  
ograniczana liniami czarnymi, oskarżającymi  
Me kształty dawne w bolesnym marynowaniu  
Zapadam się nieskończoną ilość razy w się  
W najgłębszą przepaść w sobie ciągle wpadam  
Ciągle spadam w dziurę, którą jestem, pełną i złą  
i te chóry potępione, te głosy z dawna cierpiące  
przypominają mi dokładnie śmierć zadawaną  
Teraz tęsknię za jego obliczem, które odrzuciłam  
Za morzem pozostał i pozwoliłam mu zapomnieć  
Tu wszystko już zostało spełnione w echach licznych  
Tu wszystko już zostało zaprzepaszczone kiedyś  
Wciśnięta w środku żyję tylko rykiem wewnętrznym  
Nie wyobrażałam sobie, że tak boli śmierć wieczna  
Umieram nieskończoną ilość razy, niewidząca kresu  
zadać sobie ból z jego dekoracyjnymi detalami  
Mieć przez chwilę możliwość tej rozkoszy boleści  
Nienawidzę najbardziej mego bytu skurczonego  
wszystkiego, trwającego w nieśmiertelności mojej  
Płaczcie, o piękne kobiety płatne i lakierowane  
Zmuszajcie się, zmuszajcie się wzajemnie, podsycajcie  
do żalu za moim wiecznym pogrzebem w listopadzie  
Trwam z wędną wiankiem chryzantem na głowie  
Odszedł ten, co podawał mi wino do ust, pragnąc mnie  
bez niego wysuszona oceniam ciągle mą stratę wieczną  
Brak mi teraz tych pieprzonych, pastelowych kolorów  
kojarzących się z jego cichą obecnością w dalekich tłach  
Niech wasz płaczliwy skowyt wzniesie się, o płaczki  
w ten kosmos okrutnie cichy i wolny, piekielnie wolny

## *Pieśń ósma. Bruna nastuchuje bóstw spokrewnionych*

Daleko i blisko pod moim ramieniem słyszę popiskiwanie  
Żalostne, nerwowe moje drapanie w tym miejscu, gdzie śwędzi  
Głos spokrewniony usłyszałam wbity we mnie, tak daleki  
Śpiewak fałszujący drżał, srał w majtki bawełniane z domieszką  
po nogawkach rajstop ściekał mu mocz ze strachu przed sobą  
Wciśnięcia w głębokości nieodkryte przez żadne wehikuły  
Byliśmy dawno napelnieni ambrozją i nektarem kradzionym  
Szeleszczą części skołtunione mocno, pod spodami  
Słyszę świsty jak pieśni powlekane żalością wyczynową  
Bóstwa spokrewnione tłoczą się w tym niemiejsku, we mnie  
Przekrzykiwania na ścianach przepaści, noszę ją w sobie  
Nienawidzę ich, a oni mojej obecności, jednakże zmuszeni  
Skóry po nas zostają, po bóstwach leśnych, prehistorycznych  
Posłyszałam głos pojedynczy, zdał mi się jakoś rozpoznawalny  
Szepcząc w moim uchu, umiejscowił się jak w niewygodnej pufie  
Ten pisk, syczący torturował precyzyjnie dźwiękiem nieznośnym  
Jego głos, trzeszcząca dźwignia kości zginająca, kości zrywająca  
Zasypcie grubą warstwą żwiru to gnojowisko smrodem oszałamiane  
Wszystko od niego ucieka, nawet on od siebie ucieka lękliwie  
To gardło jest tu tak zwężone, nie ma przeliny i oddychania  
Nie wbijesz w to rurki, by uratować mu życie, by mu uratować śmierć  
by uratować jego pieśni charczące przed każdorazową destrukcją  
po szepnięciu jednostajnym, od razu niszczone są przez polykających  
To najmniejsze terytorium bóstw zapomnianych w starych mitologiach  
Zaspiewaj mi swą piosnkę zdolnego szambiarza uwikłanego w zagadkę  
Nadchodzisz, w mordzie trzymając swe kości zmiażdżone jak puchar  
tym własnym pyskiem i tonowym naciskiem na siebie samego  
Twój wątek przeplata się gdzieś we mnie rozpiętej i zgniecionej  
mieni się w okolicy, dając znać, że się jawił kiedyś jako Pseudohelios  
okrutnie biczący swymi promieniami twarz pobieleną rozpaczą  
rytmicznie uderzając w ich skóry, jak w bębny bolesno-dźwięczne

## *Pieśń dziewiąta. Pseudohelios wyje*

Ksandzie, Podargu, Ajtonie i Lamposie żelazny  
gdzie się podziła wasze ostre, końskie włosie  
wasze gęste grzywy zasłaniające mi głębokie doły  
kopane na grobowce Heliosa okrutnego wieczorem  
muskularne, dźwigające mój odwłok władczy  
Pociągowa wasza misja skończyła się dosyć szybko  
Podkradł mi was inny bóg zachodu z brązową twarzą  
Nie barwi się tak mocno przy zmierzchu czerwienią  
Me słoneczne potomstwo uciekało promieniami  
przed moim gniewem olbrzymim i wrzaskiem furii  
Jednakże wszystkie z dala gdzieś krążyły na orbicie  
Mieszkałem jako prawie trup słoneczny trochę w Italii  
Mój pierwszy syn, Faeton, nie mógł patrzeć na mnie  
nawet w słonecznych okularach, wybuchał płaczem

Miażdżyłem jego pneumatyczno-aerodynamiczne kości  
żelazkodeskami płonącymi, krzesłami wirującymi  
Jego delikatna matka, pogruchotana odwożona karetkami  
karetami króla słońca, jechała na sygnale mego odrzucania  
Nienawidziłem widnokregu przypisanego mi przez los  
Wypalałem ich delikatne powierzchnie i wilgotne kąty  
zakamarki schowane przede mną, jakoś trochę urodzajne  
Faeton popelnia samobójstwo w trakcie zaćmienia słońca  
tak był przyzwyczajony do mojego oblicza spalającego  
Widząc już tylko pustynię w owej krainie pogrzebanej  
szczątki płaczące mi się między zębami i odchodami  
na drodze gwiazdzistej poznałem kobietę-kometę uciekającą  
podążyłem za nią w inną galaktykę i tam poślubiłem ją  
koronując się jednocześnie na największego patriarchę  
Me kolejne mitologiczne potomstwo to drobne księżyce  
za małe, by je rozbić o siebie z hukiem, ich jęki posłyszec  
Meteoryty wysyłane i przedmioty zderzane z ciałem  
przy wieszaku na płaszcze przygodne, bujający się abażur  
Abażur złoty był mi konkurencją w oświetleniu wnętrza  
Abażur żółty, zgnieciony, bujający się wśród przerażenia siłą  
Bicie po ich lekko uniesionych głowach w stronę słońca  
Nikt nie jest dostatecznie godny, by spoglądać w me oblicze  
gniewu i nienawiści do panoram rozpostartych wokół  
Ona — kometa uciekła z dziećmi z mego widnokregu  
montując markizy przeciwsłoneczne, żaluzje ciemne  
Przesunął się mój ruch jednostajnej fizjologii w bok  
Mieszkałem znów tam, gdzie inna strona świata się myliła  
Z kolejną boginią rodziłem kolejne brzuchy nienażarte  
Przychodziły do mnie, prosząc o ciepło, biłem je okrutnie  
po tych ustach zdziwionych, oczekujących minuty solarium  
Potłuczone żebra córki nieznośnej i syna z chorym sercem  
Sikali ze strachu, gdy wracałem wieczorem do mego pałacu  
Zniszczeni, płaczący, lizali swe rany po wybuchach słońca  
Wpełzali pod meble włoskie z wyprzedzaży zakupione  
Byłem przekonany o swej nieśmiertelnej sile niszczącej  
lecz pomału prawie niezauważalnie stawałem się słaby  
Traciłem swe rumaki ciągnące mój rydwan spalony  
ich kopyta jakoś tak tętniły w coraz większym oddaleniu  
Zrzucony ze swego słonecznego powozu dotknąłem ziemi  
na której już nikt nie zamieszkiwał, porzucona w pośpiechu  
Zdychałem przez kilka lat, doczekawszy niepełnosprawności  
Zachowałem swój jad ukryty między zmarszczkami na zapas  
by starczyło do końca tego niszczenia wszelkich przejawów życia  
Me mroczne panowanie i regulacja buntów żelaznym drągiem  
zanikało jakoś i bladło, znikał mój ostry blask z powidokami  
W domu starców nikt nie chciał się mną zajmować i doglądać  
Każdy się mnie bał, opowiadałem im o mym niszczycielstwie  
o tych zależnych i zaciemnionych, powoli wzrastających w cieniu  
Opowiadałem, jak odchodził Faeton pierwotnie niszczony  
po miękkościach odsłoniętych, po miękkościach zasłoniętych  
Pielęgniarki chowały twarze, a chłopcy ze wstrętem spoglądając  
życzyli mi wszystkiego najgorszego, dużo chorób w dniu imienin  
podawali mi papierosy, czekając, aż zgasnę, charcząc w dymie  
Z czasem zmieniłem się w *czerwonego olbrzyma*<sup>13</sup> obrzękniętego

<sup>13</sup>czerwony olbrzym — nazwa gwiazdy będącej na schyłkowym etapie ewolucji. Nazwa pochodzi od ich barwy i zwiększających się rozmiarów/ [przypis autorski]

Nowotwór wpompował w me ciało wiele powierza i wodoru  
 choć leżałem, umierając, byłem znów najmasywniejszy, potężny  
 W samo południe, gdy słońce było najwyżej, pojękując, odchodziłem  
 Jak umrę, wszystko zgaśnie, potężne bóstwo zasypia ze wszystkim  
 w grobie wraz z rodziną żywcem pochowaną, wraz ze służącymi  
 i psami, i z wężem ogrodowym, programem telewizyjnym na piątek  
 Miękki zastrzyk przeciwbólowy kołysał się we mnie łagodnie  
 Łuski węża ogrodowego pokryły me oczy, oddech ustał w ciszy  
 Wtedy poczułem pierwszy raz lęk, zmuszał mnie do uciekania  
 odrzucając moje zewnętrzne warstwy, zachował się tylko środek  
 Jądro, skondensowane w środku mym, okazało się skarłowaciałe  
 Zostałem zdetronizowany, pośmiertny zamach stanu i ścięcie głów  
 Nagle zrozumienie uderzyło mnie w brzuch najgłębszy, w biskopt  
 Uciekłem jak najdalej od tych szeptów nawracających uciążliwie  
 w wielkim pośpiechu, hysterii dotarłem tu, do królestwa strachu  
 zsikując się ciągle przed sobą — przed nadchodzącym czarnym karlem<sup>14</sup>  
 Zbity do mego wnętrza, nigdy się nie poszerza ani zwęża  
 Przypominam sobie płacze nieustające za mną, za okrutnym  
 że był taki ohydny, już prawie nie wspomina się go przy obiedzie  
 Jakieś charczące huki tylko określają moje pochodne kształty  
 ktoś ciągle śpiewa głosami mych ofiar w tle, naśladowując idealnie  
 Przypomina mi ich strach przed nadchodzącym Pseudoheliosem  
 zamykane przede mną żółte drzwi do pokoju, drzwi do piekła  
 które i tak wyważę, i wejdę do tej szczeliny, i zmieszczę się tam

## *Pieśń dziesiąta. Piekło pseudoheliosa*

Określając me śluzy ciągle skapujące

e  
e

Zapadające się litery w sobie noszę tu  
 cały czas, przy sobie mam swój koniec  
 Skrzywione usta tak trudno narysować  
 Jakim ołówkiem szkicować ich kształt  
 granitowo-fioletowy i obawiający się?  
 Oto nadszedł głuchy dźwięk z zimna  
 Więziony w sobie, własne żebra-kraty  
 Wisi przede mną żółty abażur pradawny  
 Jakieś istnienie rozumne i przebiegłe  
 szeleści, zadając mi rany, ramy wąskie  
 cytując i śpiewając — tatuując we mnie  
 słowami i pieśniami miażdżącymi się  
 teraz odwrotnie rozciągane, za ogony  
 na szorstką stronę, która nie pozwala  
 na noszenie ich bez otarc i zniszczenia  
 Trzeba zawsze było sprawdzać metkę  
 kraj pochodzenia tych tkanin skrytych  
 zakazywanych i wytrzymałych jak juta  
 Noszę ze sobą zawsze swój koniec  
 Widzę ciągle tylko zakończenia ze mną  
 z głównym bohaterem filmu amatorskiego  
 w którym wtórują głosy zamazywane

<sup>14</sup>czarny karzeł — hipotetyczny końcowy etap życia gwiazd. Gwiazda przestaje świecić, stając się w ten sposób zimnym czarnym karlem. [przypis autorski]



tylko zakończenia mi pozostają  
puszczane w ciągłych pętłach  
one zaciskają  
piekło

*śpiew z dziwnym raczej niespotykanym akcentem*

gdzież się podział ów, ten helios pierdolony, pragnący spalić świat?  
nauczmy cię dyscypliny, my, krwawe owoce lychee, organizujące  
spotkania po latach i uczyty zakrapiane winami poświęconymi  
sraj ze strachu, nadchodzimy na ciebie, znów w odwiedziny  
żeby ci było jeszcze bardziej przykro i byś był bardziej samotny  
przyzwyczaj się do naszej obecności cierpkiej i karzącej  
hi, hi, będziemy dydaktyczni bardzo, oczekuj tego, tylko tego  
ohydne, niby takie silne i oświecone, teraz płacze to nieżyjątko  
dogonimy cię i będziemy niszczyć, aż nie będziesz w stanie płac  
ze strachu, że noc się nie kończy, a złe sny są takie namacalne  
i szeleszczą złowieszczą w przepoconych, długich palcach  
wydrapiemy jego gardło językami z płomieni, samozaciskami  
aż skuli się do niemożliwości, aż będzie wzywać swe dzieci  
my z jego ust wszystko pochwycimy, spożyjemy łapczywie  
napelniamy się bowiem sokiem jego, prawie że pęczniejemy  
w naszym wiecznym głodzie, w trwaniu zakonserwowane  
i niezmiennie perwersyjne w rekonstrukcjach

## *Pieśń jedenasta. Bruna śpiewa pierwszą pieśń wojenną*

Wysuszone są me usta, już żaden pocałunek  
Nie uda mi się schować w kimś przez moment  
Oto mój wróg, wróg śpiewający przede mną  
skrywa się za słowami pełnymi czarnej wydzieliny  
Umieścił się przy moim uchu i pęcznieje  
przez chwilę, potem rzezi w swoim oblężeniu

Będę prowadzić wojnę międzynarodową i wielką  
zamorduję wszystkich piosenkarzy dorabiających  
Takich jak ty mordować, ich przyuczone głosy  
przyuczone głosy do jakiegokolwiek atrakcyjności  
W ustach powleczonych same kamienie i ziemia  
Szykuj już swój herb wojenny, będzie powielany  
herb z czerwonym pasem i zapinką żelazną na nim  
Zetrzemy się w bitwie na moim terytorium  
ja wyznaczam

Każdy jest tutaj czyhający na ciebie, więc sikaj z lęku  
W twoich oczach zamieszkuje strach i ta nerwowość  
Nie będę miała dla ciebie żadnej litości, nie licz na to  
Już maszyny wymyślą, by zdławić twoje liche chlipanie  
Zbieram je, gromadzę w zbrojowni, zaskakując cię

Pułapki na lisy i szczury zastawiam, tym się zajmuję  
z siatki, z drutu, poranić cię i cię jeszcze bardziej poranić  
Ten twój stan zapalny ciągle się aktywizujący pulsuje

pulsuje rytmicznie, przeczuwa swoje wieczne trwanie  
Machiny szaleńcze, nowe rodzaje broni będę próbować  
Kierować będę je wszystkie, ich małe i wielkie lufy

do twej buzi

## *Pieśń dwunasta. Bruna wstuchuje się drugi raz*

Dorzuć trochę swoich kości do ognia, bo robi się chłodno  
Pod wyleniałą peruką z kreciego futra i z nutrii brzmi wokół  
Nadkobiece ma zdolności manualne, taka męska jest i silna  
Nawet teraz odwrócona do wszystkich nie chce występować  
Idź tam do niej, namów ją, by rozwinęła swe spocone pięści  
Niech nie boi się odkrycia swej szpetnej twarzy, robaczywej  
Chodź do mnie z tłustymi włosami zgubionymi i wrywanymi  
Przedstaw się ładnie, bardzo proszę, teraz kolej na ciebie  
Próbowałaś trunków zakazanych pozyskiwanych z boleści  
Witaj w klubie tenisowo-golfowym dla potentatów ropy  
czystych, zarumienionych podnieceniem, swoją personalną furią  
Pogryziemy wszystko nieznanne, sprowadzane z dzikich krain  
Będziemy się oblizywać, cieszyć w środku ze swej nadrzędności  
Kobięcy wokół wrzaskliwy, taki przekomarzający się o swoje miejsce  
Niszczyła wielu, by zaśpiewać taką niezwykle odwróconą pieśń  
No może teraz zaprezentujesz ją szerokiej publiczności  
przed moim pomazanym obliczem, barwami wojennymi  
Nikną już oczy i moje twarze w maseczkach wojennych  
Będę cię zabijać wsłuchiwaniami się we wszystkie półtony  
Podziemne kwiaty swe pąki zżerają, przerażone wiecznością  
Jak uciszyć tych samozwańców rozrastających się w kątach  
Samozwańce w korowodzie zaciśnięte w mojej głowie depczą się  
i przepychają, i ładnie się uklonić należy, no mniej więcej tak  
Któż tu będzie pierwszy, który pierwszy wystąpi, pokazując się?  
Sztuczki sceniczne, aby jakieś osoby zaklaskały z zażenowaniem  
chyba nie do końca zrozumiały, że ta pani śpiewająca to trup  
Jakaś taka dziwna jest, dziwnie się uśmiecha przez brak zębów  
że w ogóle pozwala się na takie występy, scenografie pomyłone  
Ona się nie rusza, w sumie nie umie śpiewać, jak inne jej podobne  
a suknie ma w pasy czarne i nie wiruje w pędzie zgnieciona  
tylko pluje, krzyczy ściśnięta i to cały jej występ uroczy  
Przeciska się przez siebie, a każdy jej ruch to niemożliwy ruch  
Biegnijcie do pierwszych rzędów zobaczyć jej make-upy  
namalowane jej uśmiechy w zespole pieśni i tańca ściśniętego

# *Pieśń trzynasta. Urania śpiewa głosem odwróconym*

Szepcząc słowa rozprysnięte, wykrzykując odstęp  
ćwierćnuty i ósemki w częściach szesnastych  
tych dawnych, ludowych, śpiewanych historii  
Urania jestem, jestem pełna swej siły okrutnej  
Nawet tu, zobacz moje zniszczone, krępe dziąsła  
dziury wydlubane we mnie z precyzją mistrza  
Niosąc długie sukna ze wzorami płacziwymi  
idę do ciebie, przeżuwając siebie, z pełną buzią  
Urania była kiedyś sierotą zawszawioną podle  
Nie była słaba jak inne, ale się wywyższyła nad  
Uwierzyła w wojnę i najgłośniejsz krzyczała  
wykrzywiając twarz w grymasie wielkiej siły  
W pierwszym rzędzie tych najsilniejszych, Ja  
szybko dostałam od mych kochanków szorstkich  
dyspozycje życia i śmierci w mych kieszeniach  
płatały się one ze sobą, gubiłam je w kaprytach  
Inspektorka obozu pracy we wschodniej Ukrainie  
tam gdzie Urania miała w każdym mieście pomnik  
W każdym mieście powiatowym mój pomnik  
Siedząc na podwyższeniach, władałam kobietami  
Przynależały do mnie dziewczynki od 4 do 16 lat  
druga grupa 16–60 lat, poza limitami nie istniały  
Musiały oszukiwać mnie strojami, spuszczoneymi oczami  
Chodziło o zdolność do kreatywnej pracy i siłę wyciskaną  
by budować utopijne ruiny, jakąś tajną bazę na piekło  
Staruszki nagie, kobiety rozkwitające, dzieci w barakach  
Ja spoglądałam na nie surowym wzrokiem karcącym  
Matki, siostry, kochanki bogów zwiędniętych pod butem  
zdychają w hurtowni drobiu zziębniętego i białego ze strachu  
Urania urzędowała sobie wspaniałe uczyty zakrapiane winem  
gdzie wszystkie zapraszała, wyciągając z baraków chłodnych  
w tej przedostatniej wieczerzy, widzą ją tylko kobiety ciężarne  
patrz zaciśnięte z bólu głodu swego i dzieci schowanych  
omdlewają, piszczą, nigdy później nie słyszałam takiego pisku  
Kolacja z masłem, szynką, ciepłym chlebem, miodem kąpiącym  
Oto były me siostry, zakonnice skazane na mnie, na Uranię  
Siostry pod wezwaniem najokrutniejszej, bez serca miłosiernego  
Biłam ich gładkie oblicza, ciągle się odradzające po nocy  
Rajskie ptaki, feniksy, takie piękne, prawie jak nietknięte  
suki o modrych i czarnych spojrzeniach, bite po głowach  
tam podobnie umiejscowiona jest dusza ludzka, podobnie  
Czy można być tak okrutnym jak ja, co ubieram się w ich ból  
Biodra szerokie, przepasane dekoracyjnie wrzaskiem i śmiercią  
Co za chorały antygregoriańskie mi towarzyszyły wtedy  
gdy strzelałam do łabędzic uciekających w lasy, chronią się tam  
wraz z małymi dziećmi, nie uciekną nigdy przed Zapobiegliwą  
Czuwałam, aby ich serca z piernika pękały z bólu, kruszały  
rozmiękając od łez  
Urania jest popromienna i zdeformowana, nie ma słabości  
Nie ma we mnie pięty Achillesa ukrytej w kaloszach ciężkich

Trwało to lata, choć nie liczyłam tych niezbyt oświetlonych chwil  
Ostatecznie wszystkie kobiety zostały kupione przez Szwedów  
zapłacili masłem i mięsem różowego łososia za 20 wagonów  
Pojechały ściśnięte i szczęśliwe, trzymające się za ręce razem  
Machałam więc im chusteczką, nienawidząc ich coraz bardziej  
ale wybrałam sobie sztuki z tego tłumu, by służyły mi do końca  
panny niby mądre czekające na swego oblubieńca, aż przyjdzie  
ale wyręczyłam go w tym jego opóźnionym przychodzeniu  
Zabijałam je, strzelając im w łagodnie rozmazane oblicza  
strzelając w ich miękkie karki, co do całowania i pieszczot służy  
Zostałam w końcu schowana przed kontratakami do miasta szarego  
Schowana troskliwie do schludnej nory przez dawnych przyjaciół  
pamiętali doskonale pieśni w moim wykonaniu sprzed lat  
W małym przydzielonym mieszkanku żyłam jeszcze długo  
czytając dzienniki i kręcąc przy tym głową ze zdziwienia  
Urania pomału przestała promieniować, choć pozostałam w głębi  
na zawsze wywyższona przez tamte dawne nimfy, przez ich śmierć  
śmierć błogosławionych, ta wyjątkowość skryta, niepowtarzalna  
Zmarłam w swoim mieszkaniu samotnie w mroku postępującym  
Po tygodniach ktoś odkrył mój posunięty rozkład, rozkładówkę  
gdy smród w okolicy nie pozwalał już spożywać kolacji postnych  
Usnęłam w trującym powietrzu popuszczanym  
śmierć na skutek nieszczelnej instalacji gazowej  
Pan dozorca zapisał w notatniku jedenaste przykazanie  
nie zapomnę sprawdzić kuchenki złowrogiej przed snem  
Gdy się obudziłam, uderzyła mnie mnogość oddechów  
rozpoznałam je w ciemności przepelnionej nimi  
szepcąc przewyciężający mą grubą powłokę prześwitywał  
Usunęłam go swym żelaznym ramieniem, znów było silne  
ramię odrzucające litość, ornamenty strachliwe i blade  
Marszowym krokiem kolosa weszłam tam, gdzie skały  
Intensywniej wszystko teraz czuję wszystko i rozpoznaję  
Jestem związana nokturnami, co kiedyś były mi śpiewane  
przez te, które nienawidziłam za tę ulotność, za dusze  
Ja niczym klucz nutowy rozpoczynający ich ciąg melodii  
ostrość zapisu nutowego, przepisanego czytelniej  
Nie pominięty zostanie żaden detal, żaden szczegół  
Ten utwór sama sobie dedykuję, dla Uranii skowyt wijący  
156 zgodnie z katalogiem Kehla<sup>15</sup> albo diabli wiedzą kogo  
zaciśnięta liniami, na których to wszystko zostało opisane

## *Pieśń czternasta. Urania in ferno*

W krzakach wysterylizowanych, w chowanego  
próbuję się znaleźć, nikt mnie nie szuka tutaj  
Trwam jako niezbity dowód w postępowaniu  
Jakieś resztki uczyty zalegają we mnie  
Nastawiona na temperaturę 250 stopni  
jestem zakalcem zapadniętym ciągle  
nie ma żadnej szyby, żeby mi się przyglądać  
Pieczona w formie chwytającej mój kształt  
dziury we mnie pęcznieją po kulach dawnych  
tkwią jak rodziniki i rozsadzają mnie

<sup>15</sup>katalog Kehla — spis dzieł Wolfganga Amadeusza Mozarta. [przypis edytorski]

Ich rozgrzane wątroby eksplodują we mnie  
Wewnątrz mnie jakieś obecności obce  
drażnią mój głód i rozpacz, i zapadanie  
Czy wielcy bogowie tak muszą kończyć  
w okowach własnych, stalowych ramion?  
Moje kipiące istnienie do nieskończoności  
ciągle jest kadrowane do punktu gęstego  
Formy wykute własnoręcznie w ogniu  
w ogniu wulkanu, w śmierci, w płaczu  
dzięki temu są niezniszczalne z gwarancją  
Zgniłe kawałki ciast, rozrzucone mięso  
Wszystko mrok, nie ma żadnych światła  
Nie ma światła do ostatniego występu  
słynnej Uranii o głosie niehumanicznym  
Wszelkie me wydostawanie się z formy  
wszelkie me wydostawanie się ze słowa  
jest odcinane za pomocą noży japońskich  
przez te śpiewające przy pobliskim ognisku  
Z dziwnymi uśmiechami już nadchodzą

*nadchodzące śpiewają*

jesteśmy raczej martwymi naturami  
ustawimy cię i wszystko, co się spełniło  
w różnych konfiguracjach kompozycji  
ograniczony jest ten zestaw rekwizytów  
czesać ich ostry kształt swym wzrokiem  
możesz obserwować dotkliwiej ich detale  
tylko pomagamy, komponujemy wytworknie  
w detalach znajdziesz wszystko, co znasz  
czerstwe kawałki ciast, rozrzucone mięso  
to pożera mrok i nie ma rzeźnych już światła  
rzeźnia nie jest w modzie, raczej tu nie pasuje  
wizujemy raczej szarą tkaninę podwieszoną  
w końcach szarpaną z bolesnymi frędzlami  
a wśród niej takie kęsy zgniłe jak pamiątki  
rozrywające jej jednostajnie potępiony koloryt  
na scenie dla ciebie ustawimy scenografię  
nasza siostra uwięziona przez siebie w nas  
a my jesteśmy raczej martwymi naturami  
z uśmiechami szerszymi niż cokolwiek  
z uśmiechami dekorującymi wnętrza  
zapomnianych ruin

## *Pieśń piętnasta. Drugi front wojny z uranią*

Wysłałam posłańców z nożami kuchennymi  
z nożyczkami zaostrzonymi na szorstkościach  
by rozpocząć walkę o przewodnictwo, uranio  
Rywalizujemy, która z nas bardziej zdeformowana  
Urządźmy sobie konkurs piękności pośmiertnej  
Wystąpmy w najokrutniejszych kreacjach  
Wszystkie melodie już ograne, nie zdarzy się nic

Mordami przeżuujemy ciągle tę samą strawę  
Przeżuujemy się nawzajem, zmuszone słuchamy  
Jesteś obok mnie z tą kulą i cyrklem niestępionym  
urania niby władca, niby nim odmierza proporcje  
tych ciał idealnych i zdolnych do wysiłku  
Nienawidziłam cię od pierwszego dźwięku  
od pierwszego wejrzenia  
Te ramiona niby smukłe, a jednak masywne  
Zbieraj teraz posiłki, swe armie niszczące  
Twój głos ściszony, zmuszę cię do milczenia  
Kontenery będą cię wywozić, kontenery  
w interpunkcji drobnej będziesz wywożona  
Góra plastiku po powierzchniach malowana  
dlatego nie ma tych żył mineralnych w środku  
tych krystalicznych pęknięć w środku litej  
z której jękające się moźesze mogłyby wskrzesić  
studnie i fontanny znakomite, rozłożyste  
Teraz pozwól, że będę cię okładać słowem  
rytym w tych samych miejscach, co kiedyś  
Kiedyś w te miejsca uderzała urania w uranię

## *Pieśń szesnasta. Podstuchy*

Leżę na wysypisku śmieci sprasowana w kubik  
Wokół mnie podobne kostki do gry oszukiwane  
Jakiś dźwięk, fragment we mnie częścią odłożony  
odzywa się i charczy, próbując się przedrzeć  
Ten masyw sprasowany walczy o głos mocniejszy  
lepiej może go nie dopuszczać, czuję jego ton  
Łasi się jakoś tak dziwnie, ale brak mu skóry  
Łasi się, by jeszcze raz czujność zatracić  
Chwyci, zniszczy wszystko wokół wyłożone  
Obliczył sobie to na podstawie rachunków  
że on jest Rugewit, stosując kalambury i losy  
Rzucając, obliczył, że na każdej jego stronie  
na każdej jego kostce siedem jest kropek  
dają one nieśmiertelność, to taka liczba  
Mimo że śmierdział odchodami rybimi  
potrafił się zakraść cichutko, skraść wiele  
owoce kwitnące, świeżo kradzione warzywa  
Już go słyszę, pod mą pachą chyba skrył się  
Zaknebluję go jeszcze czymś, by milczał  
taśmą malarską albo workiem foliowym  
z wizerunkiem uśmiechniętych kobiet  
oblizujących palce ze słodczy schowanej  
Zamknijcie mu mordę, ten otwór zdechły  
gdy przyjrzyysz się uważnie, zauważysz  
w jego obliczu matowym śmierć  
Iluzjonistycznie narysował sobie wiele głów  
żeby się mienić i odmieniać ostatni raz  
Przez przypadki odmiana okrutna

# *Pieśń siedemnasta. Rugewit nabrzmiewa*

Me słowa przenoszone są w lektyce zbutwiałej  
Ostatni raz je przenoszę, ich wątłe brzmienia  
na mych plecach odcisnięte są po nich ślady  
między przerwami wciśnięte i rozkładające  
Oto jestem — zawołam rozdartym otworem  
lecz nie jako sługa nasłuchujący do rana  
lecz jako Pan wyróżniony i alabastrowy cały  
Mało znane bóstwo znalazło bowiem sposób  
na wielki powrót do słynniejszych i silnych  
Chowałem się w dziuplach szarych wiewiórek  
Me dzieciństwo było idealnie świetlano-miodne  
gdy zmęźniałem, zacząłem pracować, wyjeżdżając  
na wakacje do kurortów dla tych najbogatszych  
Któregoś dnia, widząc młode kobiety, zrozumiałem  
W kostiumach kąpielowych się śmiały, smarowały  
Margaryną pachnącą, głoszącą się, całując się  
Widząc mnie podglądającego, drwiły ze mnie  
Zuzanny w kąpielach obfitych z kwiatami, z winem  
do których nigdy nie pozwoliły mi dołączyć się  
Zrozumiałem, że mogę je skraść w ciemności nocnej  
że mogę skraść te napoje niebiańskie z nich wytłoczone  
bardzo drogie, niedostępne w tanich marketach  
Przygotowałem się do tamtego dnia starannie  
latami oglądając przewodniki po wielkich miastach  
oglądając rozkraczone łona, co tam zamieszkują  
Zapuściłem w mym sercu gęste ziarno bluszczu  
obrosło mnie w środku, zakrywało mój strach  
Wszystko dzięki temu było jeszcze bardziej tajemnicze  
Rugewit wzrastał w domu jaskółek lęgnących się  
Na starym strychu się lęgły, a ja z wysoka spoglądałem  
Tak namacalne były me ofiary przechadzające się  
Wiłem się bardzo blisko terenów mieszkalnych i osiedli  
Pierwsza ma ofiara złożona na ołtarzu była dziewicą  
taka jak ja, na wakacjach z rodzicami odpoczywająca  
Opowiedziała mi to przy szklance gorzkiej lemoniady  
Ona wypila lemoniadę przed tym, jak ją zgwałciłem i zabiłem  
Muszą mi podlegać te wyszarpywania się gołębi ofiarnych  
ofiary jaskółeczek składanych, bym był spokojniejszy raczej  
Nikt nie usłyszał jej wtedy, nawet ja jej nie usłyszałem  
W wielkim uniesieniu mord rozkoszy i nieprzyzwolenia  
Orałem jej ciało gładkie, poczułem się bezkarny w szale  
trzaskając w jej morskie loki młotkiem remontowym  
Zakopałem ją cichutko, uciekłem do swojej skrytki  
Rugewit nadchodził we mnie z hukiem, drżeniem ziemi  
nikt tego nie czuł, tylko ja znałem dziwne wibracje  
Podsyciałem w sobie te pragnienia unhappy endów  
podniecając się tą wielką gromnicą na zigguracie wetkniętą  
Śliskie były ryby wielokolorowe, ciągle na nie polowałem  
Miałem władzę nad ich ławicami parskającymi śmiechem  
Drugi raz udało mi się zabić młodą studentkę prawa karnego  
Zadźgałem jej ciało nożem ostrym, z dalekich krain zdobytym

Trzecia to była sprzedawczyni mięsa i podrobów z okolicy  
Zgwałciłem ją, zatlukłem kijem stalowym w norze lisa  
Strzaskalem jej golonki, noszące jej ciężar na spacer  
Czwarta zabita, dziewczyna w parku z pieskiem lękliwym  
Poleżeliśmy chwilę po miłosnym uniesieniu na trawie  
Choć ona już wtedy wielkimi oczami spoglądała martwo  
na sosny wysokie, zupełnie jak żywa, odpoczywająca  
Piąta była bardziej tłusta, w seksownych dodatkach  
Była prostytutką tanią, dostępną w każdej chwili, nawet tej  
Żywcem zakopałem tę kruszonkę słodką z nadzieniem  
Szóstą gonilem długo, aż me zmęczenie było wielkie  
zdążyłem rozbić jej czaszkę kamieniem, jak goliatce  
Miała być ta siódma, która miała być zwieńczeniem  
Mieć mitologicznych siedem głów niezniszczalnych  
Ja, wielki Rugewit, pan życia najpiękniejszego  
Jednej mi brakowało, by zyskać ten szlif brylantowy  
na ostatnim polowaniu ofiara zbiegła w busz  
okazała się odważną dziewczicą Joanną d'Arc, postępową  
Znała jakieś wschodnie sztuki walki i motywacji  
Nie zdążyłem zdobyć jej białego ciała jeszcze chłopca  
Uciekając przed mą histerią, wydała mnie w ręce policji  
Sprowadziła armię rewolucjonistów, oni nie chcieli boga  
któremu składa się takie drogocenne podarki w święta  
Oskarżyciel wpadł na ślady mej konstrukcji bolesnej  
odkrył te wcześniejsze, zużyte materiały budowlane  
Wszyscy wykrzywiali swe twarze surowe, wyniosłe w ocenie  
gdy oglądaliśmy zdjęcia, ich portrety w ramkach, z wykopalisk  
Jakże się zmieniły od naszego spotkania w leśnych zaułkach  
Jednak brak miłości nie wpływa dobrze, zaniedbują swą urodę  
Prychnąłem śmiechem, widząc ich zdziwienie okrucieństwem  
Rugewit musi składać sobie ofiary, takie jego przeznaczenie  
Gdy wyrok przeczytano, byłem z siebie dumny, zachwycony  
Te tytuły i osiągnięcia małego człowieczka — wiewiórki  
Zostałem skazany na krzesło elektryczne, które sprowadzono  
ze stanu Nebraska, krzesło stalowe, na lekcję niby-dyscypliny  
pożyczone od kolegi, który akurat go nie potrzebował teraz  
Oto krzesło — to mój tron Salomonowy, ma sześć stopni i pół  
W gazetach było me zdjęcie powiększone jak portret papieża  
Przysłali mi księży w różowych podszewkach, w koroneczkach  
katolickiego Anglika, islamskiego pastora, nawet rabina czarnego  
Wobec nich ogłosiłem nową religię, której byłem wyznawcą  
Całe me królestwo rozkoszy mieści się między literą J i A  
Potem było wewnątrz sterylnie niebieskie, chłodne w nastroju  
Troszkę obawiałem się bólu rozkosznego w natłoku  
Za szybą widziałem rozwścieczone twarze rodzin mych ofiar  
Zabrałem ich córy do łoża leśnego i rozgrzebanego, ha

bóstwo wylosowane, teraz odchodzę w obłoku  
w błyskach glorii, w chwale na tronie, ponad słabymi  
Przywiązany, w kapturze czarnym ustawiony król  
Według żelaznych zasad ustawiony do zdjęcia  
Ono rozjaśnić ma boską twarz z mroku  
Przez me ciało przeszły wielkie fale i huki  
Głowa opadła  
lecz poczułem nieśmiertelność  
uzyskaną w dziwny sposób, miałem siedem głów  
znów nieuchwytnie dziki, wielki niebotycznie



zbliżałem się do miejsca mej nowej świątyni  
Czy o tej porze będzie jeszcze otwarty kościół  
poświęcony memu straszliwemu orędownictwu?

## *Pieśń osiemnasta. Siedmiokrotne po- tępienie*

Zostałem zatrzaśnięty w pułapce z ogonem  
którą mógł zbudować ktoś podobny do mnie  
Pułapka siedmiokrotna, indywidualna bardzo  
Jestem gwałcony przez swą siedmiokrotność  
uzyskaną z dużym trudem, z zawzięciem  
Siłą bronię się przed Ich obecnością bliską  
One zawsze wygrywają ze mną w szarpaninie  
wtłaczają w me ściśnięcie jady niespotykane  
uzyskiwane w tajemnych produkcjach korzennych  
Wtłaczając we mnie rzeczy, które są nienazwane  
albo skreślone z nazw i w słoikach skrywane  
Pod fałszywymi nalepkami oszukują, by trwać  
Z rugewita dawnego zostało spuszczone powietrze  
tak go wyolbrzymiało, czyniło widowiskiem  
Lepiący się ze strachu, trwam, czekam, piszcząc  
Milionowe gwałty i morderstwa popełniane są  
na moim drżącym, lichym bycie, dziurawionym  
już nigdy nie zostanie nadmuchany tlenem z płuc  
Nie będzie służył do niecnych zabaw na plaży  
Znów nadchodzą nieme świdry w mą resztkę  
Znów wtłaczać będą w mój lęk jeszcze większy strach  
nie do wyrażenia, niewyśpiewany przez nikogo  
Bluszcz obrastający moje wnętrze został zerwany  
pod spodem nie było prawie nic, tylko piekło  
Dostrzegłem swą słabość, nagość skrzywioną  
Mnogie loki zgubione, tych dziewcząt dawnych  
wielkimi się mi zdają, niszczącymi me skoślawienie  
Jeszcze bardziej, jeszcze bardziej gwałcą mnie  
Nikt nie posłyszyna mego wrzasku, nikt, nawet ja

*zgubione loki*<sup>16</sup>

pijane jesteśmy twym sokiem jaskółczym  
prażonym wielokrotnie z wyselekcjonowanych kwiatostanów  
z przedziwnego moszczu zabarwionego ciemnym cukrem  
na krześle wiszą odwłoki-powłoki, sztuk siedem  
rozciągane, wyciągane, jakoś dużo tego tutaj  
wiele dziwnych jaskółek krąży w tobie  
po asfalcie biegniemy jako kudłate zbroje  
złapiemy cię teraz za świeżo wydepilowane głowy  
teraz boleśnie czuj, czuj, czuwaj

<sup>16</sup>*zgubione loki* — w druku od tego miejsca tekst jest wyrównany do prawej. [przypis edytorski]

# *Pieśń dziewiętnasta. Pieśń terrorystyczna*

*falująca*

Terrorystyczna pieśń rzezi w ustach moich  
powleczonych śliwkowymi kolorami zakazanymi  
Otulona czarnym sukniem religijnym, zapadniętym  
Zakradnę się do ciebie, jak będziesz w ciągłej agonii  
podłożę bombę skonstruowaną w gniewie słuchania  
rozerwie cię na strzępy słów i boleści, bezkrwawo  
Me słowa stoją w prawie równych szeregach, równo  
by atakować stoją w zdaniach zdyscyplinowane  
Zaszczepiłam w nich silną chęć do walki z tobą  
Ta niecierpliwość niszczenia w nich zatopiona  
Pulsują w rytmach i gramatykach niby to spokojnie  
gotowe jednak do fałstartu mściwego, już wyją, już  
Chcą rozproszyć twoje dawne szeregi, falangi skryte  
Uważaj, zaraz oblepią cię, chciwie szukając spełnień  
jak pijawki, które miały być magicznie uleczające  
Ja chowam się za ich zwartymi szeregami  
planuję strategię muzyczno-wojenną  
z falującymi liniami zapisującymi mój gniew  
Takie wielkie widowisko, gdzie wszyscy giną  
w tragiczny sposób na wieki, z medalem rdzawym  
Jak zakopać cię martwym, kneblując pieśni zgaszone?  
Twój głos potrącony niech nie wydobywa się na wierzch  
Ile trzeba węgla brunatnego wsypać w twoją dziurę  
ile węgla ma dostarczyć Polska Spółka Energetyczna  
ile ton gliny trzeba wyłożyć na twój grób domniemany  
by zapomnieć o twoim lamencie w Głuszy?  
Nie dam ci już więcej tej harfy bezstrunnej  
Wszystkie siedem strun zaszarpanych  
nie da się ich już nigdy naprawić  
Czarne jej obramowanie puste  
by rezonans wzmóc  
teraz na tobie się szarpie  
na tobie ta szarpanina, trwa gra  
Słyszę kolejną duszę zniszczoną  
swym nieumykalnieniem zmęczoną  
Wzgardzona wobec, szczyrzy swój dźwięk  
rozdziiera on moją głowę skarłowaciałą, wrytą  
Ból szkicuje we mnie żałosne rysunki wyciągane  
W szkicownikach ciągnę te rysunki kolekcjonera  
Nie usłyszeć tych chórków otepiałych z bólu  
Niestety brodzę w melodiach, brodzę ciężko  
w melodiach, których się nie śpiewa  
w pierwszej osobie liczby pojedynczej  
Nigdy nie powinno się ich śpiewać

# *Pieśń dwudziesta. Lukrecja nuci na bezdechu*

Podnoszę swój głos nisko, za nisko podnoszę znów  
spod czoła gniewnego i zachmurzonego Lukrecji  
noszącej w sobie same trucizny w ustach, w języku  
Ona w sukienkach przewiewnych nosiła paczuszki  
Moja pieśń ma smak fałszywy, trujący śmiertelnie  
Pocałuj mnie namiętnie w usta, a dam ci ich smak sobą  
Spróbuj, zasmakuj tych związków we mnie chemicznych  
Mojej cierpkości wonie zagubione degustuj swobodnie  
Mając dwadzieścia parę lat urodziłam zgniły owoc  
Córka, zakradła się do mego brzucha i tam spała  
Ja wtedy studiowałam medycynę w białym kołnierzu  
Ona przerwała mi swym krzykiem wszystko, me plany  
Urodziłam ją, choć marzyłam o aborcjach kwiecistych  
Całoczerwony potwór, ciągle domagał się mnie bardziej  
Rosa, tak ją nazwała moja matka, ja jej nie chciałam  
nie chciałam jej nazywać, wołać po imieniu do siebie  
Nie przytulałam jej, nie karmiłam, nie patrzyłam na nią  
nienawidząc jej najbardziej na świecie, za tę jej niewinność  
za uzależnienie od Lukrecji zwaną dalej Potężną  
Nie przerwie mi planów jej byt jasny, złożony do łóżeczka  
w te pościelenie, w ubranka dla najmniejszych, tkanych  
Dziecko nie lubiło mej obecności bliskiej i dalekiej  
Unikała mnie, płakała, gdy przychodziłam z pracy, z apteki  
Praca sprzątaczką, wycieraczka po nocach, po nogach  
Miałam być królową, królową cennych skarbów ukrytych  
szmaragdowych buteleczek, odważników miedzianych  
Wracałam do suterenu, gdzie była ona czuwająca  
Spoglądała na mnie coraz rozumniejsza, wiedziała wszystko  
jak bardzo jej nienawidzę, jak bardzo jej nie chcę i nie kocham  
W cichości swego serca wymyśliłam pewnego dnia śmierć  
Zatruję swą córkę najjaśniejszą Rosę, zabierającą mi władzę  
orędującą, taką nieskazitelną, pewną swej obecności  
Zaplanowałam to w szczegółach, obmyśliłam skład  
Znałam się trochę na tych substancjach, na ich brzmieniach  
Postanowiłam wyśpiewać nową pieśń głosem pewnym  
Plan dawał mi energię do życia i radość wielką  
Tego wieczora nie było mej matki stróżującej cierpliwie  
Przygotowałam kaszkę z morelami, z dodatkami skrytymi  
Skradłam je z apteki cichutko, niezauważalnie w nocy  
Nakarmiłam jej twarz, nie chciała jeść mi z rąk  
Wykręcała główkę na boki, nieświadomie się broniąc  
przed nieznanym smakiem matczynej ręki, z dzikimi owocami  
Za mamusię jeszcze pięć, łyżeczkę za mamusię, ta ostatnia  
Umyłam ją pierwszy raz, z pewną dozą uczucia dla odchodzącej  
ceremonialne, tkliwe obmywanie prawie że trupa  
Spoglądała na mnie prawie ciepło, głaszcząc mnie po policzku  
Ułożyłam ją do łóżka i czekałam z niecierpliwością na jej sen  
W głowie plotłam już nowe historie bez dwuletniej córki  
Próbowałam ją budzić, a gdy nie usłyszałam oddechu  
owinęłam małe ciało kocem i zawiozłam na działkę  
Zakopałam ją pod zwiędniętymi porami, z zimna umierającymi

mrucząc kołysanki, uśmiechając się do siebie w nocnej aurze  
W mieszkaniu zaaranżowałam włamanie nieznanego i zniknięcie  
Nie odkryto intrygi skrytej, przez lata córka była poszukiwana  
Pogrążona w fałszywym żalu cieszyłam się spokojem i ciszą  
tylko matka spoglądała czasem tak samo niepewnie  
tak, jak kiedyś spoglądała ona, ten okropny bachor zaginiony  
Już śpij, kochanie, Lukrecja założyła własną firmę kosmetyczną  
o nazwie Rosa, widzisz osiągnęłam sukces rynkowy i medialny  
Zaprawdę powiadam wam, świetna nazwa firmy produkującej róż  
Wysłałam za mąż za chłodnego człowieka, on umiał liczyć  
za człowieka, którego nie kochałam, a on nie kochał mnie  
Nie posiadałam dzieci, Lukrecja się wysterylizowała na zawsze  
W wielkich, chłodnych wnętrzach o różnych odcieniach trwałam  
Odpooczywałam, nakładając tłuste kremy na mój rozkład powolny  
Ostatecznie zginęłam tragicznie, w wypadku samochodowym  
mając niecałe pięćdziesiąt lat i doczekawszy bajecznej fortuny  
W zimowy wieczór jadąc swym luksusowym autem lustrzanym  
wpadłam w poślizg, rozbiłam wóz o drzewo olbrzymie  
Poczułam wielki huk i ból, ostatnie, co zobaczyłam w lusterku  
to były gałęzie tego drzewa, wyglądały jak pory zziębnięte  
takie rosły kiedyś na owej działce, gnijące i martwe już  
od niespodziewanych przymrozków

## *Pieśń dwudziesta pierwsza. Rosetta*

Wywinięta wnętrzem na zewnątrz zobaczyłam się  
Wstyd ogarnął mnie wielki, rozpacz powłóczyła  
Ktoś pytał głosem mej córki Rosy nieumiejącej mówić  
Wystraszyłam się rozpoznania trującego zapachu  
Skurczyłam się w historii, w wywyższeniu swoim  
Drzwi piekła się zatrzasnęły za mną z hukami ciężaru  
Zobaczyłam na ich odwrotnej stronie narysowane koło  
To była rosetta  
Witraż wybity przeze mnie w kształcie kwiatu umarłego  
Zostałam wtłoczona siłą w najmniejszy detal tej układanki  
Skazałam się na ciągle podzielenie się, ściśnięcie jednocześnie  
Wszystkie te ramki ołowiane pełne były goryczy ściętej  
po tym, co się mogło kiedyś stać, a się nie stało przez kolec skryty  
Nie było żadnego prześwitu, okno dekoracyjne na mrok  
tylko mrok się w nim odbijał pojedynczym kolorem moim  
Zgnieciona do nawetniemilimetrów  
byłam fragmentem rysunku potępionego w katedrze ciemnej  
Odwrócona katedra iglicami w nas wpięta, ból perfekcyjny  
Mogę myśleć tylko o niej, inne myśli zostały mi podcięte  
Nie mogę odwrócić oczu, tylko szczegółowo trwam w śmierci  
Tylko ja wypełniam jedno pole tej konstrukcji, reszta jest pusta  
Nigdy ich nie wypełnię żadnym niedostępnym mi lekarstwem  
ukradzionym od boga lub z apteczki diabła najniższego  
W pustych polach dookoła czuję obecność Innych, płasających  
Ustawiają miliony luster, bym się sama wciąż potępiła  
Te lustra płatkami błyszczą we mnie, mój płacz nade mną  
a one śmieją się jej głosem i mają jej echa w sobie, odbicia  
Śpiewają pieśni tortury; skonstruowane przez Lukrecja™  
wielce szanowna i potężna w swej figurze z pęknięciem

*głosem Rosy*<sup>17</sup>

piękna jest ta róża w ciemności hodowana  
w piwnicach przechowywana wraz z zimnymi włosami porów  
oto działka, hodowla amatorska warzyw umarłych  
oto grządki rozkopane równomiernie i cicho, by nie słyszano  
ten kwiat podziemny, podlewamy rosą bolesną  
nie stępił się jego przepiękny widok, nastrój w tobie  
patrz na nas, na lustra wszystko widzące ostro, dostrzegające  
wyolbrzymiają teraz twą rozpacz, smutek skulony w miazdze  
stałaś się nieważnym kawałkiem, którego śmierć obwieszczamy  
psujesz całą kompozycję, jej urok, ciągle odrzucaną za smak  
nakarmimy cię papkami, których jeszcze nie znasz w boleści  
specjalizujemy się w tym tajnym ziołolecznictwie od wieków  
przez wieczność trucizna w tobie będzie nabrzmiewać  
lecz nigdy tego segmentu nie rozsadzi, nie uwolni cię  
no, to nasza ukochana lukrecjo, może jeszcze jedną łyżeczkę  
za córeczkę

## *Pieśń dwudziesta druga. Czwarta pieśń wojenna gratis*

To dostaniesz ode mnie za karę  
czwarta pieśń wojenna gratis  
z gałęziami ciernia i stroikami  
Są one z dawna przeklęte, suszone  
Przykleję ci tę pieśń niezgrabnie  
taśmą klejącą owiążę, dołożę ją  
do całości jako upominek drobny  
byś ją zaniósł i przechowywał  
położył ją w jakiś starych szafkach  
Wraz z innymi pieśniami zabierz ją  
Tu słowa są ostre, raniące wokół  
Nie na sprzedaż, ale za darmo dostarczę  
pod wasze dobrze ocieplone domy  
Lukrecja włożona w ramkę dekoracyjną  
milknie w latyfundiach odziedziczonych  
A przede mną już ćwiczy swe solówki  
bogini wojny upadła, pokaleczona mocno  
Pewnie to ona zaśpiewa w dzisiejszy wieczór  
Uszy podkulają się z nienawiści do nowego  
więc szykuję nową pieśń wojenną  
śpiewa się ją przed bitwą krwawą  
kiedy ciemnieją nasze oblicza, skrywane  
pod tarczami jak parasolami  
przed świtaniem schowani w swych ciałach  
Taka pieśń jest dobra, gdy gorączka wielka  
gdy wszystkie noże wpychają się same  
do naszych rąk gniewnych i zaciśniętych  
by się oklepywać mocno, do złamań wielu  
Po bokach kruszyć twarde krawędzie wroga  
do akompaniamentu potrzebujemy lęku

<sup>17</sup>*głosem Rosy* — w druku dalsza część tekstu jest wyrównana do prawej. [przypis edytorski]

i huków, i armat największych z dziurami  
w które wkłada się bomby rozrywające  
cały świat i niebo spokojne przedzielające na poły  
Teraz ściągajmy te kominiarki terrorystyczne  
maseczki upiększające nas w walce z tobą  
Jakże piękne są dziś te dziwne barwy wojenne  
Pokażmy swe nierozpoznawalności ciemne  
niech ujrzą kolejną twarz nieludzką prawie  
Pokażmy swe oblicza wyniosłe, wszystkim  
Zło jest gratis do niebiańskich smakołyków  
tylko tak to jest zapakowane i przemycane

## *Pieśń dwudziesta trzecia. Badb Catha kracze*

Krótkie włosy zachodzą mi na oczy  
nie widzę nic prócz ich ostrych końców  
Badb Catha wspaniała, groźna niezwykle  
kracze w dalekich krainach nieznanych  
Wykształcona w dobrej rodzinie przyzwoitych  
Pani kruk, panienska z dziwnym spojrzeniem  
Studiowałam fotografię z ocenami celującymi  
Lubiłam fotografować w czerni-bieli reportaże  
Potem młodzieńka, pachnąca wyjechałam do Afryki  
dokumentować narastającą tam wojnę diamentową  
Dzięki dostępnym mi stale pieniądзом żyłam dobrze  
Poznałam go na wytwornym, cukrowym przyjęciu  
tamtejszego króla plemienia morderczego, węzowego  
Zaoferował mi wielkie złoże kokainy i wina  
Zostaliśmy przyjaciółmi, szanował mnie jak siostrę  
spoglądał w me zaczerwione, przekontrastowane oczy  
Mówił, że widzi w nich śmierć, którą on kocha  
Podczas jednego z seansów, gdy oblepieni złotem  
bielusieńkie, magiczne mączki z puzderek  
wpadliśmy razem na zły pomysł, przekrzykując się  
Może podał go nam równocześnie jakiś demon  
ta nasza wspólna zgoda, jedynomyślność wtedy  
Wiedział on od dawna, że lubię fotografować śmierć  
niby to przypadkową, to zwierząt, to kwiatów dzikich  
Zajmował się narkotykami oraz ich dystrybucją  
był właścicielem paru magazynów z słodyczami  
miał też żelazną czwórkę zajmującą się zabijaniem  
Śmierć drobnych narkomanów, zbyt głośne prostytutki  
rodziny konkurencyjnych handlarzy i niecni klienci  
wioski nie współpracujące z nim, na śmierć skazane  
Ustanowiliśmy układ, utkwiał on w nas, mocno związał  
On mi pozwalał robić zdjęcia tym zamordowanym  
w których jeszcze życie się tli, bym mogła oglądać  
napawając się widokiem ich odchodzenia i cierpienia  
Tę noc spędziłam z Tym, co dał mi władzę oglądania  
W mych nozdrzach już czułam wielką tajemnicę  
Me podniecenie, me drżenie było wielkie, niezwykle  
Pierwszy raz zdarzyło się to w niedalekim porcie

podczas przeładunku miał być usunięty jeden oszust  
Jechałam w samochodzie, prawie frunęłam jak kruk  
zobaczyć ciepłe pole bitwy, napawać się widokiem  
Strzelanina była krótka, wyszłam, spoglądając na niego  
Błagał mnie o litość i ratunek, powoli i dostojnie  
ustawiłam aparat, zaczęłam go fotografować cicho  
Modlił się chyba, zasłaniał się przed moim uśmiechem  
Podniecenie ogarnęło mnie wielkie, bo Oto Jestem  
Bogini wojny syci swe kontrasty w skali szarości  
jak walczy się ze śmiercią, jak śmiesznie się ucieka  
Innym razem mój ukochany postanowił wybić wioskę  
Pojechałam wraz z nimi, czekałam w furgonetce  
aż zakończą przygotowania do mej uczyty wieczornej  
Krzyki kobiet, wrzaski dzieci i męskie płaczliwe głosy  
podniecały mnie do tego stopnia, że cała piałam  
Nie byłam w stanie zapanować nad euforią  
uśmiechem mego wielkiego spełnienia i radości  
Gdy już otworzyli drzwiczki, kaci całowali mnie po rękach  
Nikt się przede mną nie schroni, zabiorę jego duszę  
do mych skrzynek czarnych i tajemniczo zamykanych  
W fotografiach pozowali zmuszeni do ostatniego uśmiechu  
Widziałam te twarze popaprane, anatomiczne konstrukcje  
Dzieci skulone, wyciągające dłonie do skrzydeł kruka  
Kroczyłam między ich ciałami, ja, królowa ich umierania  
Jakże dziwne kwiaty pokrywają tę łąkę, jakże dziwne pole?  
Setek zdjęć, ujęć z różnych śmierci i cierpień wielu  
Me suknie w czarnej krwi umoczone jak opłatek łamany  
Mogłabym ratować ich przed odchodzeniem, tamować  
ich krwotoki, sklejać tętnice przerwane w jednej chwili  
ale białe oblicze wyniosłe unosiło się nad nimi  
Tylko na pamiątkę zachowywałam ich wizerunki, portrety  
portrety trumienne nieznanymi żołnierzami, cichymi rodzinami  
W zielonej, soczystej wilgocią dżungli schowana śmierć  
której i tak nikt nie zauważy, nie osądzi, bezkarne me hobby  
Król koki sprowadził mi nawet chłopca umiającego wywoływać  
zdjęcia w żółtych kuwetach, suszył je na ciepłym powietrzu  
Wisiały te zdjęcia na sznurkach jak prania, drżały na wietrze  
Zefir muskał je, kołysał te wizerunki, co litości nie doznały  
Mój techniczny wkrótce sam się powiesił na tych sznurkach  
Na którejś z fotografii rozpoznał swe dziecko i żonę dawną  
Wisiał wraz z tymi zdjęciami, kołysał się na ciepłym wietrze  
Nadużywałam słodkich narkotyków, pod rękami je nosząc  
Zwycięska w czarnych sukniach u królów afrykańskich  
Sprzedawaliśmy im najlepsze wyroby cukiernicze w okolicy  
wraz z bronią do wojen krwawych i potępiających rzesze  
Nad czarnymi łepkami płynęła biała królowa, język maczająca  
przygryzając z podniecenia do krwi oczy zachodzące mgłą  
na wspaniałych wypoczynkach sprowadzanych z mediolanów  
Mój wielki król zawsze prosił mnie o podjęcie decyzji  
strategiczne było me krakanie głodne śmierci i krwi  
Opowiadałam mu często, jak odchodzą jego wrogowie  
Pokazywałam mu zdjęcia dawnych niepodporządkowanych  
Śmiałyśmy się wtedy, pijąc szampan wyborny, kochając się  
na tych zdjęciach, jak na niebie czerwonym bóstwa razem  
a ludy prymitywne odczytują to z konstelacji gwiazd  
Mordowaliśmy wzajemnie swych kochanków z dziczy

przygodnych, obustronnych, śmiejąc się, ćpając  
Biała jak kokaina królowa nocy rozkoszą i towarzyszem  
Miałam parę tysięcy zdjęć z różnymi trupami pozującymi  
w ekstazach cierpienia, bólu zatrzymanego na papierze  
Śmierć zdarzyła się porą deszczową, gdy odpoczywaliśmy  
po nocnych eskapadach na dachach świata bezkarnego  
Do naszego pilnie obserwowanego pałacu wjechała armia  
Byli wśród nich zbójcy wyszkoleni do przerywania uczt  
W pałacu wszyscy zostali zastrzeleni, nawet psy w ogrodzie  
Gdy wtargnęli do sypialni byłam nieprzytomna, naga  
Podszedł do mnie sędzia, strzelając z hebanowego pistoletu  
w głowę jasną, całą w lokach z dawna zapętlonych w kołtuny  
Zdążyłam usłyszeć tylko krzyk zdziwienia króla mego  
Eksplozje naboju w mej głowie zapukały krzykiem  
Leżałam jeszcze chwilę na polu bitwy, słysząc swój ból  
napęlniając się obficie krwią, dławiąc się nią histerycznie  
Me oczy zamarły i odzyskałam świadomość, znów byłam  
Poczułam wielką moc, mój lot kruka znów był uwolniony  
Poczułam obecność innego boga niedaleko stąd za rogami  
Uciekłam od niego jak najdalej, moje spojrzenie było przesyczone  
Uciekłam do jakiegoś ciernistego gniazda  
gorycz się w nim lęgnie na wiosnę  
Rozbiłam się o bramę, na której rozpoznałam dawne wizerunki  
dawnej świetności, boskości nurkującej w bólu  
Pióropusz został mi zabrany, nagość też została zabrana  
Badb Catha, kiedyś nasycająca się widokiem bitwy  
ucięte ma skrzydła i dziób, i wszystko ucięte  
jestem kadrowana  
skadrowana idealnie  
do ostatniej fotografii

## *Pieśń dwudziesta czwarta. Zbyt ostre zdjęcie*

Przechodząc między słabymi ciałami  
śpiewającymi pod markowymi sandałami  
byłam krukiem, na którego się nie poluje  
Me piekło jednostajne, tupoczące cicho  
Zostałam pouciana, me gałęzie szerokie  
bym się zmieściła, musiałam być ciosana  
Jestem zbyt ostrą fotografią z błędem  
Na tym zdjęciu widzę się jaśniejącą jeszcze  
za mną stada ich głosów, podążają za mną  
na fotografii, na matrycy nieskończonej  
takich drobiazgów nigdy nie znajdziesz  
Diabelsko ostre linie i kształty skarżące  
jęczą oralnie, te szczegółowe opisy techniczne  
w scałkowaniach grzechów perfekcyjne  
One przesiadują na wiecznej ławie oskarżycieli  
która z samych czarnych konturów się składa  
Mówią one o afrykańskich odmianach śmierci  
Treny wyśpiewują, wskazując mnie w gniewie



One są dla dawnej badb catha strachami na polu  
oblekane najbardziej niegodziwymi materiałami  
budującymi je, dającymi im siłę straszenia potworów  
Chciałabym od nich uciec na dawnych skrzydłach  
lecz jestem w nie wciśnięta, do nich przypięta  
One mnie teraz określają, nazywają powtórnie  
wołają do mnie po moim grzechu, on został  
na zdjęciach w całych seriach miliardy, miliony  
w każdym z nich jestem uchwycona i trupia  
na każdej z nich pozostaje jeden błąd techniczny  
efekt czerwonych moich oczu na każdym zdjęciu  
Krwią zachodzą, a nie łzami litości nad obitymi  
barwi się karminem moja ślepotą nabyta, barwi się

*kontury wpisane w badb catha*

owłosione kontury z pióropuszcami, nie zwilżone łojem żadnym  
jesteśmy w tobie dodatkowo, to takie najnowsze opcje techniczne  
obiektyw panoramiczny, czy widzisz, rozrywamy cię jak akordeon  
dopasujesz się do wszystkich nieznanych nawet nam możliwości  
przysłona jest całkowita, raczej nokturnowe będzie to ujęcie  
na nasz tort urodzinowy z gromnicami, co je zdmuchniemy  
owłosione kontury rysunkowe drażnimy w powiększeniach  
mnożymy się bez ustanku w swej nieskończonej pasji obwiniania  
płynąc w tobie i przez ciebie, rozbłyskując w twojej ciemności fleszami

## *Pieśń dwudziesta piąta. Pieśń za- kamuflowana*

Wygrzebuję się z siebie, otrzepując się z lepkich resztek  
Przyjaciółko, całujemy się więc do nienawiści zmuszone  
przeżalone sobą nawzajem, raczej chętne do bójki krwawej  
Wspólne zetknięcie jest bardzo bolesne i nienamięte  
już żadnych rozkosznych ogonów przydługich grzechów  
Niszczymy się podskórnie, drażnimy swe rany  
Zjem ci policzek, kawałek szyi być może pogryzę, żując  
Będę płuć już tym twoim mięsem, co zaczęło pracować  
Ty będziesz mnie ranić błyskami twych głębokich otworów  
Teraz niestety muszę cię zabić, mój pierwszy raz zabijam cię  
Proszę, rozepnij tę koszulę utkaną przez jedwabniki ślepe  
przymknij oczy, jak to robią młodzi chłopcy kradnący jabłka  
niedoświadczeni w śmierci za karę przymrużają oczy z lęku  
Two usta jak ich, jeszcze pełne antonówek tegorocznych  
Wyj, teraz do mnie wyj, do kata, wykrzyw się jeszcze bardziej  
Zapomnijmy o dawnych pokrewieństwach płci, skóry i żył  
Ja też jestem gotowa na twoje ciosy, tylko poniżej łona zbijanie  
Słyszę już twego brata nadchodzącego, niszczącego okolice  
Czy możesz zasłonić swymi kruczymi rękami jego głos?  
Uroda twa zniknęła, więc sypię zakamuflowanymi gwiazdami  
Zakamuflowanymi gwiazdami prosto w brzuch trafiam, ciskając  
Bez litości dla ciebie, będę się uśmiechać, aż rozgniotę cię pieśnią  
pieśnią zakamuflowaną, będę strzelać słowami w jasne twe loki  
Niemożliwe? To się jeszcze przekonasz, jak wielką moc ma kamuflaż

Za fasadą ze słów ukryte są wielkie arsenały, potęgi nieodgadnione  
Rozpinaj swą bluzkę i przymykaj oczy z bólu, umieraj ciągle  
Będę cię nienawidzić tak mocno, nawet śmierć nas nie rozłączy  
Tak mi dopomóż piekło, wszyscy potępieni świadkowie ceremonii  
zdjęcia z tej uroczystości będą na końcu, po wszystkich  
gdy będziemy pozować do wspólnych portretów trumiennych

## *Pieśń dwudziesta szósta. Set Seta*

Zagrzmiecie w trąby odwrócone, zostałem ukoronowany  
Gronostaje łaszą się, kłaniają się zgruchotanymi ciałkami  
Tak się powinno władcy cześć oddawać, skłonami  
Zasłaniając twarze przed moim obliczem Najwyższego  
Chorągwie szykujcie, flagi ze wstęgami, twórcie pochody  
śpiewając hymny ku fortunie, która ma fikcyjną nałożnicą  
Rogi obfitości wypełnione słowami, udają one owoce  
Grajcie, śpiewajcie piosenki przymuszone siłą i złotem  
siłą i złotem wygięte ich słowa, melodie, modlitwy głośne  
Z pochodzenia jestem Set, z rodu wielkich generałów  
Ojciec spoglądał na moje ślinienie się astmatyczne ze wzdrganiem  
Od dziecka byłem przygotowany do bycia kimś niezwykłym  
służyłem w wojsku, tam zabijałem, pojedynczo, proszę  
Nauczyłem się manipulować gęstwiną pokrak w kombinezonach  
już wtedy byłem oszustem błogosławionym, wywyższonym  
Set kradł im dusze, sprzedawał taniej, niż kupił na giełdach  
Rysowały się już utopie podpawniczone jeszcze uczuciami  
lecz z czasem te podziemia wilgotne zostały zasypane pyłem  
Przyszła wojna, jej postać, suknia w najsilniejsze wzory  
Wyciąga się do mnie, prowokuje mnie pod sklepem z alkoholem  
Oszołomiony jej hałasem mianowałem się Głównym Konstrukтором  
Zacząłem wydawać pierwsze rozkazy i niszczyć swych wrogów  
we wnętrzości ich ingerując, implikując im nowe funkcje  
dla nich mój jad wcierany, by być nieuchwytnym w walce, śliskim  
Rozdawany przeze mnie chleb z ziarnami nabożów, z musli  
Wielkie szkoły przyuczające przedszkolaków do walki wręcz  
Ich czarne usta od zjadanego atramentu straszyły się wzajemnie  
Przepływała przeze mnie świadomość władzy, przyszłe królowanie  
Zacząłem zszywać sobie nowe płaszcze, nowe miecze wykuwać  
Zostałem wrysowany do atlasu dzikich zwierząt występujących  
Litość — gangreną zdrowia kolosów i nowych olbrzymów  
Straszyłem grupy płochliwe pochowane w norach przede mną  
Wydawałem rozkazy zabójstw mych przeciwników i przyjaciół  
rozkazy zabójstw w ilościach hurtowych, nie detalicznych  
Uniform skrywał wielkie tajemnice, wygniecione i spocone  
tatuowałem się mapami, których nikt nie potrafił rozczytać  
Przygodne kochanki ginęły przerażone widokiem mych planów  
daty, miejsca na przegubach, ostateczne rozwiązania pod ręką  
Pornograficzne zespolecie i pozycje wykorzystywania śmierci  
nie nazywajmy tego nawet tańcem, to ja prowadzę ją na parkiet  
Przeciwnicy znikali podczas wycieczek szkolnych w lasach  
Set we mnie wzrastał, coraz silniejszy przeżył się dniami, nocami  
Zmieniało się moje oblicze na coraz surowsze, kamienne w dotyku  
Taki był ze mnie nowoczesny faraon, wielki złodziej w nocy śniący  
Dokumenty zawierały coraz dłuższe listy do rozstrzelania

ich podpisywanie, charakter pisma, ciężar ostatniej pieczęci  
Nacisk mej dłoni na papier czerpany ze skóry i włosów z kwiatami  
Armia coraz głodniejsza, bardziej wściekła podbijała dalekie krainy  
Pochody na moją cześć wydłużały się, wzbogacane były w pieśni  
W usta wpływały miody pozyskiwane z uzurpacji pszczelarzy  
Złoto sklejało mi palce i lutowało me dziury w słabych zębach  
Pszenny brzuch pęczniał i coraz bardziej gniewny byłem  
Z wielką zapalczywością paliłem świątynie dawnych bóstw  
Ołtarze ich roztrzaskiwałem, ciąłem w bloki kamienne dla Seta  
Gdzież są one milczące i zamyślane, niech zejda i toczą spór  
Niech schodzą z krzyżów, niech z komór gazowych się uwalniają  
Niech wybiegają w panice z kolorowych glorii, co je otaczają  
Zostawcie swe hula-hoopy mieniące się tęczami, bijcie się ze mną  
Statuy wasze przerabiałem na swoje pomniki zalewane kwiatami  
kadzidłami różnymi ubłagiwany jestem, jestem tym złotym cielcem  
z fałszywymi wymionami, mleka nie wydadzą ni bogactwa nikomu  
Mój wzrok pada właśnie na ciebie, czy czujesz jego szorstką surowość?  
Padaj na kolana podcięte przeze mnie, wołaj, wołaj do nowego boga  
Set obwieszcza swe imię, które jest już złą nowiną nazywane  
na wszystkich odrzwiach, na wszystkich powypisywane  
Wielkie strategie gniecienia ludzkich ciał wobec innych  
Wybrałem sobie dobrze wroga nazwałem go, dla nich  
Nie potrafiłem i nie chciałem z nikim się dzielić władzą  
Jabłka władzy zachłannie jadłem, nie pozostawiając nic  
Nawet ogryzek nie został z niewidocznym mym zgryzem  
po którym można się zorientować, że jestem ludzki i zły  
Pęczniały me złowrogie usta zapalczywe, cyniczne  
Oni słuchali i gotowali się, by zanieść innym śmierć  
Śmierć przysyłana, jeszcze tego samego dnia ją dostaniesz  
nie musisz się niecierpliwić, na pewno ją dostaniesz od nich  
Otczałem się wokół dziećmi, można je ścinać bukietami  
z ich ściętych łodyg ambrozja, nektar bez dodatku cukru  
otoczony szczelnie, wyciągałem swe dłonie do nich  
głaskałem po jasnych głowach i karcilem za brak dyscypliny  
pouczałem ich właściwie, opowiadając przypowieści o sile  
Me podium liczyło tysiące pilastrów zawiniętych w sobie  
Tylko ja wygrażający niebu i skarżący je za zbyt jasne noce  
za zbyt trzeźwe poranki po bitwach  
Nad małymi, skarłowaciałymi pochodami widnieję rozciągnięty  
Ochroniała mnie gwardia milczących, mroźnych morszczuków  
która często się zjadała wzajemnie, zachowując dynamikę nocy  
Wielokrotnie próbowano mnie zabić eksplozjami komet  
Pewna trajektoria meteorytu zawarła się we mnie, zahaczając  
Przejeżdżałem swym wozem, gdy wpadliśmy w zasadzkę  
Widziałem twarz młodego chłopca celującego, zdenerwowanego  
ledwo utrzymywał karabin, rozdawany za darmo na pochodach  
Strzelił mi w twarz zupełnie amatorsko, celując za 10 punktów  
Rozerwało się me oblicze niepoświęcone, krwawe relikwie  
Żołnierze zastrzelili go szybko, próbowali ratować wodza  
tamować mą krew, która uwolniona z użyłnienia kipiała  
Umierałem może pięć minut, skuwany mój wizerunek  
tłuczony mój pomnik, moja statua 700-metrowa zniszczona  
tak można zabić boga ze złotą twarzą Seta na polnej drodze  
Ukryłem tętniące ranami oblicze w tkaninach, dłoniach  
Odchodziłem od swojego ciała jakoś tak daleko, niespokojnie  
Usłyszałem ryk, przyrost wielki mej drobnej figurki

Lustrzane drzwi do piekła zwabiły mnie swym odbiciem  
Czerwone dywany witały Seta, w tle słyszałem ich głosy  
kłaniające się nisko, uznające mą zwierzchność nad nimi

Jednak gdy bramy się zamknęły, zrozumiałem ich odwrócenie  
łowiły mnie z dna i pożerały moje resztki, śpiewając hucznie

## *Pieśń dwudziesta siódma. Nowy Pochód*

Wydlubano mnie z wielkich pomników, z głuchych muszli  
Zrośnięty z ich masami zostałem ostrym nożem wyluskany  
Ogołocenie wielkie, obdarcie boleśniejsze i ciężarne  
wokół mnie zaczął się nowy pochód potępienia  
z daleka usłyszałem te odgłosy, zobaczyłem je w sobie  
jak przenikają mnie warstwami, jak gnieżdżą się w mym z biciu  
Na miliony części zostałem podzielony, każda intensywna  
Byłem niesiony w Ich kwiatach, w Ich ustach me kawałki  
na butach przyklejony, pod paznokciami Ich, we włosach  
Rozszarpanie zwiększyło się bardzo, zostałem rozdany na talerze  
słowa i dźwięki, obrazy w pochodzie płynącym przez me żyły  
w ciągłym, nigdy nie męczącym się sznurze silnym, zwartym  
Uszyte mieli ze mnie swe falbany świadczące o ich potępieniach  
Ze mnie mieli szyte flagi, proporce młodzieżowe dygoczące z lęku  
Krzyczą do mnie, śpiewają ochryple ze złości, chcą mnie zabić  
jak mnie spotkają w jakimś sklepie z nabiałem, to wpełzną mnie  
wpełzną mnie do tysiąca jogurtów z trującym wsadem z jeżyn  
Może ci się trafi spróbować mnie, może trafisz akurat na mnie  
Wpychają mnie do najbardziej bolesnych zakamarków, w dziury  
Wciskają mnie do kretowisk ślepych, które skrywają w sobie coś  
Potwory te nie mają żadnych portretów ni wizerunków, ni imion  
nie pojawili się jeszcze fundatorzy zamawiający takie portrety  
raczej nikt obrazów ich nie uczyni, z lęku przed takimi paletami  
Teraz śpiewam jako kawałek najslabszy, zdolny do pogłosu  
Lękam się wszędzie, gdziekolwiek mnie niosą One — łapczywe  
Moje Greatest hits ciągle na listach przebojów w bibliotekach  
Me portrety w piwnicach czekają jeszcze na ponowne odkrycie  
Nieskończona możliwość dzielenia jednego, w gorączce mojej  
Pochody pełne gimnastyki artystycznej, rozciągania mnie  
Jestem chrząstką łączącą ich kości strzaskane i skarłowaciałe  
Wykonywany pochód przez zawodowe wizerunki chybotliwe  
Na podobieństwo moje, na obraz mój czynione morszczuki  
w zalewach octowych zawijane, wokół mnie owinięte

*usłyszany fragment pieśni z pochodu na cześć seta*

gdzie się skrywasz przed kwiatami z krepiny, o królu wojny  
w jakiej gęstwinie map zjełczałych, zaginiony wśród nas kompan  
każdy z nas ma dla ciebie laurkę z dedykacją osobistą i wierszem  
chcemy cię teraz wydrapywać, pozyskiwać z rudy miedzi twoje imię  
formy do odlewania wydrążone tak głęboko, że nic ich nie wypełni  
set wyciąga swe gardło na wierzch z bólu przemówienia wydrążonego  
które kieruje, jako zawsze ostatnie słowa, do oprawców w łuskach  
oj, czarne i głębokie są paszcze morszcuków, które chwytają cię

bawią się w wojnę, taką udawaną, tanią w ciągłym utrzymywaniu jej  
i udają w tej wojnie, że jesteś królem setem, który ciągle ginie na końcu

## *Pieśń dwudziesta ósma. Antypieta*

*Bruna śpiewa*

Wycieram tobą się, podcieram się tobą poprzecznie  
Swą strzaskaną głowę na mych kolanach ulóż  
Resztę o tobie będę musiała sobie wyobrazić  
to tylko półtusza, półdusza, ćwierć wygięta leży  
Leżysz, o mój adoptowany wrogu, w mym zgnieceniu  
w poprzek ułożony, wijący się, cały w lęku skąpany  
Na kamiennej twarzy rysuje się wielka wzgarda  
Nienawidzę twego umierania i tego, że inni umierają  
umierają za ciebie, za twoje imię, wyznawcy władzy  
przelewając cudzą krew, dają ci ofiary na ołtarzach  
na stołach potępionych i prowizorycznie stawianych  
Leżysz mi na kolanach, konając i bluźniąc wyraźnie  
Połamane kości wrzucone na mą suknię potarganą  
mogę z nich teraz wróżyć, układają się w rebus  
Król wojny na moim łonie wygnieciony spoczywa  
Wychudzone, sine dłonie wbijam, zaciskam  
byś trzeszczał i chrzęścił, i odsuwał wzrok z bólu  
w mym cmentarnym łonie poprzecznie ułożony  
Wyrzwasz się, bo nie chcesz tej kary ode mnie  
To taki prezent dla mnie, że mogę teraz patrzeć  
choć me oblicze skrzywione wepchnięciami  
Oświeceni cieniem takim, nic go nie może dać  
układamy się w kompozycje razem wygięci  
gwałceni przez wzajemną bliskość i oddalenie  
Długie włosy Bruny włożą ci do ust ślepych  
ich falowanie powoduje twą sprofanowaną śmierć  
żaden konserwator nie uratuje naszej antypiety  
nie ma takich środków chemicznych  
przerywających  
proces wzajemnego niszczenia dwóch figur  
do jednej pieśni zmuszonych, wepchniętych niedbale  
w siebie

## *Pieśń dwudziesta dziewiąta. Fenrir schowany śpiewa*

Czy mogę się dołączyć do tej grupy rzeźbionej?  
Będę w tle, jako cherubin nadmiernie owłosiony  
Wzbogacę ten układ nierytmiczny ślinotokiem mym  
Zawsze ten dodatkowy aspekt i tajemnicę zawrę  
byście tym bardziej byli zagubieni w szelestach  
Wysiewam wam nowe słowa, które będą suszone  
przechowywane na piecach kaflowych z boku  
Pełzną do ciebie jako Fenrir wzywany przez siebie

Schowane jest wszystko we mnie, pod plandekami  
pozwiązywane, nigdy przedtem nierozłożone  
Podzespoły przewożone, niepołączone w całość  
tajnie przechowywane, nocami przenoszone w dal  
Choć nigdy nie byłem autorem śmiertcionośnym  
w głowie torturowałem stada tłuszciochów pączowych  
często przymykałem oczy, bym zaspy trupie widział  
Zbierałem do mojej duszy wszelkie niegodziwości  
Oto ja, nowy misjonarz, nowy Fenrir zmartwstańczy  
unicestwię cię językiem, przykrościami nadziewanymi  
unieszczęśliwię cię sobą słownie sto tysięcy razy  
Fenrir mieszka w wynajmowanym wiecznie pokoju  
jego głównym zadaniem jest niszczenie dookoła  
Pulchne, różowe twarze niszczone są przeze mnie  
Autor scenariuszów tragicznych objawiony wam  
z misternie planowaną intrygą zaskakującą zawsze  
To ja dobieram odpowiednie role płaczące aktorów  
Płaczę ich kwestie narzucone tak, że się łamią  
wpadają w depresje harmoniczne, leczą się mną  
wpycham w nich mój jad w kształcie drogowskazów  
po to, by na wieki zaginęli w odstępach leśnych  
przywiązani przez siebie do drzew przy drogach

Jako drugie dziecko chłodnych rodziców tliłem się  
Od początku, od kiedy pamiętam jedyne uczucie  
nienawiść do wszystkiego dobrego  
Cynicznie wykorzystywałem osoby bliskoznaczne  
szybko zostałem z domu wyrzucony bezpowrotnie  
Pracując w teatrze jako sztukmistrz reperujący  
dorabiałem nowe elementy ze starych scenografii  
manipulowałem ich starymi znaczeniami w nowych  
w nowych premierach występowały historie dawne  
Bardzo skomplikowaną i wyrafinowaną grę tworzyłem  
Stół, na którym zapija się bohater, przerabiałem na kołyski  
szubienicę zamieniałem na krzyże, a je na deski wychodka  
Nikt mnie nie lubił, ale byłem bardzo oszczędny w pracy  
potrafiłem detali używać setki razy, modulując, klejąc  
Pozwalałem sobie z czasem na manipulacje aktorami  
Przynosiłem im fałszywe informacje na patenach  
oni wsyali je nieświadomie ode mnie, padali ofiarami  
Ofiary nowego scenariusza, co ma ciemny grzbiet  
W głównych rolach u mnie grały niegodziwości  
Niektórzy wpadali w alkoholizm, inni się rozwodzili  
aktorka odeszła na leczenie psychiatryczne na zawsze  
Wtedy poznałem dziewczynę, posiąść ją chciałem siłą  
Ona bała się mojego oblicza pełnego złości malowanej  
uciekała ode mnie pełna hysterii, nerwowości jakiejś  
Nauczyłem się ją tak nienawidzić, jak nikogo wcześniej  
myśląc o niej, spijałem leki uodporniające mnie na nią  
gdy cały szerniałem z gniewu w sobie, byłem gotów  
Ona była śmiertelnie zakochana w jakimś jasnookim  
Uknułem misternie tę historię tak, że ona nie wiedziała  
Przez listy, przez przypadkowe rozmowy i oszczerstwa  
powoli, konsekwentnie, przez dwa lata mych strategii  
doprowadziłem ją do samobójstwa w zapomnieniu  
Ma księżniczka nawet nie wiedziała, jaką rolę zagrała  
na pewno by dostała masę głównych nagród za grę

Złoto za rolę pierwszoplanową u takiego reżysera jak ja  
Drugoplanową rolę teraz miał zagrać mój brat rodzony  
który zawsze był do mnie porównywany jako lepszy  
Pewien czas mieszkał u mnie, miał kryzys z żoną  
Przez tygodnie szczepiłem go nienawiścią i gniewem  
ostatecznie zrezygnował z pracy, zaczął pić dużo  
Widziałem, jak leżał zarzygany pod moimi drzwiami  
prosił mnie o radę i wskazówki, o didaskalia  
Staralem się jak mogłem operować go amatorsko  
Zgodnie z przewidywaniami, planami, zabił żonę  
w szale, w zazdrości wpadł do domu i udusił ją  
tak jak mu to wcześniej ktoś szeptał do ucha, ktoś  
Oskarżony o zabójstwo został skazany na 15 lat  
Jego więc odłożyłem do mych zapasów na zimę  
gdy wyszedł, nie zapomniałem o nim, zapił się  
Tak mój byt niewidoczny, acz nadrzędny trwał  
Doczekałem późnej, samotnej, dobrej starości  
Na półkach mej biblioteki stały scenariusze  
zwijały się ich strony z bólu, do brzuchów zwijane  
Imionami je nazywałem, rozpoznając w nocy  
Czytałem te albumy ze zdjęciami, podziwiając się  
Fenrir skryty, Fenrir szary, już nie zapomnisz mnie  
Do końca zachowałem wielką trzeźwość umysłu  
Niewłaściwe narządy w niewłaściwych funkcjach  
w trakcie operacji woreczka żółciowego, burego  
niewłaściwe detale w nieodpowiednich miejscach  
spowodowały całkowitą katastrofę w mym ciele  
Mój uśpiony oddech się wytrącił, zbudziłem się inaczej  
Czułem jakieś zagęszczenie spersonifikowane i wielkie  
dałem się wszyć w smycz Jego, ciągnął mnie teraz  
za te nici, których kiedyś używałem, niewidzialne ciągnął  
zaciągał mnie z tego przydługiego spaceru do domu  
Fenrir haftowany w detalach bolesnych zaczął się pruć  
coraz boleśniej pozbywany swej ukrytej, bogatej sierści  
Mój nowy właściciel wołał już do mnie w gniewie  
Do nogi, głupi psie, gdzieś ty się podziewał, Fenrirze?

## *Pieśń trzydziesta. Waruj nam za- wsze i wszędzie*

Schowany, wkopany do najmniejszej skrytki  
do budy powleczonej mą wściekłą śliną i włosiem  
zaprawa cementowa z tak trwałych składników  
Znalazł się właściciel, wołał mnie po imieniu  
Zawszony i zбитy leżę, liżąc otwartość mą teraz  
a mój język tylko drażni szorstkością najboleśniej  
Oglądają mnie w klatce haftowanej ze smyczy  
a nad nią napisane w czterech językach me imię  
*„Potwór Fenrir<sup>18</sup>, któremu się wydawało, że jest wielki,  
że pisze oryginały, niszcząc swych tanich aktorów  
A to wszystko były tylko adaptacje starego piekła*

<sup>18</sup>Fenrir (mit. skand.) — olbrzymi wilk, który ma zabić Odyna w dzień Ragnarök. [przypis edytorski]

*już wszyscy tak dobrze je znają, oglądali tysiąc razy  
teraz to wszystko się nie liczy, a już haftować nim można  
jego dusza włóknista jest i ciągnąć można nici z niego  
możemy z jego sierści bolerka tkać, rękawice śniegowe  
Kłębek w nim ściśnięty, więc wyrrywajmy mu jego nici  
tnijmy na długości włóczki do zawieszania nisko  
bombek, cacek szklanych w kształtach nieznanych  
Łańcuchami go złotymi obwiążemy, niech błyszczący  
niech nam robi nastrój, niech będzie nastrojowo”*

To wszystko w mym imieniu zapisane na wieki  
z regularnością przychodzi sam właściciel, zbija mnie  
bym nie zajmował swoim bytem zbyt dużo miejsca  
Tutaj jest mieszkań przygotowanych jeszcze wiele  
Będę coraz mniejszy, gęstszy, coraz bardziej unerwiony  
niepodobny do żadnego człowieka ani zwierzęcia  
Śmieją się teraz ze mnie, wskazują palcami mą dzikość  
Oto cyrkowa atrakcja pod namiotem nieprześwitującym  
Chodźcie, oglądajcie me potępienie, chodźcie i oglądajcie  
Przez kraty tych słów wystawiam swój pysk gotowy was gryźć  
Przez gęstą siatkę zdań się nie uwolnię, aby was pożerać  
Ostatnie zdanie musi ostrzegać tabliczką przyklepioną do pieśni  
na wszelki wypadek tabliczka, gdybyście ręce wyciągali do mnie  
jest na niej nakreślone, że jestem zły Fenrir warujący w piekle

## *Pieśń trzydziesta pierwsza. Pejzaż wewnętrzny*

Z głębokości swojej wołam do siebie, ni nawet echa  
bruna trwająca w sobie sama oducha się już śpiewać  
Już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić  
już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić  
Moje pejzaże wewnętrzne mnożą się niezwykle regularnie  
niszcząc drobne odrosty, narosła tęskne i miękkie  
Kształty zdają się wykrzywiać, układać w drastyczne chichoty  
Żadna farba w paletach, żaden pędzel ni szmata, bez podłoża  
Maluj się, maluj, bazaltowy wielkoludzie, idą po ciebie  
maluj się w ostatnich pejzażach wewnętrznych, bo za chwilę  
za chwilę nie będziesz mógł już nic mówić, z bólu układać  
Twój język się zmiesza bardzo, język się zmiesza ze wstydu  
Ostatnie to płótna, ostatnie obrazy malowane przed śmiercią  
gdy drzwi się domkną, ścisną się one wokół ciebie na zawsze  
zawiną się wokół, kneblując twe ujścia bramami piekielnymi  
porosty będą się już tylko tobą odżywiać i gnuśnić z bólu  
będą tęsknić za niemożliwościami, za niespełnieniami słonymi  
Dawne figury płyną teraz w koktajlach nieprzebranych  
nie mieszają się ze sobą tak, że wyczujesz poszczególne smaki  
Masy lodowcowe niosą ze sobą wielkie ilości śmieci i błota  
Widzę jeszcze, rozpoznaję cyprysy szeleszczące, ścięte w sokach  
Ulice nazwane imionami mych smukłych ofiar skręcają bardziej  
Wielkie, puste ruiny zaglądają we mnie ciekawie, szukając nicości  
lecz we mnie tylko przepelnienia zakończone moimi porządkami  
Żywoć tych materii portretowanych przedłużony przeze mnie  
gniją one bez światła, bez wyciągnięcia się i drżenia na wietrze



gniją we mnie, nie znajdując pokoju, karłowacieją, burzą się pianą  
Schody w głębinie zapraszają, wiją się, kruszeją pod stopami  
W przymkniętych okiennicach płąsa lęk tłusty, wygląda z okna  
ogładając mój pejzaż wewnętrzny, wykrzywia mocniej panoramę  
Liguryjskie czerwone drogi powinny przecież prowadzić do celu  
Wiodą mnie jednak na punkt obserwacyjny, na Punta Corvo  
Czerwienie zagubione w błędzie uciekają po bokach  
sklepieniami się one zamykają wiecznymi, zasłaniając nieba  
zasłaniając nieba nienamalowane w moim pejzażu wewnętrznym

## *Pieśń trzydziesta druga. Punta Corvo*

Sztuczne kwiaty czarnym plastikiem pachnące  
schowam się w nich jako bruna i tam będę spijać  
z ich rozżarzonych pręcików szafran krokusowy  
Stąd będę obserwować panoramiczne niszczenie  
Wyrzucają tu mnie padlinożerne, przyglądając się  
Biegnę wciąż do tyłu, do tyłu uciekając przed nimi  
tam gdzie są czarne wybrzeża i plaże rozszarpane  
Dawne ujście rzeki Magry do morza jest wyschnięte  
Punta Corvo nad przepaściami, ostatni kawałek ziemi  
we wspomnieniu jej pylistości próbuję się zakopać  
usypać sobie jakąkolwiek mogiłę, byle jak przykryć  
Wleczona na pogubionych szczeblach kości swoich  
wznoszę swój wzrok z wysiłkiem nieludzkim  
Widzę z daleka miejsce dawnego połączenia wodnego  
Koryto rzeki szerokiej wkopane odwrotnie  
brzegi zakleszczone dawnymi okowami kalcytu  
antykaniony imponujące na tle ciągłego zachodzenia  
Zwapnione, zwątpione skały gną się w kierunkach oddolnych  
Są prehistoryczne dowody na to, że kiedyś tutaj były granice  
Wielkie katastrofy geologiczne oddzieliły tamami ujścia  
Rzeka tłusta, kiedyś czerpiąca z morza, miała tu swoją deltę  
te małe i większe dopływy miały swe imiona pradawne  
Magra zawróciła swój kierunek, rodząc ziarno bolesne  
od środka zatamowana, utracona z woli, w gniewie  
kanał wyschnięty, w nim tylko szkielety udawały dawny nurt  
Jakże to dawne czasy, w których jej dal rozplywała się w toni  
Głębokie koryto wskazuje na dawne, odrzucone zależności  
Pozostały jednak ślady w dawnych połączeniach wodnych  
Teraz sztuczna substancja płynie, lustrami odbija kanciastymi  
najtragiczniejsze szczątki po historiach rozsypane pod stoły  
Zasłaniam swe oblicza z przerażenia tymi powidokami  
Bagna wyrzucające z siebie nieprzetłumaczalne odchody  
Nie da się o nich powiedzieć w żadnych językach poplątanych  
Nie ma już tłumaczy, żeby tę starożytność zaklętą pojąć  
Widzę w ostrości wielkiej wyciągające się plaże w dole  
rozgrzane nienawiścią do oświetlenia nawet sztucznego  
Szukają ofiar, zazwyczaj spadają one spychane z Punta Corvo  
spadają one jak kwiaty wiecznie nieżywe i trwające  
na dywany spadają, pod stepujące, pod jaskrawe stopy  
tych, którym się udało zbudowanie tamy wiecznej  
Odwrócone imiona strumieni, kiedyś wpływających

Dziś kanałami gnilnymi się zwą i ciągle się rozkopują  
kosztem nadających się do tego dostatecznie twardych narzędzi  
i w wiecznym, przekornym udawaniu swych głębin wabią  
A tam jest tylko parę minimetrów płynu, a reszta to szlam  
stoi, nic nie wytrąca jego chemii zawiązanej w sobie  
Pływają w nich nieżywe istoty zatkane wiecznym tłuszczem  
z przerażeniem obserwujące te dziwne pojemniki od środka  
Wiem, że zostanę zrzuciona zaraz pod ich stopy z tej skały  
Będę leżeć na plaży wylamana, gnieciona przez ich paradę  
Będę leżeć na ich betonach, malowanych emulsją światłoczułą  
Misterne to kłamstwo spowodowane odległością, że to nie plaża  
w której zanurzasz swój ciężar, w miękkości jej odpoczywasz  
To wszystko malarstwo iluzjonistyczne, wrażenie perspektywy  
Te odległości też są niewielkie, wszystko ściśnięte w sobie  
gnieźdzące i włożące na siebie, i rozpychane ostrymi łokciami  
Jak to wszystko może się mieścić w tak małym punkcie?  
Jego granice nierozszerzalne, tkane z włóczki ciernistej  
Jeszcze wokół tych skorup wydrążonych boleścią i śmiercią  
podąża wieczna procesja, pochód z wieloma uczestnikami  
dawnymi głowami roztrzaskują się o nisko założone stropy  
Rysują kontury, ściągając swym wzrokiem wszystko w pobliżu  
wszystkie resztki wyobrażające sobie zbyt wiele  
Rozciągane na krosnach niewyobrażalnych barwią sobą tkaninę  
Spadam na kawałek mej twarzy, na beton, słyszę już ich tupoty  
gęste, zbite w jednorodny pokaz siły, militarnych możliwości  
w milionach egzemplarzy powielane, odbijane boleśnie  
W kalcytowych zębach kruszą śmietanową porcelanę  
z dawnej rodzinnej zastawy wytłukiwanej regularnie

## *Pieśń trzydziesta trzecia. Procesja*

Widzisz, jak z dala posuwa się owe wygniecenie jednolite?  
Robótki ręczne, szatańskie puszczanie oczek w szlakach  
120 wzorów, by dekorować w procesji sztandary poprzerabiane  
po nocach niszczone, w zakładach sztandarów liturgicznych  
Nici drogocenne wywlekane, w nowe znaczenia je zaprzatające  
Kradzione poduszki, obrazy przemalowywane na inną modłę  
Guma spalona z opon zdartych bardziej pod naszymi stopami  
Już trzymają wstęgi czarne od proporców wklejone na siłę  
Oto występ, oto pokaz największych zbiorów kolekcji prywatnej  
oświetlanej spontanicznie żyrandolami z kryształowymi lezkami  
Rzeka Magra znowu wypełnia swój sztuczny, betonowy brzeg  
Polarna malina na ustach śpiewaczek zgnieciona w mękach  
Na dawnych strunach głosowych grają już inni, dostosowując się  
Otwarte na rościę złamania kurtynami się kłaniają przed Wijem  
Trzaskają nieznanymi instrumentami, ni z dźwięków, ni z nazwy  
Trzymają proporce połamane, sklepane klejami kostnymi  
Niosą sztandary prześmiewcze na wymiętych kręgosłupach  
Tańczą, wykrzywiając swe dusze kolorowe, ludowe, osty  
Zakreśla procesja kręgi siedmiokrotnie, zawracając szybko  
Należy przecież uzewnętrznić uwielbienie dla Albinosa  
zapewne jest on bardziej pociągający w grubych szatach  
Oni są z obrazów pociętych, ze słów, ze zdań ścięciem skręcanych.  
jeszcze bardziej skołtunione, pełne warkocze wiszą, brzemiennie

Nie chciałbyś ich wziąć w ręce, oceniając ciężar zaraz po śmierci  
one z Jego skórą się łączą, zwinięte w sobie cierpienie noszą  
Związane są z nim jak gumką do włosów, on ich splot utrzymuje  
W klatkach niesione potwory mogą swe dusze pokazywać w procesji  
rozciągane przez te, którym zawdzięczają pokusy nieodparte  
Wyciągają je teraz jak szarfy czarne w szeregach, szturchając się  
każdy chce je przez chwilę ponieść i pochwalić się zdobyczą tłustą  
którą można dopasować, uświetniając adorację mistrza ceremonii

To jest ta część procesji, która skręciła w niewłaściwym kierunku  
samozwawnie ogłosila swe centralne uroczystości wokół siebie  
Ludowe karykatury wyciągały się w przekłamaniach liturgicznych  
Szli pielgrzymujący pod przewodnictwem samego grotowłaza  
a uczniowie jego, podczas procesji wykonywali śpiewy orientalne  
deklamowali, wygłaszali biblijno-dogmatyczne kwestie, dialogi  
Można na nich wiecznie pasożytować, czynić ich sobie poddanymi  
Przebierani za aniołów czy świętych, nieśli insygnia królewskie  
formowali żywe obrazy z historii potępień, zniszczenia, łamania  
Udział w procesji, pełnienie określonej funkcji było powodem bitwy  
posiadające imiona grzeszne, walczyły ze sobą zaciekle  
Do procesji włączyło się wojsko, ono zawsze wieńczy uroczystość  
Wypluta hostia znów stała się waflem o smaku rybnym  
Baldachim tkany z włosów arystokratek i urodzonych szlachetnie  
wyrwany im siłą, gwałtem zdobywany od tych bóstw wyniosłych  
niesiony w szaleńczym tańcu przez sześciu pojawiających się  
To wszystko miało monstrancję w czekoladzie rozpuścić  
ciągle deformować jej ślady, kształty, dawną pamięć  
Te niewypały miały straszyć wybuchami pirotechnicznymi  
litanie, aklamacje, psalmy, hymny, antyfony, responsoria niszcząc  
tępiąc wszelkie ślady po morskich i podwodnych wędrówkach  
Bojówki faszystowskie zadbają o wszelki szczegół obchodów  
objiją wszystkich, że jęcząc, będą chórami zastanymi w tłumie  
Ze mną leżą inne kwiaty wysuszone pod ich stopami szerokimi  
Nie znam ich, lecz wydają się przypominać mój układ dawnych żył  
Czarną gerberą jestem teraz, zmiążdżoną przez maskarady  
Procesja ich jedyną rozrywką w małym, przyciasnym miasteczku  
gdzie miliardy gwiazd giną razem z kwiatami rzucającymi im  
przez tych, co zwiędniętymi łodygami ciągną ciężary własne  
Mielone kwiaty tysiącrotnie, by zniknął zapach kadzidła świętego  
którym kiedyś były napełniane, którym pachniały, kusząc piekło

## *Pieśń trzydziesta czwarta. Wij*

Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz  
Wije się ten najdłuższy, ściągając do siebie wszelkie prucia  
Wszelkie zło mu się przynależy w medalach właściwie  
osnową to jego trzonu, ciągle snującego się wokół swej osi  
Straszlliwe to jedwabniki snują jego zapętlenia wygodne  
Ciągle się nimi obwija, by swą dawną tuszę odzyskać  
Ściąga ze świata włóczki wielobarwne, posiadające grubość  
siniacząc nasze tyłki, krwotokami nadziewając pożegnania  
Ma w posiadaniu wielkie skarby i konta multiplikujące się  
Gardząc wszystkimi, wychodzi z torebką, w której ma złoto  
w kieszonkach najdrobniejszych kradzieże dawne

Wije się, wije, ściągnąc swe fałdy po dawnym duchu  
Teraz zbiera i zmiata wszystko skrywane i grzebie w tym  
z zegarmistrzowską precyzją wydłubuje z nich, chrupie  
Jego pusta twarz odbija tylko najstraszniejsze wizerunki  
jest wśród nich cała galeria postaci, gestów do przymierzenia  
Wielkie wypukłe lustro wkuwane w niego, błyszczy innymi  
Wielkie cielsko jaka futrzanego z soplami po bokach nadciąga  
Z daleka ściąga najstraszniejsze filmy wideo, oparte na faktach  
Chce każde sekundy rozciągać w nieskończoność skończoność  
Wygrzebany wędruje ciągle przez świat, posyłając mrówki  
Zmielony chochoł nadciąga burzami, krzykami w wylądowaniach  
Diagonale go zapowiadają w swych złamaniach i zatraceniach  
kierunki błędnie wyznaczone po to, by wpaść w doły  
Słyszysz, jak szoruje swymi stopami, płaty skóry opadają  
Wielość jego naskórków niezmierzona, w głąb tylko szelesty  
Pozostawia po sobie zawsze te same ślady pachnące utwardzaczem  
Zbija zeszpecone, dawne piękności, twarze podrzucone mu pod  
Jego rozpacz skryta pod głębokimi szatami, szatanami narzuconymi  
Pewnie najlepsi krawcy zszywają mu te silikonowe odlewy cierpienia  
w jedne masywne, kinetyczne stroiki, brzęczące wokół jak kastaniety  
Co za zręczność ciągłego przeskakiwania wobec regularnej krytyki  
to chyba jednak są ruchy w tańce zakluczone, a choreografia tajemna  
Bogactwo niezliczone obciąża jego tren ciągle gubiący się, zjadający się  
W koszykach z supermarketów mu przywożą nowe ciężary z karmelu  
ciągle w nowe formy roztapiane na podwieczorek dla kolegów  
na posiedzenia rady zarządu spółek z ograniczoną odpowiedzialnością  
gdzie rozsiada się w fotelach zestawionych z ławek kościelnych  
Drzwi dwuskrzydłowe trzeba poszerzać dla niego na trzy skrzydła  
Asystentka jego, wielka nierządnicą — ma napisane na wizytówce  
Wszystkie narzędzia biurowe drżą, zwiastując nadchodzenie  
dusze skulone jeszcze bardziej odwracają się od niego  
szepcząc zapomniane paciorki, na które za późno w środku nocy gęstej  
Omota wszystko swą architekturą z najtańszej blachy falistej  
skręcane rdzewiejącymi śrubami deformującymi do oporu  
Witaj nam, wielce nieurodzajny, skradający się powłóczyście  
w najgłębszych jaskiniach zdobywałeś swe liczne blizny  
lecz wśród brudu i futer zdzieranych masz tylko tanie drobiazgi  
Oto śnieżne rękawiczki na przydługie palce, uszyte na zamówienie  
Śnieżne uśmiechy, które jak guziki trzymają tłuste warstwy ze sobą  
zwijają się ciągle, utrudniając jego chód, czyniąc go strojnym  
Któż odpowiednio przywita takiego niespodziewanego gościa?  
Bajaderowy jego bałagan, zalewany wielokrotnie Cointreau  
w końcu jest on wybitnym specjalistą od organizacji tego typu eventów  
W scenografiach piekielnych cateringi z jego łojów odzyskiwanych  
w formie koreczków podawane, szczerze się można nimi zatykać na zawsze  
Niewierni słudzy w gnilnych wieńcach, zabierający sobie jego skrawki  
łamią się nimi jak opłatkami, z jego skór węzowych, sezonowych  
wkładają je potem do wisiorków i niosą jak medaliki bluźniercze  
Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz  
marszcząc swe twarze w loki na podobieństwo do splątanego sobą  
splątanego swymi niezwykle skomplikowanymi fryzurami  
kształty wieży Babel, murów dzielących, krat więziennych układanych  
Solidne są te sztuczne włosia, bardziej wytrzymałe niż naturalne  
Przesuwając się prawie majestatyczne, drąży za sobą koryto rzeki  
w której morskie tętniło życie, które zmarło wskutek oszustwa  
i wycieku ropy skrytej pod jego powiekami przydługimi

On spowodował katastrofy tankowców, dryfujących kiedyś  
żeglowały po morzu jako możliwe li tylko ładownie nieoczone  
Z ich czarnych dziur wylały się nieczystości na odcięte tereny  
po których Wij przechadza się jak w dawnym raju, podziwiając się  
ciągle od nowa podziwiając swój wlokący się czarny maszyn górski  
Spod T-shirtu wychodzi mu kark owłosiony krecim futrem  
woskowanym wielokrotnie, wielostronnie

## *Pieśń trzydziesta piąta. Pieśń Wija*

*chóralnie ludzkim głosem*

Padnijcie na kolana, pozdrówcie z piekła Pana, w płasach  
Z tłustą falą me ćwierkanie zalewa wasze gardła pąsowe  
Czyż ktoś jest większy z was ode mnie, niech teraz wystąpi  
Wszystkie dusze wasze nie potrafią pęzać tak jak ja, uroczco  
Pan wielkiego majestatu, król nad króle wasze, nad królowe  
Na wszystkich scenach świata mam przystawione mikrofony  
wzbudzając tłumy do pieśni wojennych oraz ekstatycznych  
Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy spragnieni mych gron jesteście  
ja was przyjmę i dam wam władzę na ziemi, nad latyfundiami  
nie wymagając od was żadnych męczeńskich gimnastyk, rozdaję  
Chcę zarobaczyć te wasze mleczone spojrzenie, różowe policzki  
zanim poznacie mą wijącą się naturę, opisującą się na sobie  
Pulchne cherubiny ludzkie, zniszczę te nóżki przebierane  
W czerniach, szarościach lub tęczach barwnych, przyjdę do was  
Znam ja te wszystkie wyrażenia nagradzające i usypiające  
aż raz niespodziewanie zdarzy się wam śmierć jak deszczowa pora  
Posypani proszkiem do pieczenia wzrośnięcie wysoko, potem w dół  
strzępnę te wasze sztucznie wyciągnięcia, och, zakalcami będziecie  
Podziwiajcie, jakże wielką nienawiścią was darzę w systemie ratalnym  
Ja także, jak bóg, rozlewam się, żerując na waszym rozgnieceniu  
Na waszych zemdłałych, zaśluzionych pyskach karpioowych składam całusy  
szukające powietrza, łapie rytmicznie śmierć w swe oskrzela płaskie  
Pan wielkiego majestatu głosi dziś całemu światu śmierć  
W mych ustach wieczna wzgarda, a w środku lepiej się nie pytać  
Lepiej o to nie pytać mych ministrantów i padlinożernych dostojników  
Oni nawet nie podejrzewają, z jakich głębokości nigdy nie zawołam  
tylko antypsalmy wyspiewuję, bawiąc się ich odwracaniem  
Widocznie jestem nowym typem psalmisty, Dawida charczącego  
wzbudzając w sobie Saula gniewnego, niszczącego instrumenty  
Śpiewam po to, by niweczyć śpiewanie, to taka błyskotliwa gra z poezją  
Któż za to mi wręczy nagrody doroczne z okazji dożynek wojennych?  
Któż mi wypisze dyplomy uznania dla mych innowacyjnych rozwiązań?  
Cóż mi dacie na pamiątkę waszej śmierci, wazonny kryształowe  
bombonierki zapakowane w wasze nekrologi ze wstępami  
wieczny odpoczynek racz mu dać, czarny Panie, będziecie śpiewać?  
Sami wbiegacie w me pachy kudłate, uciekając od Niego  
Poczęstuj się waszymi bombonierkami, zjadając wszystko  
i was  
Oto królestwo uczynione na znak rozliczenia administracyjnego  
Jaskinia Sezama, gdzie tysiące rozbójników ciągle się tutaj chroni  
Głazy-płazy pilnują wejścia do tego pałacu, tylko ja znam hasło  
Na hasło te uchylają się szczeliny i można skraść coś z ziemi znów  
porywać was do worków jutowych, przewozić nocami zakłętymi

Przed oblicze przychodźcie sami, szepcząc w lęku swe imiona dawne  
nadawał wam inny te imiona, emanuele męskie, nutelle żeńskie  
Ja was wytapiam, na me płaszcz, na jesionki w słodkich odcieniach  
potem przejdę się w nich po centrach handlowych, powodując zazdrość  
Po centrach świata przechadzam się, dzieląc was  
jaśnie oświecony, faszystowski gla-mór  
prawie morelowy

## *Pieśń trzydziesta szósta. Pieśń Wija do bruny*

*solo*

A któż tu leży pod naszymi stopami? Tak, tak, już cię rozpoznaję  
Czyż to nie jest brudna bruna i cóż, me dziecko, powiesz mi teraz?  
Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie bardzo nie żałuję?  
Kłęknij, szepcz, szepcz mi, coś złego uczyniła, o niebiańska córko?  
Przybliź się do mnie, niechże cię zobaczę, niech cię trochę poznam  
Wezmę cię na ręce i rozgrzebię od środka, zobaczymy, cóż jest  
Odkryjmy jeszcze, cóż za pozostałości masz w swym gardle  
w śladach twych dawnych oczu rozczytuję pokrewieństwa inne  
skryły się one za bruną, za tym kawałkiem rozpryśniętym w dal  
Więc jak to tam było z tym pryzmatem na początku, gdzie reszta  
czyżby się dostały w szpary wiekuiste inne niż nasze arkady?  
Dawna bruna uciekała przed oblubieńcem w drodze na Miąskowo  
najmocniej odpryśnięta, zawlekła się do grobowca rodzinnego  
ponieważ za życia była pieprzniętą królową, dzierżyła władzę  
to teraz trzeba ją w odpowiednie szaty ubrać, w płaszcz purpurowe  
Ten zestaw z płaszczem udręczonym podoba mi się, mój ulubiony  
Zawijam cię jak ochłap po reszcie, która jeszcze pachnie w tobie  
Nawet nie wiesz, jak żalosne jest używanie tak słabego języka pieśni  
Gdzież jest twoje rodzeństwo, gdzież są Blu i Bianca skruszone?  
Dlaczego nie przyprowadziłaś ich do mnie, dlaczego nie oszukałaś ich  
wabikami, drzwiami wiecznie uchylonymi do mych komnat z ciepłem?  
Och, jakże ja nienawidzę tych kolorowych kształtów ludzkich główek  
Błękitne, białe i brunatne wzory podzielone wobec niego, no, no, no  
A gdzież jest ta nasza piejąca pieśni, ja także chciałbym się jej ukłonić?  
Została mi z polowania tylko bruna, już ją odpowiednio nauczę  
Chce śpiewać, niech śpiewa, oto włożę w jej usta wielkie ciężary  
Po cóż mi taka gerbera pod me łóżysko, na co mi ten śmieć brunatny?  
Widzicie, jak muszę wachlować się cytatami, jak uczony w piśmie  
Myślałaś, że nie dostrzegę ułamania po innych w tobie?  
Będziesz więc potrójnie po nieobecnych częściach cierpieć  
jeżeli możliwe jest trzykrotnej mocniej cierpieć tutaj  
a tu mi właśnie znajomy podpowiada, że jest dawka trzykrotna  
czeka właśnie na ciebie, oczywiście, że jest możliwe dla ciebie  
wszystko jest możliwe, nie ma rzeczy niemożliwych dla mnie  
doprawdy, co za brawura czynów, do prawdy od prawdy  
Jak widzisz, mam zacięcie do muzyki i słowa, niezwykle uzdolniony  
Towarzyszy mi ciągle nadmiar kropek zakańczających te białe wiersze  
Pozwól więc, że zlepię cię mocno w zakończenie interpunkcyjne  
zatrzasnę cię w tobie z okazji tego niespodziewanego finału  
ciągle zakańczając się, pozostaniesz na zawsze znakiem zamazanym



jak je połączyć ornamentami w czytelny rysunek?  
Poprośmy, może ktoś z widowni nam pomoże  
może komuś uda się to, uda się to uczynić ręcznie  
zgadnąć cokolwiek z domniemanego rysunku  
Trzy szkice w teczkach woskowych noszę  
spoglądam sobie na nie czasem nerwowo  
Próbowałam łączyć te paprochy, te zabrudzenia  
w solidne całości, ale umyka wszystko śpiesznie  
Tych gwiazd w żadne gwiazdozbiory nie złożysz  
umieralność ich największa w przestrzeniach  
Z trzecim rysunkiem były same problemy  
wpierw został zgnieciony, potem zapomniany  
Kryję w spoconych dłoniach jego przechowywanie  
Oto rysunek niemożliwy, lękliwie uciekający  
uciekający samochodami dalekobieżnymi w dal  
Rysunek rwie się, napinany do granic nieprzekraczalnych  
lepi się do wszystkiego, pieczętuje swoją obecnością  
Me pisaki są tu porzucone, wielki śmietnik ustników  
W ogniu pieśni zakrywają swe śpiewne oblicza przed sobą  
wobec tego brunatnego nowotworu tu ulokowanego  
Paczki dobrze sklezione dochodzą do piekła w trzy dni  
Mamo, prześlij mi, proszę, te ciepłe kapcie uszyte z wełny  
do grobu prześlij mi je, bym mogła szurać po parkietach  
woskowanych na wysoki połysk z okazji śmierci wiecznej  
Rysowanie rozpada się mi w rękach, one też się rozpadają  
Nic tu nie bywa odcinkami, odległości uciekły zawstydyżone  
Już w sumie próbowałam ciężki rysunek nanosić na ziemię  
za pomocą schodołazu, chodzików dziecięcych, starych  
za pomocą swych niewidocznych podpórek szkicować jakiś kres  
wszystkie były pokryte białym aksamitem i czekoladą  
tym bardziej były luksusowymi materiałami plastycznymi  
Patrząc przez ich nieszczelne struktury na mą słabość  
na moje potykanie się, czołganie ze wzrokiem ku ziemi  
Chodzę z głową gniesioną do dołu, przyglądając się wykopom  
Te linie prowadzone na końce jak zagony gnilne, zmrożone  
rytmicznie i równo rozkopywane ze znikomymi śladami pulchności  
Zagony rytmiczne umykają teraz już pomału, w zaciemnieniu  
zachodzą z blaskiem słońc schowanych za horyzontami  
liniami się w nas wrysowują, dzieląc nas ozdobnie w okolicach zera

## *Pieśń trzydziesta dziewiąta. Domknie- cie Piekła*

Zasklepiane odwierty kiedyś będą powłokami niebieskimi  
Nigdy nie roztopi piekła morska fala, nie zmyje jej gęstości  
W naszym DNA same dna stukające posadzkami śliskimi  
Rozwleczeni jesteśmy między smakiem curry a rozmarynem  
peklowani suszonymi psalmami, one ułatwiają trawienie nasze  
Potępienie dusz schowanych pod kamieniem zostanie na koniec  
zakleszczą się wtedy wszystkie zamki samozatraskujące się  
Gdzieś w bielach będzie więc krążyć ziarnko maku słodkiego  
ziarnko piasku wulkanicznego z lawy gniewu spływającego  
Ziemia rozpadnie się na brzegi, połamana różnie wobec morza



Pozostaną również odpryski ostre, odrzucone przez falochrony  
Rzeźby dekoracyjne w mial się roztopią, kolory spłowieją  
ustąpią kłaniając się niewyraźalnemu, nadchodzącemu  
Będą mu tańczyć zupełnie nowe tańce, on je nauczy  
Wszelkie cukry roślinne i zwierzęce zostaną skarmelizowane  
Świat znów pachnieć będzie nowością, jeszcze opakowaniem  
Będziemy podziwiać pieśni tak piękne, że dzięki nim nie będziemy  
Wtuleni w ich kołyszące łona, oddychając sobą wzajemnie  
Uszczelnione piekło sklepi swe dziury, nie ucieknie żadne ciepło  
Już nie będzie męczenników, jak warzyw na rynku wildeckim  
Nie potrzeba będzie poświęcających się ludzi, jak selerów  
Leżą oni wygrzebani z ziemi, zmarznięci z przylepioną ceną  
ceną zawsze w jaskrawym kolorze zdradzającą ich zemdlony odcień  
Płacz zostanie zniweczony płukanką z leczniczych ziół święconych  
Znów spojrzymy na siebie, nie patrząc na naszą nagość niezgodną  
na nadrzędność zdań wielokrotnie złożonych, na ich podrzędność  
Rozbiory gramatyczne światów prawidłowo ułożonych w bukiety  
rozwiąże je cicho spokojny rytm przyływu, którego nikt nie zauważy  
Niektórzy, zapomniani prorocy jedzący szarańcze jak chipsy, zrozumieją  
Będą podnosić nieco swe głosy i narażać się na śmieszność wobec tłumu  
Nikt nie uwierzy im w ich śmierzące morzem słowniki  
w kieszeniach mają owoce morza, ostatnie daniny na ołtarz ofiarny  
Będą wyrzucani poza bramy miasta, a tam zajmą się hodowlą  
agroturystyką z możliwością kąpeli w słonej wodzie  
w parkach jordanowskich oblewanie się chrzcielną wodą  
Wokół nich zwierzęta kręcące się, spokojne ich obecnością  
wtulone w siebie, cicho pomrukuje ze szczęścia  
Nie spotka ich wstyd ukryty, głowy zanurzać będą w miskach  
W tej wodzie nie słycać odczytów i prelekcji dydaktycznych  
tylko szum jednostajnie potencjalny w dźwięki dochodzące  
Kwitnięcie inne nastąpi, nieskalanymi pąkami będziemy  
Wszyscy święci wtedy powiedzą: no nareszcie się kończy świat  
całe szczęście, że kończy się świat przed filmem o 20.00  
Zalóżmy więc okulary przeciwsłoneczne, teraz porażeni będziemy  
te światła nawigacyjne mają niezwykle silne, krągłe pola rażeń  
Finalnie podnoszę wzrok ponad siebie, wspierając się na łokciach  
Znów te refleksy, wyznaczające mi początek, pojawiają się w kątach  
te światła zwiastują zagaszanie mych śpiewów przed porankiem  
Jutrznia już niedługo, dnieje mleczne światło w ciemnych ujściach  
gdy przebudzę się, w mych ustach pozostanie kwas mlekowy po śnie  
wiecznym

## *Pieśń czterdziesta. Końce końców*

Chodźcie do mnie wilki szaleńczo szare  
nakarmię was pomyjami po ucztach trzech  
Wpychajcie w swe pustki wielkie kęsy  
ja będę was głaskać, korzystając z nieuwagi  
Na koniec zawsze jest najwięcej jedzenia  
na mych obrusach tak wiele pozostaje  
Przyjdźcie do tej, co ciągle się rozdrapuje  
Rozdrapuje swe zrastające się usta do śpiewu  
z nieśmiałości zrastające się, z lęku, z pychy  
Oto przechodziłam między podwojami tajnymi

twarz może przez to bardziej blada i wysuszona  
Teraz unikam swych odbić w szklach dekoracyjnych  
w ich połamanych ornamentach widzę potępienie  
Oblubieniec za górami i lasami brzoźowymi  
a ja palę papierosy, stojąc znów na trzech nogach  
Stoję w oknie nad brzegiem morza, wypatrując powrotu  
Wszystkie trzy nogi już mi drętwieją przez me pozowanie  
Ciężarna jestem wobec pieśni pęczniejących w przehyku  
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez lasy?  
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez siebie?  
W pojedynku pojedynczo ciągle jesteśmy zagubieni  
między kopytami porzucamy się na chwilę, na momenty  
Świadoma relacji barwnych i praw kontrastów jestem  
ciągle rozstrzygana, rozstrzygająca się w wielobarwności  
Przebiegając przez przebieralnie mnogie, w pędzie pochwyć  
w pędzie pochwyć werdykty w kopertach, skradnę je  
W najświętsze wedrę się, ukradnę te werdykty potępienia  
Mój śliniak już cały mokry od opowieści uciekających  
Pogubiłam me wdzięczne diademy, dostojne dodatki  
całą biżuterię wyjściową na błędzenia ślepe  
Czyż nie jestem piękniejsza, bo potłuczona i naga?  
Wytańczę sobie kształt grobu  
będę w nim mogła się pomieścić z moimi zapasami  
ze zbiorami słów i obrazów zupełnie bezcennych  
Nie kładź więc na moje oczy monet dla przewoźnika  
dla tego niewidocznego taksówkarza z czarnym uśmiechem  
Chomikowe policzki napełnię pieśniami, będę je jeść  
gdy chlebak pozostanie pusty i bidony wystygną  
Wtedy złożę z nich kadzidło, złoto, mirrę dla przestrzeni  
dla przestrzeni pytających, zostających w wolnym oddechu  
Teraz szukam swego podobieństwa znów, lecz trzy echa słyszę  
milkną z wolna dźwięki wysokie, niskie  
wyskakują jeszcze przede mną, bym sobie laurki sama sprawiła  
Laury pachnące na wieczną pamiątkę śmierci moich potakujących  
Potakujące śmierci zgadzające się na datę i godzinę zgonu  
Ja, Lacrimosa wątła, wychodzę więc z mroku głębokiego  
może jakaś barwa wychyli mój kształt z czerni i zabierze mnie  
w kolejne długie historie, ciągle wijące się fraktalami, winem  
Pomyśl, jakże przedziwne są smaki tych koncentratów  
koncentratów z niemotyli z pierwszego, z drugiego tłoczenia  
które wylewają się, burzą, rozwalają wszelkie pojemniki  
do przechowywania naczynia rozwalone na trzy części  
Rozwalają się porcelany z dożywotnimi gwarancjami trwałości  
Jakże to wszystko niepraktyczne i najpiękniej niedokładne  
lepienie z niebytów piętujących się, przy bytach rozrzuconych  
Kimże jestem teraz, gdy siedzę na kanapie, spijając ostatnie nuty  
kokosowym starcem, karuzelą made in Purgatorium malowaną?  
Może jestem w brunatnym wbiciu ciast ciągle się przypalających?  
Segregując odpady do trzech koszyków, ciągle przymrużam oczy  
Mrużę je, by być sędzią zaprawdę sprawiedliwą i litościwą  
Jakże niepurpurowe są me szaty, lekka biel łąsi się do mnie  
Wszystko znów zabiorę do siebie, zlepię grzbiet zbioru pieśni  
Musi być on tłusty, chroniący przed wiecznością uczulającą  
mało ciągle na jej temat w miarę szczegółowych przewodników  
Nikt nie wskaże nam odpowiednich linii autobusowych, nazw ulic  
Nie przeczytamy na miękkich okładkach, jakie są ich przywitania

jak należy mówić i jakie gesty wykonać, nie obrażając ich?  
 Nieśmiało spoglądam, wychylam się na palcach, chcąc dojrzeć więcej  
 bujam się w mej niepewności, pewności dalszych panoram  
 bujam się w sobie, balansując, przekornie wychylając się na boki  
 bujam się, wyśpiewując pieśni poranne, zlepione jeszcze z nocą  
 Wtedy me oblicze znów się rozjaśni, znów rozpoznam kształty  
 które umiem dobrze nazywać po polsku i włosku i je rysować  
 Potrafię je jeszcze narysować swym spojrzeniem, wędnącym  
 Rebusy przywróca swą rozpoznawalną treść schowaną  
 Roślinność na parapetach systematycznie odżyje  
 całkowicie zdziwiona moją pamięcią i troską nagłą  
 W głębokich tłach scenografii będę jednak dostrzegać te niebyty  
 wycofają się, ustępując temu imiennemu, foremnemu  
 Ruszę na zamorskie wycieczki przepełniona ekwipunkiem  
 Zateknię do brzegów oddalonych i pójdę na plażę się skremować  
 Chłodne rozmycie opłucze mnie i pochwyty mnie dla siebie  
 Teraz rozrzucam wam kropki na końcu jak confetti czarne  
 Cieszymy się więc, posypujemy nimi na zakończenie piekła  
 tam tkwią wszystkie zakończenia, same końce właśnie tam  
 spalone ich lonty, kruszące się ciągle na obrusach odświętnych  
 płacziwy wosk zaświadcza o ich winie i wysokim płomieniu  
 nie pozwoli im na jakąkolwiek restaurację dawnych pomników  
 Znów zęby się pokrywają zniszczeniem wyśpiewanym  
 Trudny jest ten śpiew odepchnięty, klóący się ze sobą jednocześnie  
 śpiewać już nie chcę tak straszliwego udręczenia wypluwanego  
 Zamykam piec nastawiany na temperaturę ciał ich własnych  
 Odchodzę, łapiąc swój oddech znów w naturalną rytmikę  
 Zamorskie krainy wabią mnie swymi smakami nieznanymi  
 Powinam się więc pożegnać ze wszystkim słowami znajomego  
 Arriverderci, brunatni z chwilowymi przebarwieniami ku Bogu  
 Kazalnicę moją żelazną ominęłam z daleka, nie wznosząc głosu ponad  
 gdyż moja brunatność oczywista, zęby połamane na pieśniach  
 co je licznie przed wami wywlekałam, ich kwiecistości zawile  
 Moja ucieczka przed detergentem zaczyna się dopiero  
 Znów rozgorzeje bitwa na śmierć, na życie, o światłocienie  
 bitwa o przynależność do zbiorów, określających się wciąż na nowo  
 Układy współrzędnych z osiami, z ościami, on znów będzie zerem  
 Podmywa stopy, jasność gruntu i uzębienia splukuje  
 Przedostaje się tajemnie przez przerwy między wyrazami  
 aby podczas nieuwagi głaskać mój biało-czarny grzbiet.  
 Nadchodź więc i zakończ mnie, zakończ mnie sobą  
 wyznacz mi wielość nowych początków, na końcu.

## *Pieśń ostatnia. Czarne confetti*

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rolando-biala-ksiazka>

Tekst opracowany na podstawie: *Bianka Rolando, Biała książka*, Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznan 2009.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu *Wolne Lektury* (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5235-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).